

PHILIP K. DICK

MOŻEMY CIĘ ZBUDOWAĆ

Rozdział pierwszy

Naszą technikę doprowadziliśmy do perfekcji na początku lat siedemdziesiątych. Najpierw zamieszczaliśmy ogłoszenie w lokalnej gazecie, w dziale ogłoszeń różnych.

Klawikord, także organy elektroniczne, przejęte za długi, stan idealny, SUPEROKAZJA. Zamiast zabierać jeż powrotem do Oregonu, poszukujemy kogoś, kto za gotówkę lub dobry kredyt o niskim ryzyku przejmie płatności. Kontakt - Rock, kierownik Działu Sprzedaży, Fabryka Fortepianów Frauenzimmera, Ontario, Ore.

Przez lata ogłoszenie to ukazywało się w kolejnych miastach, rozsianych po całych zachodnich stanach, a nawet w miejscach tak odległych od wybrzeża, jak Kolorado. Całą kampanię oparliśmy na ściśle naukowych podstawach. Kierując się mapą, posuwaliśmy się tak, aby nie pominąć żadnego miasta. Nasze cztery ciężarówki z silnikami turbo stałe były w ruchu; na każdą przypadał jeden człowiek.

Zamieszczaliśmy więc ogłoszenie, dajmy na to w „San Rafael Independent Journal”, i wkrótce do naszego biura w Ontario w Oregonie zaczynały napływać listy, którymi zajmował się Maury Rock, mój wspólnik. Sortował je i na ich podstawie układał spisy adresowe, a gdy na jakimś terenie, na przykład w okolicy San Rafael, miał wystarczająco dużo nazwisk, telegraficznie kontaktował się z jedną z ciężarówek. Przypuścimy, że wiadomość odbierał Fred w hrabstwie Marina. Po jej otrzymaniu Fred wyjmował własną mapę i porządkował nazwiska we właściwej kolejności. Następnie szukał budki telefonicznej i dzwonił do pierwszego potencjalnego klienta z listy.

Tymczasem Maury wysyłał odpowiedź każdej osobie, która wyraziła zainteresowanie ofertą.

Szanowny Panie Taki a Taki!

Jesteśmy wdzięczni za Pańską odpowiedź na nasze ogłoszenie zamieszczone w „San Rafael Independent Journal”. Człowiek zajmujący się w naszym biurze tą sprawą wyjechał na kilka dni, ale przesłaliśmy mu Pańskie nazwisko i adres z prośbą, by skontaktował się z Panem i podał wszystkie szczegóły.

Listy krążyły i przez kilka lat dobrze służyły naszej firmie. Ostatnio jednak sprzedaż organów elektronicznych gwałtownie spadła. Na przykład na obszarze Vallejo sprzedaliśmy niedawno czterdzieści klawikordów i ani jednych organów.

Ta ogromna dysproporcja w sprzedaży na korzyść klawikordów sprowokowała wymianę zdań między mną a moim wspólnikiem, Maurym Rockiem. Nie była to spokojna

rozmowa.

Do Ontario przyjechałem spóźniony. Przebywałem na południe od Santa Monica, gdzie rozmawiałem o pewnych sprawach z kilkoma społecznikami, którzy sprosili prawników w celu prześwietlenia naszej firmy i jej metod działania... Próżny trud, który oczywiście spełził na niczym, gdyż ściśle trzymamy się prawa.

Ontario nie jest moim rodzinnym miastem. Pochodzę z Wichita Falls w stanie Kansas. Gdy miałem pójść do szkoły średniej, przeprowadziłem się do Denver, a później do Boise w Idaho. Pod pewnymi względami Ontario jest przedmieściem Boise. Znajduje się tuż przy granicy z Idaho: po przejściu przez żelazny most widzi się płaską krainę, słynną z uprawy roli. Nie opodal zaczynają się lasy wschodniego Oregonu. Największym zakładem przemysłowym w okolicy jest fabryka pasztecików ziemniaczanych Ore-Ida, zwłaszcza jej wydział elektroniczny, a w ogóle to pełno w okolicy uprawiających cebulę japońskich farmerów, których przesiedlono tu podczas II wojny światowej. Powietrze jest tutaj suche, nieruchomości tanie, a po większe zakupy ludzie wyjeżdżają do Boise. Jest to duże miasto, którego nie lubię, ponieważ mało w nim niedrogich chińskich restauracji. Leży w pobliżu starego szlaku do Oregonu, wzdłuż którego biegnie linia kolejowa do Cheyenne.

Nasze biuro mieści się w centrum Ontario w budynku z cegły stojącym naprzeciwko sklepu z artykułami żelaznymi. Wokół budynku zasialiśmy irysy, których kolory korzystnie wpływają na samopoczucie po powrocie z podróży pustynnymi drogami z Kalifornii lub Newady.

Zaparkowałem mojego zakurzonego chevroleta model Magic Fire i chodnikiem doszedłem do naszego budynku, mijając po drodze szyld:

SPÓŁKA WAZA

WAZA oznacza WYSPECJALIZOWANE AMERYKAŃSKIE ZESTAWY AKUSTYCZNE - taka elektronicznie brzmiąca nazwa przyjęta ze względu na naszą fabrykę organów elektronicznych, z którą - przez rodzinę - jestem mocno związany. Nazwę Fabryka Fortepianów Frauzimmer-mera wymyślił Maury, gdyż lepiej nadawała się do naszego biznesu z ciężarówkami. Frauzimmer to nazwisko, które nosiła rodzina Maury'ego w starym kraju. Rock również zostało wymyślone. Moje prawdziwe nazwisko brzmi tak, jak się przedstawiam: Louis Rosen, co po niemiecku oznacza różę. Kiedyś zapytałem Maury'ego, co znaczy Frauzimmer, na co on odparł, że dworka. Zapytałem go, skąd w takim razie wziął nazwisko Rock.

- Z zamkniętymi oczami otworzyłem encyklopedię i trafiłem na hasło ROCK SUBUD.

- Zrobiłeś błąd - powiedziałem. - Powinieneś się nazwać Maury Subud.

Drzwi wejściowe do naszego budynku pamiętają rok 1965 i dawno powinny zostać wymienione, ale po prostu nie mamy na to pieniędzy. Pchnąłem je - choć duże i ciężkie, obracają się lekko - i wszedłem na ruchome schody, jedno z tych starych automatycznych urządzeń. Minutę później byłem na górze i wkraczałem do naszych pomieszczeń. Towarzystwo w środku ostro popijało i toczyło głośną dyskusję.

- Czas minął - powitał mnie w progu Maury. - Nasze organy elektroniczne są przestarzałe.

- Mylisz się - powiedziałem. - Tendencja jest dokładnie odwrotna i przemawia za organami elektronicznymi, Ameryka bowiem w ten sposób zagospodarowuje swą przestrzeń: elektroniką. Za dziesięć lat nie będziemy sprzedawać ani jednego klawikordu dziennie. Staną się one relikdami przeszłości.

- Louis - rzekł Maury - spójrz na konkurencję. Elektronika być może będzie się rozpowszechniać, ale bez nas. Popatrz na organy nastrojów Hammersteina, na „Euforię” Waldteufela i powiedz mi, kto tak jak ty zadowoli się jedynie brzdąkaniem.

Maury jest wysokim facetem, nadpobudliwym z powodu nadczynności tarczycy. Ręce mu się trzęsą, trawi zbyt szybko. Bierze na to jakieś pigułki, ale jeśli nie poskutkują, będzie musiał sięgnąć po radioaktywny jod. Gdy się wyprostuje, mierzy 188 cm. Ma, lub raczej miał kiedyś, czarne włosy - długie, choć cienkie; duże oczy i jakieś takie zaniepokojone spojrzenie, jak gdyby dookoła wciąż działo się coś złego.

- Żaden dobry instrument nigdy nie stanie się przestarzały - powiedziałem. Maury jednak miał sporo racji. Tym, co nas zrujnowało, były badania nad mapą mózgu, jakie na szeroka skalę prowadzono w połowie lat sześćdziesiątych, oraz elektroda wgłębna opracowana przez Penfielda, Jacobsona i Oldsa, a w szczególności ich odkrycia dotyczące między-mózgowia. Podwzgórze stanowi ośrodek reakcji emocjonalnych, tymczasem konstruując i reklamując nasze organy elektroniczne, nie braliśmy go pod uwagę. Fabryka Rosena nigdy nie eksperymentowała z krótkotrwałymi elektrowstrząsami o wybranej częstotliwości, które podrażniają pewne szczególne komórki międzymózgowia, i z pewnością od samego początku przeoczyliśmy istotny fakt, jak łatwo można zestaw elektrycznych przełączników przerobić na klawiaturę o osiemdziesięciu ośmiu czarnych i białych klawiszach. Jak większość ludzi, również ja brzdąkałem na organach nastrojów Hammersteina i podobała mi się ta zabawa. Nie ma w tym jednak nic twórczego. Prawda, że czasami przypadkiem można trafić na nowy układ bodźców stymulujących mózg i dzięki temu wytworzyć nowy rodzaj reakcji emocjonalnych, które normalnie nigdy by się nie

ujawniły. Można nawet - teoretycznie - trafić na kombinację, która wprowadzi cię w stan nirwany. Zarówno korporacja Hammersteina, jak i Waldteufla odniosły dzięki temu niebywały sukces. Ale to nie muzyka. Komu na tym zależy?

- Mnie - oświadczył Maury już na początku grudnia 1978 roku. Postanowił więc zatrudnić inżyniera elektronika - zwolnionego z pracy w Federalnej Agencji Kosmicznej - w nadziei, że zmontuje nam nową wersję organów stymulujących podwzgórze.

Jednak Bob Bundy, mimo całego swego elektronicznego geniuszu, nie miał doświadczenia z organami. Wcześniej zajmował się projektowaniem dla rządu elektronicznych homunkulusów. Homunkulusy to sztuczni ludzie, których zawsze uważałem za roboty. Wykorzystuje się je do badania Księżyca, wysyłając od czasu do czasu w kosmos z przyrządka Canaveral.

Powody, dla których Bundy opuścił przyrządek, są niejasne. Owszem, pił, ale nie ograniczało to jego zdolności. Uganiał się za kobietami, ale kto tego nie robi. Przypuszczalnie pozbyto się go, gdyż stanowił zagrożenie dla bezpieczeństwa. Nie chodzi tu o komunizm - Bundy nigdy nie miał nawet pojęcia o istnieniu jakichkolwiek przekonań politycznych — ale zagrożenie w tym sensie, że cierpiał na hebefrenię. Innymi słowy czasami zniknął gdzieś, nie mówiąc nikomu ani słowa. Chodzi w brudnym ubraniu, nie uczesany, nie ogolony i nigdy nie patrzy ci prosto w oczy. Głupkowato się przy tym uśmiecha. Tę przypadłość psychiatrzy z Federalnego Biura Zdrowia Psychicznego zwykli określać jako dezorganizację hebefreniczną. Gdy zada mu się jakieś pytanie, nie wie, jak na nie odpowiedzieć. Cierpi na blokadę mowy. Ale ręce ma diabelnie sprawne. Może wykonywać swą pracę i robi to dobrze. Zatem ustawa McHestona go nie dotyczy.

Jednak przez wiele miesięcy, które Bundy u nas przepracował, nigdy nie zobaczyłem żadnego jego wynalazku. Szczególnie Maury często z nim przebywa, jako że ja stale jestem w drodze.

- Jedynym powodem, dla którego tak kurczowo się trzymasz tej swojej gitary hawajskiej z elektroniczną klawiaturą — oświadczył Maury — jest to, że towar ten produkuje twój ojciec i brat. Oto dlaczego nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy.

- Używasz argumentów poniżej pasa - odpowiedziałem.

- Scholastyka talmudyczna - odparował Maury. Najwyraźniej zarówno on, jak i cała reszta byli już dobrze wstawieni. Kiedy ja byłem w drodze, ciągnąc długą i ciężką przyczepę, oni tankowali starego burbona.

- Chcesz rozwiązać spółkę? - zapytałem. I w tym momencie gotów byłem to zrobić, a to z powodu pijackiego bełkotu, z jakim Maury wystąpił przeciw memu ojcu, bratu i całej

fabryce Rosena z jej siedemnastoma pełnoetatowymi pracownikami.

- Mówię tylko, że dane z Vallejo i okolicy wydały wyrok śmierci na nasz podstawowy produkt - rzekł Maury - i to pomimo jego sześćset tysięcy dźwięków, z których wiele nie jest nawet słyszalnych przez ludzkie ucho. Masz fioła, jak reszta twojej rodziny, na punkcie tych pozaziemskich szumów voodoo, które wytwarza ta twoja elektroniczna kupa gówna. I ty masz czelność nazywać to instrumentem muzycznym. Żaden z was, Rosenów, nie ma za grosz słuchu. Nie wziąłbym organów elektronicznych Rosena, nawet gdybyście oferowali mi je po kosztach własnych. Prędzej wolałbym wibrafon.

- W porządku! - wykrzyknąłem. - Jesteś purystą. A w ogóle to nie sześćset, lecz siedemset tysięcy.

- Te podrasowane obwody wypływają z siebie jeden i tylko jeden dźwięk - zauważył Maury. - Choć znacznie zmodyfikowana, zasadniczo jest to piszczałka.

- Są tacy, którzy potrafią na tym komponować - zauważyłem.

- Komponować? Przecież komponować na tym złomie to tak, jakby wynajdywać lekarstwo na chorobę, która wcale nie istnieje. Mówię ci, Louis, spal tę część fabryki, która produkuje to draństwo, albo zmień profil produkcji. Zmień na coś nowego, użytecznego, co się przyda ludzkości w jej bolesnej wspinaczce. Słyszysz mnie? - Kiwał się w przód i w tył, dźgając mnie swym długim paluchem. - Siegamy nieba, gwiazd. Człowiek przestał być ograniczony. Słyszysz mnie?

- Słyszę. Ale przypominam ci, że to ty i Bob Bundy mieliście obmyślić nowe i korzystne rozwiązanie naszych problemów. Minęły miesiące i co? Nic.

- Coś mamy - powiedział Maury. - Gdy to zobaczysz, zgodzisz się, że bez wątpienia jest to wynalazek ukierunkowany na przyszłość.

- Pokaż mi go.

- W porządku, pojedziemy do fabryki. Byłoby dobrze, gdyby twój ojciec i brat byli przy tym obecni, zwłaszcza że to oni zajmą się produkcją.

Stojąc ze szklanką w dłoni, Bundy spoglądał na mnie z ukosa ze swoim ukradkowym uśmiechem na ustach. Wszystkie problemy związane z kontaktami towarzyskimi denerwowały go.

- Mam przeczucie, że nas zrujnujecie, chłopaki - oświadczyłem.

- Tak czy owak grozi nam ruina - powiedział Maury - jeśli nadal będziemy się kurczowo trzymać organów WOLFGANG MONTEVERDI Rosena, czy jaką tam etykietkę przykleił na nie w tym miesiącu twój brat Chester.

Zabrakło mi odpowiedzi. W pochmurnym nastroju przyrządziłem sobie drinka.

Rozdział drugi

Limuzyna jaguar mark VII jest staromodnym wielkim samochodem - okazem kolekcjonerskim - ze światłami przeciwmgielnymi, osłoną chłodnicy jak w rollsie, deską rozdzielczą wykładaną ręcznie polerowanym drewnem orzechowym, siedzeniami obitymi skórą i bogatym oświetleniem wnętrza kabiny. Maury utrzymywał swojego bezcennego mark VII rocznik 1954 w nieskazitelnym stanie, idealnie wyregulowanego, lecz i tak na autostradzie między Ontario i Boise nie mogliśmy jechać szybciej niż sto czterdzieści kilometrów na godzinę.

Ospałe tempo zniecierpliwiło mnie.

- Słuchaj, Maury - powiedziałem. - Chciałbym, żebyś rozpoczął wyjaśnienia. Już teraz przybliż mi naszą przyszłość, słowami, tak jak ty to potrafisz.

Siedząc za kierownicą, Maury dmuchnął dymem swojego cygara marki Corina Sport, rozparł się w fotelu i zapytał:

- O czym teraz myśli cała Ameryka?

- O seksie - odparłem. -Nie.

- Zatem o zajęciu przed Rosjanami wewnętrznych planet Układu Słonecznego.

-Nie.

- No dobra, powiedz mi.

- O wojnie secesyjnej z 1863 roku.

- Och, daj spokój.

- To prawda, bracie. Ten kraj ma obsesję na punkcie wojny między stanami. Powiem ci, dlaczego. Była to pierwsza i jedyna epopeja, w której my, Amerykanie, braliśmy udział. Oto dlaczego. - Dmuchnął mi w nos dymem z cygara. - Dzięki temu dojrzelismy jako naród.

- Ja o tym nie myślę - zaproponowałem.

- Mogę się zatrzymać na ruchliwym skrzyżowaniu w centrum pierwszego lepszego dużego miasta w USA, złapać za kołnierz dziesięciu jego obywateli i sześciu na dziesięć zapytanych, o czym najczęściej myśli, odpowie, że o wojnie secesyjnej z 1863 roku. Gdy jakieś sześć miesięcy temu wpadłem na ten pomysł, od razu zacząłem rozpracowywać jego konsekwencje, jego stronę praktyczną. Będzie on miał kapitalne znaczenie dla spółki WAZA, jeśli tylko zechcemy, jeśli będziemy gotowi. Wiesz, że jakieś dziesięć lat temu mieliśmy rocznicę. Przypominasz sobie?

- Tak - powiedziałem. - W 1963 roku.

- Obchody były całkowitą klapą. Paru facetów odegrało kilka bitew, ale to było do niczego. Spójrz na tylne siedzenie.

Zapaliłem światło w kabinie i obróciłem się do tyłu. Na siedzeniu ujrzałem długie, owinięte w gazetę pakunek, kształtem przypominający kukłę z wystawy sklepowej, jednego z tych manekinów. Brak wybrzuszenia w okolicy piersi podpowiedział mi, że nie mam do czynienia z kobietą.

— Więc? — zapytałem.

- Oto nad czym pracowałem.

- Kiedy ja wyznaczałem rejony do wysłania ciężarówek!

- Aha - przyznał Maury. - Ale z czasem dzięki temu osiągniemy taką sprzedaż w porównaniu z klawikordami i organami elektronicznymi, że w głowie ci się zakręci. -Kiwał głową z przekonaniem. - A teraz słuchaj... kiedy dojedziemy do Boise, nie chcę, aby twój ojciec i Chester dali nam w kość. Dlatego koniecznie muszę ci opowiedzieć

o wszystkim teraz. To coś z tyłu warte jest miliard dolarów dla nas lub dla każdego, kto na to wpadnie. Zatrzymam się

i zademonstruję ci, jak to działa, może w jakimś barze albo na stacji benzynowej, lub gdziekolwiek, gdzie jest wystarczająco dobre światło. - Maury wydawał się spięty, ręce trzęsły mu się bardziej niż zazwyczaj.

- Jesteś pewny? - zapytałem. - To chyba nie jest kukła Louisa Rosena, której każesz mnie znokautować, a potem postawisz ją na moim miejscu?

Maury spojrzał na mnie z zastanowieniem.

- Dlaczego akurat to ci przyszło do głowy? Nie, nie o to chodzi, ale przypadkiem jesteś blisko, bracie. Widzę, że nasze umysły wciąż nadają na tej samej fali... zupełnie jak dawniej, na początku lat siedemdziesiątych, gdy obaj zaczynaliśmy, byliśmy zieloni i nie mieliśmy żadnego wsparcia, nie licząc może twojego ojca i tego twojego młodszego brata, który jest postrachem wszystkich. Ciekawe, dlaczego Chester nie został weterynarzem, jak zamierzał? Tak byłoby dla nas lepiej; bylibyśmy ocaleni. A w zamian mamy tę fabrykę klawikordów w Boise, Idaho. Istne szaleństwo!

- Twoja rodzina nie osiągnęła nawet tego - powiedziałem. - Nigdy niczego nie zbudowali, niczego nie stworzyli. Domokrążcy, podrzędni naganiacze w przemyśle odzieżowym. Co oni takiego zrobili, żeby się zahaczyć w biznesie, jak Chester i mój ojciec? Co, u licha, robi ta kukła na tylnym siedzeniu? Chcę wiedzieć i nie mam zamiaru się zatrzymywać przy żadnym barze czy stacji benzynowej. Mam złe przeczucie, że naprawdę

chcesz mnie wykończyć lub coś w tym rodzaju. Nie zatrzymujemy się więc.

- Nie potrafię tego opisać słowami.

- Oczywiście, że potrafisz. Ty. taki artysta od wstawiania gładkich gadek.

- Dobra, powiem ci, dlaczego obchody rocznicy wojny secesyjnej się nie udały. Stało się tak dlatego, że jej prawdziwi uczestnicy, ci, którzy rwali się do walki, którzy nie wahali się położyć na szali swojego życia i umrzeć za Unię czy Konfederację, są martwi. Nikt nie dożywa setki, a jeśli już, to jest do niczego; nie może walczyć, nie ma sił, by dźwigać karabin. Zgodzisz się?

- Chcesz powiedzieć, że tam z tyłu masz mumię czy coś, co w horrorach zwą „żywym trupem”? - zapytałem.

- Powiem ci, co tam mam. Na tylnym siedzeniu, zapakowany w gazetę, leży sobie Edwin M. Stanton.

- Kto to taki?

- Minister wojny za prezydentury Lincoln.

- He, he!

- To prawda.

- Kiedy on zmarł?

- Dawno temu.

- Właśnie tak sobie pomyślałem.

- Posłuchaj - powiedział Maury. - Tam z tyłu mam elektronicznego homunkulusa. Ja go zbudowałem, a raczej zbudował go dla nas Bundy. Kosztował mnie sześć tysięcy dolarów, ale jest tego wart. Zatrzymajmy się przy tamtym barze obok stacji benzynowej. Rozpakuję go i zademonstruję ci, jak działa; to jedyny sposób. Poczulem, jak cierpie mi skóra.

- O, na pewno.

- Myślisz, bracie, że to może jakiś żart?

- Myślę, że jesteś śmiertelnie poważny.

- Bo jestem - przyznał Maury. Zaczął zwalniać i wrzucił kierunkowskaz. - Zatrzymam się przy tej włoskiej restauracji U Tommy'ego i barze Pyszne Piwko.

- A co potem? Na czym będzie polegała demonstracja?

- Rozpakujemy go i zabierzemy ze sobą do restauracji. Niech zamówi kurczaka i pizzę z szynką. To właśnie rozumiem przez demonstrację.

Maury zaparkował jaguara i przesiadł się na tylne siedzenie. Zaczął zdzierać gazety z człekokształtnego pakunku i rzeczywiście, po chwili ukazał się starszy dżentelmen. Miał zamknięte oczy, białą brodę i nosił staromodny garnitur. Ręce trzymał złożone na piersiach.

- Zobaczysz - odezwał się Maury - jak ten homunkulus będzie się przekonywająco zachowywał, zamawiając dla siebie pizzę. - Mówiąc to, zaczął majstrować przy przełącznikach umieszczonych na plecach kukły.

Nagle jej twarz przybrała nieodgadniony, niemy wyraz i homunkulus przemówił dobitnie:

- Bądź tak dobry, przyjacielu, i zabierz te palce z mojego ciała.

Ręce Maury'ego zostały stanowczo odsunięte, a on sam spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Widzisz? - powiedział.

Kukła powoli usiadła, otrzepując się metodycznie. Patrzyła na nas surowo, mściwie, jakby uważała, że zrobiliśmy jej coś złego - że dochodzi do siebie po tym, jak żeśmy ją pobili i skopali. W porządku, wiedziałem już, że chłopak z baru U Tommy'ego się nabierze. Wiedziałem, że Maury dowiódł swego. Gdybym nie widział, jak to się budzi do życia, sam bym uwierzył, że mam przed sobą zgorzkniałego starszego pana, staromodnie ubranego, noszącego białą brodę z przedziałkiem i otrzepującego się z gniewnym wyrazem twarzy.

- Widzę - odparłem.

Maury uchylił szerzej drzwi jaguara i pan Edwin M. Stanton, elektroniczny homunkulus, wysunął się z auta, z godnością prostując się do pozycji pionowej.

- Czy to ma jakieś pieniądze przy sobie? - zapytałem.

- Pewnie - odpowiedział Maury. - Nie zadawaj głupich pytań. To najpoważniejsza rzecz, z jaką kiedykolwiek miałeś do czynienia. - Idąc zwirową drogą w kierunku restauracji, Maury kontynuował swoją przemowę: - Cała nasza finansowa przyszłość, jak również przyszłość całej Ameryki, od tego zależy. Dzięki niemu za dziesięć lat będziemy bogaci.

Wszyscy trzej zamówiliśmy pizzę i otrzymaliśmy ciasto przypalone na brzegach. Edwin M. Stanton zrobił głośną awanturę, wygrażając właścicielowi pięścią. W końcu, zapłaciwszy rachunek, wyszliśmy.

Byliśmy już godzinę spóźnieni i zastanawiałem się, czy w ogóle dotrzemy do fabryki Rosena. Kiedy więc podeszliśmy do jaguara, poprosiłem Maury'ego, żeby mocniej nacisnął na gaz.

- Ten samochód wyciąga trzy setki na godzinę na tym nowym raketowym paliwie stałym - oświadczył Maury, ruszając.

- Nie narażaj się bez potrzeby - oświadczył Edwin M. Stanton ponurym głosem, kiedy samochód z rykiem wyjeżdżał na drogę. - Chyba że potencjalne zyski zdecydowanie górują nad ryzykiem.

- Nawzajem - odpowiedział mu Maury.

Fabryka klawikordów i organów elektronicznych Rosena w Boise, Idaho, nie przyciąga uwagi, gdyż jej bryłę -technicznie zwaną halą produkcyjną - stanowi jednopiętrowy budynek przypominający z wyglądu jednowarstwowe ciastko. Z tyłu znajduje się parking, a nad biurem wisi szyld ułożony z liter wyciętych z grubego plastyku - bardzo nowoczesny, podświetlony od tyłu na czerwono. Okna są jedynie w biurze.

O tak późnej porze fabryka była ciemna i zamknięta na głucho. W środku nie było żywej duszy. Podjechalśmy więc pod część mieszkalną.

- Co pan sądzi o okolicy? - zwrócił się Maury z pytaniem do Edwina M. Stantona.

Siedząca prosto na tylnym siedzeniu postać mruknęła:

- Raczej nieporządna i zapuszczona.

- Słuchaj - odezwałem się - moja rodzina mieszka w przemysłowej dzielnicy Boise, aby mieć blisko do fabryki. -Rozzłościło mnie, że zwykła podróba krytykuje prawdziwych ludzi, a zwłaszcza tak dobrych ludzi, jak mój ojciec. A co do mojego brata, to poza ehesterem Rosenem tylko nielicznym popromiennym mutantom udało się osiągnąć wysoką pozycję w przemyśle instrumentów muzycznych. Osoby „specjalnie urodzone”, jak się ich nazywa. Panuje w stosunku do nich tyle uprzedzeń, tak często są narażeni na dyskryminację... większość lepszych zawodów jest przed nimi zamknięta.

To, że Chester urodził się z oczyma umieszczonymi poniżej nosa, a z ustami tam, gdzie powinny się znajdować oczy, stanowiło nieustające źródło zgryzoty dla całej naszej rodziny. Ale odpowiedzialność za stan Chestera i innych jemu podobnych nieszczęśników rozsianych po całym świecie spada na próby z bombą wodorową, jakie przeprowadzano w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Pamiętam, jak w dzieciństwie przeglądałem książki medyczne na temat wad wrodzonych u noworodków - zagadnienie, rzecz zrozumiała, interesujące wielu ludzi przez ostatnie dwadzieścia lat - i znalazłem tam takie przypadki, przy których Chester to małe piwo. Kilkudniową depresję wywołał u mnie szczególnie przypadek płodu, który rozpadał się w łonie matki i rodził się w kawałkach - osobno szczęka, ramię, garść zębów, pojedyncze palce. Zupełnie jak te plastikowe zestawy, z których chłopcy budują modele samolotów. Z tą tylko różnicą, że z kawałków płodu nic się nie da złożyć. Nie ma na świecie takiego kleju, który by to z powrotem połączył w całość.

Bywają plody całe porośnięte włosami, wyglądające jak kaptcie z futra jaka. Trafiają się też całe wysuszone, z popękana skórą, jakby dojrzewały cały czas w palącym słońcu. Zostawmy więc Chestera w spokoju.

Jaguar zahamował przy krawężniku przed naszym domem. Byliśmy na miejscu.

Zauważyłem zapalone światła w salonie - znak, że matka z bratem oglądają telewizję.

- Niech Edwin M. Stanton sam pójdzie na górę - odezwał się Maury. - Niech zapuka do drzwi, a my zostaniemy w samochodzie i zobaczymy, co się stanie.

- Mój ojciec na milę rozpozna w nim podróbkę - powiedziałem. — Założę się, że zrzuci go ze schodów i będziesz do tyłu o sześćset dolarów. - Nie wiem, ile naprawdę Maury zapłacił, ale na pewno obciążył kosztami rachunek spółki WAZA.

- Trzymam zakład - rzekł Maury, uchylając tylne drzwi samochodu tak, aby urządzenie mogło wysiąść. Na odchodnym powiedział do niego: - Idź pod numer 1429 i zadzwoń do drzwi. A kiedy zjawi się gospodarz, powiedz: „Teraz należy on do historii”. A potem po prostu stań i czekaj.

- O co tu chodzi? - zapytałem. - Co ma znaczyć ta uwaga na powitanie?

- To słynne zdanie wypowiedziane przez Stantona, które zapewniło mu miejsce w historii - rzekł Maury. - Kiedy umarł Lincoln.

- „Teraz należy on do historii” - powtarzał Stanton, zmierzając w stronę schodów.

- Tymczasem opowiem ci, jak skonstruowaliśmy Edwina M. Stantona - powiedział Maury. - Jak złożyliśmy całe ciało na podstawie resztek należących do Stantona i jak w UCLA przeniesiono program z taśmy perforowanej do centralnej monady służącej homunkulusowi za mózg.

- Wiesz, co robisz? - odezwałem się z obrzydzeniem. - Rujnujesz firmę tym szalonym pomysłem. Nigdy nie powinienem się z tobą zadawać.

- Cicho - szepnął Maury, gdy Stanton nacisnął dzwonek. Drzwi wejściowe otworzyły się i w progu stanął ojciec

ubrany w spodnie, kaptur i nowy szlafrok, który podarowałem mu na gwiazdkę. Wyglądał imponująco i Edwin M. Stanton, który rozpoczął swoją przemowę, nagle urwał i postanowił zmienić bieg.

- Drogi panie - powiedział w końcu - mam zaszczyt znać pańskiego syna, Louisa.

- Ach tak - rzekł ojciec. - Louis jest teraz gdzieś w Santa Monica.

Edwin M. Stanton najwyraźniej nie miał pojęcia, co to takiego Santa Monica, i stał, nie wiedząc, co począć. Siedzący obok mnie w jaguarze Maury zaklął poirytowany, a mnie zachciało się śmiać. Homunkulus zachowywał się jak jakiś początkujący, niezbyt dobry sprzedawca, który nie wie, co powiedzieć, i stoi w milczeniu.

Był to jednak imponujący widok. Dwóch starszych panów stojących naprzeciw siebie i mierzących się wzrokiem: Stanton ze swoją białą brodą z przedziałkiem, w staromodnym ubraniu i mój ojciec wyglądający równie archaicznie. Spotkanie dwóch patriarchów,

pomyślałem. Zupełnie jak w synagodze.

W końcu mój ojciec odezwał się:

- Proszę, niech pan wejdzie. - Uchylił szerzej drzwi i homunkulus przeszedł obok niego, znikając we wnętrzu domu. Drzwi zostały zamknięte, a oświetlona weranda na powrót opustoszała.

- I co ty na to? - spytałem Maury'ego.

Poszliśmy w ślady Stantona. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc weszliśmy do środka.

W salonie na środku kanapy siedział Stanton, ręce złożył na kolanach. Był pogrążony w rozmowie z ojcem, podczas gdy Chester i matka dalej oglądali telewizję.

- Tato - powiedziałem - tracisz czas, rozmawiając z tym czymś. Wiesz, co to jest? Maszyna za sześć doliców, którą Maury złożył do kupy w piwnicy.

Ojciec oraz Stanton przerwali rozmowę i spojrzeli na mnie.

- Ten miły starszy pan? - zapytał ojciec i jego twarz przybrała surowy i twardy wyraz. Zmarszczył brwi i głośno powiedział: - Pamiętaj, Louis, człowiek jest jak krucha trzcina, jest najdelikatniejszą rzeczą w przyrodzie, ale do diabła, mein Sohn, jest rzeczą myślącą. Wszechświat nie musi się go bać; może go zabić kropla wody. - Wyciągając palec w moim kierunku, ojciec rozdarł się na całe gardło: - Ale gdyby wszechświat miał go zniszczyć, to wiesz co?! Wiesz, co ci powiem?! Człowiek nadal będzie godny szacunku! -Walnął pięścią w poręcz krzesła dla podkreślenia wagi swych słów. - A wiesz dlaczego, mein Kind? Ponieważ człowiek wie, że umrze. I jeszcze coś ci powiem. Ma przewagę nad cholernym wszechświatem, który za grosz nie ma pojęcia, co się dzieje. I w tym właśnie - rzekł na zakończenie, uspokajając się nieco - zawiera się cała nasza ludzka godność. Człowiek jest mały i nie wypełnia sobą czasu i przestrzeni, ale z pewnością potrafi zrobić użytek z rozumu, którym Bóg go obdarzył. Podobnie jak ta „rzecz”, jak byłeś łaskaw się wyrazić. Nie, to nie jest rzecz. To człowiek, ein Mensch. A teraz opowiem wam dowcip. - I ojciec zaczął opowiadać, częściowo w jidysz, częściowo po angielsku.

Gdy skończył, wszyscy się roześmialiśmy, choć miałem wrażenie, że śmiech Edwina M. Stantona był nieco formalny, a nawet wymuszony.

Starałem się przypomnieć sobie wszystko, co kiedyś czytałem o Stantonie. Pamiętam, że podczas wojny domowej i później w okresie Rekonstrukcji, a zwłaszcza podczas jego zatargu z prezydentem Andrew Johnsonem, którego chciał usunąć z urzędu, zaskarbił sobie opinię twardego faceta. Prawdopodobnie nie podobał mu się humanistyczny wydzźwięk dowcipu mojego ojca, ponieważ codziennie podczas pracy musiał wysłuchiwać podobnych od

Lincolna. Ale ojca i tak nic nie mogło powstrzymać. Choć jego ojciec prowadził studia nad Spinozą i był człowiekiem bardzo znanym, to mój ojciec skończył edukację tylko na siedmiu klasach. Był jednak bardzo czytany i prowadził korespondencję z wieloma wybitnymi ludźmi na całym świecie.

— Przepraszam cię, Jerome — powiedział Maury do ojca, gdy zapanowała chwila ciszy — ale to prawda. - Podeszedł do Edwina M. Stantona i pomanipulował chwilę przy jego uchu.

- Gulp - czknął Stanton i zamarł. Było w nim teraz tyle życia, co w sklepowym manekinie. Oczy mu pociemniały, ręce zeszywniały. Było to bardzo widowiskowe i zerknąłem na ojca, by zobaczyć, jak to przyjął. Nawet Chester i matka oderwali na chwilę wzrok od telewizora. Zapadła chwila pełna napięcia. Gdyby nie to, że w powietrzu już się unosił filozoficzny nastrój, z pewnością ta chwila by go przywołała. Wszyscy nagle spowaźniliśmy. Tato podeszedł nawet do Stantona, aby własnoręcznie rzecz zbadać.

- Oj gwalt - rzekł i potrzęsął głową z niedowierzaniem.

- Mogę znowu go włączyć - zaofiarował się Maury.

- Nein, das geht mir nicht. - Ojciec wrócił na fotel, rozsiadł się wygodnie i zapytał zrezygnowanym, rzeczowym głosem: - Jak tam sprzedaż w Vallejo, chłopcy? - Gdy namyślaliśmy się nad odpowiedzią, sięgnął po pudełko cygar Anthony & Cleopatra, odwinął jedno z folii i zapalił. Jest to wyśmienity gatunek hawańskich cygar, opakowanych w zieloną folię. Jego zapach natychmiast przeniknął cały salon. -Duzo sprzedaliście organów i klawikordów AMADEUS GLUCK? - Zachichotał.

- Jerome - powiedział Maury - klawikordy idą jak ciepłe bułki, ale w organach posucha.

Ojciec zmarszczył brwi.

- Rozmawialiśmy o tym na wysokim szczeblu - ciągnął Maury - i ustaliliśmy pewne fakty. Organy elektroniczne Rosena...

- Zaczekaj - przerwał mu ojciec. - Nie tak szybko, Maurice. Po tej stronie żelaznej kurtyny organy Rosena są bezkonkurencyjne. - Sięgnął do stolika i wziął do ręki jedną z tych ebonitowych płytek, na których montujemy oporniki, baterie słoneczne, tranzystory, przewody. - Ten układ przedstawia zasadę działania prawdziwych organów elektronicznych - zaczął. - To natychmiastowy układ opóźniający, a to...

- Wiem, jak działają organy, Jerome. Pozwól mi przedstawić mój pomysł.

- Dobrze, mów. - Odłożył ebonitową płytkę, ale zanim Maury zdążył się odezwać, ojciec znów przemówił: - Jeśli jednak oczekujesz, że zrezygnujemy z naszego głównego

źródła utrzymania tylko z powodu sprzedaży, tylko dlatego, że sprzedaż spadła, a spadła, bo brak jest woli do sprzedaży, wiem to z doświadczenia...

- Jerome, posłuchaj - przerwał mu Maury - proponuję rozwój firmy.

Ojciec uniósł brwi ze zdziwienia.

- Wy, Rosenowie, jeśli chcecie, możecie dalej produkować te swoje elektroniczne organy - ciągnął Maury - ale mówię wam, że ich sprzedaż będzie bez przerwy spadać, widowiskowo i skutecznie, tak jak teraz. Potrzebujemy czegoś zupełnie nowego.

Hammerstein produkuje swoje organy nastrojów, które sprzedają się lepiej niż dobrze.

Kontroluje niemal cały rynek, więc nie mamy co próbować w tej branży. A oto mój pomysł.

Ojciec sięgnął do ucha i włączył aparat słuchowy.

- Dziękuję ci, Jerome - powiedział Maury. - Ten oto Edwin M. Stanton jest elektronicznym homunkulusem. Przyznasz, że jest dobry. To tak, jak gdyby żywy Stanton zawitał tu do nas na wieczorną pogawędkę. Gdzie to sprzedać? Do szkół jako pomoc dydaktyczną? Można, ale to drobiazg. Początkowo myślałem o tym, ale prawdziwy interes można zrobić na czymś innym. Zaproponujemy prezydentowi Mendozie w Kongresie, że zlikwidujemy wojnę, zastępując ją dziesięcioletnimi obchodami stulecia wojny secesyjnej, a my, Rosenowie, dostarczymy wszystkich uczestników, wszystkie homunkulusy. Lincolna, Jeffa Davisa, Roberta E. Lee, Longstreeta i około trzech milionów zwykłych żołnierzy, których będziemy stale mieć na składzie. Będziemy rozgrywać bitwy, których uczestnicy naprawdę będą ginąć. Te homunkulusy rozrywają się na kawałki. Nie tak, jak na tych filmach klasy B, gdzie wszystko wygląda jak w sztukach Szekspira granych przez teatryki szkolne. Rozumiesz, o co mi chodzi? Widzisz te perspektywy?

Zapadło milczenie. Tak, pomyślałem, są w tym perspektywy.

- W pięć lat moglibyśmy stać się tak potężni jak General Dynamics - dodał Maury.

Ojciec spoglądał na niego, paląc swoje A & C.

- Nie wiem, Maurice. Naprawdę nie wiem. - Potrząsnął głową.

— Dlaczego nie spróbować? Powiedz mi, Jerome, co w tym widzisz złego?

- Chyba dałeś się ponieść nowym czasom - powiedział ojciec powoli, zmęczonym głosem, i na koniec westchnął. -A może to ja się starzeję.

- Tak, starzejesz się! - krzyknął Maury, cały czerwony ze złości.

- Może masz rację, Maurice. - Ojciec umilkł na chwilę, po czym wstał z fotela i rzekł:

- Nie, Maurice, twój pomysł jest zbyt ambitny. Jesteśmy zbyt małą firmą. Nie powinniśmy mierzyć zbyt wysoko, bo możemy runąć w dół, nicht wahr?

- Nie gadaj do mnie po niemiecku - mruknął Maury. -Jeśli się nie zgodzisz na ten

pomysł... Przepraszam, ale zaszedłem już za daleko, by się wycofać. W przeszłości miałem wiele pomysłów, które wykorzystaliśmy, a ten jest najlepszy ze wszystkich. Najwyższy czas, Jerome. Musimy wykonać jakiś ruch.

Posmutniały ojciec ponownie zaciągnął się dymem z cygara.

Rozdział trzeci

Nie tracąc wciąż nadziei, że ojciec da się przekonać, Maury pozostawił u niego Stantona - powiedzmy, jako zastaw -po czym ruszyliśmy w drogę powrotną do Ontario. Była już prawie północ, gdy dotarliśmy na miejsce. Ponieważ obaj byliśmy przygnębieni wstrzeźliwością i brakiem entuzjazmu ze strony mojego ojca, Maury zaproponował mi nocleg u siebie w domu, na co chętnie przystałem, gdyż potrzebowałem towarzystwa.

W mieszkaniu Maury'ego zastaliśmy jego córkę, Pris, co było dla mnie niespodzianką, jako że sądziłem, iż wciąż przebywa w Klinice Kasanina w Kansas City na przymusowym leczeniu z nakazu Federalnego Biura Zdrowia Psychicznego. Pris, o czym dowiedziałem się od Maury'ego, znajdowała się pod kuratelą rządu federalnego od trzeciej klasy szkoły średniej. Rutynowe testy przeprowadzane w szkole wykryły u niej „wybują dynamizm”, jak obecnie psychiatrzy w swoim zawodowym żargonie określają rodzaj schizofrenii, na który cierpiała.

- Pris cię rozweseli - powiedział Maury, kiedy ociągałem się z wejściem. - Obaj tego potrzebujemy. Bardzo wyrosła, odkąd widziałeś ją po raz ostatni; dawno przestała być dzieckiem. Wchodź. - Złapał mnie za ramię i wciągnął do środka.

Pris siedziała pośrodku salonu ubrana w różowe szorty. Włosy miała krótko obcięte. Znacznie schudła przez te lata, kiedy jej nie widziałem. Dookoła niej walały się kolorowe kafelki, które łamała na nieregularne odłamki ogromnymi szczypcami.

- Chodź, obejrzyj łazienkę - powiedziała, zrywając się z podłogi.

Zmęczony podążyłem za nią.

Ściany łazienki pokrywały szkice przeróżnych stworów morskich: ryb, a nawet syren. Pris częściowo wypełniła je mozaiką ułożoną z kawałków glazury we wszystkich możliwych kolorach. Syreny na miejscu cycków miały po czerwonym odłamku, po jednym jaskrawym kawałku w środku każdej piersi.

Poczułem zarówno odrazę do tego dzieła, jak i zainteresowanie nim.

- Czemu nie wprawisz w każdy sutek po światełku? -zapytałem. - Gdy ktoś wejdzie, aby skorzystać z kibla, i zapali światło, świecące sutki wskażą mu drogę.

Nie ulega wątpliwości, że tę manię z układaniem glazurowej mozaiki Pris zawdzięcza terapii zajęciowej prowadzonej w Kansas City. Ludzie chorzy psychicznie przepadają za pracą twórczą. W kilku klinikach rządowych są dosłownie dziesiątki tysięcy pacjentów: wszyscy mocno zajęci tkaniem, malowaniem, tańcem, wyrobem biżuterii, oprawianiem

książek czy szyciem kostiumów teatralnych. Ale nie przebywają tam z własnej woli, lecz z wyroku sądu. Podobnie jak Pris, wielu trafiło tam w okresie dojrzewania, kiedy to psychozy ujawniają się najczęściej.

Bez wątpienia stan Pris bardzo się poprawił, gdyż w przeciwnym razie nie zwolniono by jej z kliniki. Dla mnie wciąż jednak nie wyglądała normalnie i nie zachowywała się naturalnie. Wracając do salonu, przyjrzałem się jej dokładnie. Miała z lekka toporną twarz w kształcie serca, ciemne włosy z kosmykiem opadającym na czoło, a osobliwy makijaż z czarnymi obwódkami wokół oczu nadawał jej twarzy błazeński wyraz. Do tego używała prawie purpurowej pomadki. Całe to kolorystyczne zestawienie nadawało jej nierealny, lalkowaty wygląd. Pod maską, jaką uczyniła ze swojej twarzy, jej prawdziwy wygląd całkowicie się zatracił. A efekt podkreślała jeszcze szczupłość jej ciała. Robiła na mnie wrażenie tańczącej kostuchy, cudem jakimś ożywionej, choć z pewnością nie dzięki normalnemu jedzeniu i picciu... odżywiała się chyba tylko orzechami. Mimo to pod pewnymi względami wyglądała dobrze, choć na pewno niezwykle, mówiąc oględnie. Jednak - jak na mój gust - wyglądała mniej naturalnie niż Stanton.

- Kwiatuś - zwrócił się do niej Maury - zostawiliśmy Edwina M. Stantona u ojca Louisa.

Zerkając na nas, zapytała:

- Wyłączyliście go? - W jej oczach zapaliły się dzikie, jasne ogniki, które zrobiły na mnie duże wrażenie, ale także nieco przstraszyły.

— Pris — powiedziałem — faceci od zdrowia psychicznego sknócili formę, gdy cię na nowo odlewali. Wyrosłaś na przerażającego, a jednak uroczego kociaka, co można docenić, gdy już się stamtąd wydostałaś.

- Dzięki - odrzekła bez śladu emocji w głosie. Dawnymi czasy też mówiła głosem zupełnie bezbarwnym, niezależnie od sytuacji, nawet w chwilach największego kryzysu. I to się nie zmieniło.

- Szykuj wyro - poprosiłem Maury'ego. - Chcę się położyć.

Rozłożyliśmy łóżko w pokoju gościnnym, rzucając na wierzch prześcieradła, koce i poduszkę. Jego córka nie uczyniła najmniejszego ruchu, aby nam pomóc. Pozostała w salonie, tnąc kafelki.

- Jak długo pracowała nad tym freskiem w łazience? -zapytałem.

- Odkąd tylko wróciła z kliniki, a więc już ładny kawał czasu. Przez pierwsze dwa tygodnie musiała się zgłaszać do tutejszego szpitala psychiatrycznego. Właściwie to jeszcze nie została zwolniona. Wypuszczono ją na próbę i musi regularnie chodzić na psychoterapię.

Można powiedzieć, że w świecie zewnętrznym przebywa na kredyt.

- Jak z nią? Lepiej czy gorzej?

- Dużo lepiej. Nigdy ci nie mówiłem, jak źle z nią było, kiedy w szkole średniej skierowano ją na badania. Nie mogliśmy dojść, co z nią było nie w porządku. Szczerze mówiąc, Bogu dzięki za ustawę McHestona. Gdyby nie zrobiono jej wtedy testów, gdyby choroba nadal się rozwijała, dziś miałaby pewnie albo pełnoobjawową schizofrenię paranoidalną, albo dezorganizację hebefreniczną. Z pewnością nigdy nie opuściłaby zakładu.

- Wygląda jakoś dziwnie - zauważyłem.

— Co sądzisz o tej mozaice?

- Z pewnością nie podnosi wartości domu. Maury najeżył się.

- Oczywiście, że podnosi.

W progu pokoju gościnnego stanęła Pris i rzekła:

- Pytałam, czy go wyłączyliście? - Obrzuciła nas groźnym spojrzeniem, jakby się domyślała, że rozmawialiśmy o niej.

- Owszem - odparł Maury - chociaż Jerome mógł go włączyć po naszym wyjściu, aby podyskutować o Spinozie.

- Co on tam może wiedzieć? - powiedziałem. - Chyba że wrzuciliście do niego garść luźnych faktów. W przeciwnym razie ojciec szybko straci zainteresowanie.

Odpowiedziała mi Pris:

- Zna te same fakty, co prawdziwy Edwin M. Stanton. Przystudiowaliśmy jego życie do n-tego stopnia.

Wyrzuciłem oboje z sypialni, zdjąłem ubranie i poszedłem do łóżka. Po chwili usłyszałem, jak Maury życzy córce dobrej nocy i udaje się do własnej sypialni. A potem zapadła cisza, nie licząc - jak się spodziewałem - odgłosów przecinania kafelków.

Przez godzinę leżałem, to zasypiając, to budząc się z powodu donośnych trzasków. W końcu wstałem, zapaliłem światło, ubrałem się, przyczesłem włosy, przetarłem oczy

i opuściłem pokój gościnny. Pris siedziała w pozie jogina, dokładnie w tym samym miejscu, w którym wczoraj po raz pierwszy ją ujrzałem. Obok niej piętrzył się teraz ogromny stos połamanych kafelków.

- Nie mogę spać przy tym hałasie - oświadczyłem Pris.

- Trudno. - Nawet nie podniosła wzroku.

- Jestem gościem.

- Idź gdzie indziej.

- Chyba wiem, co symbolizują te szczypce - powiedziałem. - Kastrowanie tysięcy mężczyzn, jednego po drugim. Czy po to opuściłaś Klinikę Kasanina? Aby spędzać całe noce na tej robocie?

- Nie, idę do pracy.

- Jakiej? Rynek pracy jest nasycony.

- Nie boję się, zwłaszcza że drugiej takiej jak ja nie ma na całym świecie. Już otrzymałam propozycję od firmy załatwiającej formalności emigracyjne. Wykonują tam wiele obliczeń statystycznych.

- A więc będziesz jedną z tych osób, które decydują o tym, komu przyznać pozwolenie na opuszczenie Ziemi.

- Odrzuciłam ją. Nie chcę być jeszcze jednym biurokrata. Czy słyszałeś o Samie K. Barrowsie?

- Niee... - odparłem. Ale nazwisko brzmiało znajomo.

- „Look” zamieścił o nim artykuł. Gdy miał dwadzieścia lat, codziennie wstawał o piątej rano, zjadał miskę suszonych śliwek, przebiegał dwie mile ulicami Seattle, po czym golił się i brał prysznic. Później wychodził z domu, by studiować książki prawnicze.

- A więc to prawnik.

- Nie, teraz już nie - powiedziała Pris. - Sięgnij na półkę. Znajdziesz tam numer „Look”.

- Co mnie to obchodzi - rzekłem, ale posłusznie poszedłem po magazyn.

Istotnie, na okładce widniało kolorowe zdjęcie faceta i podpis:

**SAM K. BARROWS, NAJBARDZIEJ DYNAMICZNY AMERYKAŃSKI
MULTIMILIONER MŁODEGO POKOLENIA**

Magazyn nosił datę 18 czerwca 1981 roku, a więc był dość świeży. W środku rzeczywiście było zdjęcie Sama, jak uprawia jogging w porze wyglądającej na wschód słońca, biegnąc wzdłuż nabrzeża w centrum Seattle, ubrany w krótkie spodenki khaki i szary podkoszulek. Nadęty, zadowolony z siebie facet o gładko ogolonej twarzy z oczami przypominającymi dwa węgielki wetknięte w twarz bałwana: maleńkie, bez wyrazu. Poza uśmiechem - twarz pozbawiona wyrazu.

- Gdybyś widział go w telewizji... - zaczęła Pris.

- Owszem, widziałem, jakiś rok temu - wtrąciłem. Teraz sobie przypominam, ponieważ zrobił wtedy na mnie niezbyt dobre wrażenie. Ten monotony sposób mówienia... nachylał się do ucha reportera i szybko coś do niego mamrotał. - Czemu chcesz dla niego pracować? - zapytałem.

- Sam Barrows - powiedziała Pris - jest największym spekulantem ziemią, jaki kiedykolwiek po niej chodził. Wyobraź to sobie.

- Pewnie dlatego, że zabrakło już wolnych terenów do sprzedaży - rzekłem. - Większość pośredników nieruchomościami zbankrutowała, bo nie ma już czego sprzedawać. Zostali tylko ludzie, których nie ma gdzie upchnąć.

I naraz sobie przypomniałem. Barrows rozwiązał problem handlu nieruchomościami. Za pomocą szeregu dalekosiężnych działań legislacyjnych udało mu się nakłonić rząd Stanów Zjednoczonych do wydania zezwoleń umożliwiających handel ziemią na innych planetach. Sam Barrows w pojedynkę otworzył klientom drogę na Księżyc, Marsa i Wenus. Jego nazwisko na trwale zapisze się w historii.

- A więc to jest facet, dla którego chcesz pracować - powiedziałem. - Facet, który zanieczyszcza nie tknięte dotąd inne światy. - Jego rozsiani po całych Stanach Zjednoczonych pośrednicy oferowali na sprzedaż barwnie reklamowane działki na Księżycu.

- „Zanieczyszcza nie tknięte dotąd inne światy” - przedrzeźniała mnie Pris. - Jeszcze jeden z tych ekologicznych sloganów.

- Ale prawdziwy - odparłem. - Posłuchaj, w jaki sposób zamierzasz wykorzystać ziemię, kiedy już ją kupisz? Jak

można tam mieszkać? Nie ma wody, nie ma powietrza, nie ma ogrzewania, nie...

- Wszystko zostanie zapewnione - powiedziała Pris. - Jak?

- To właśnie czyni z Barrowsa wielkiego człowieka - rzekła. - Jego wizja. Korporacja Barrowsa pracuje nad tym dzień i noc...

- Oszustwo - wtrąciłem. Zapadła cisza. Pełna napięcia cisza.

- Rozmawiałaś kiedyś osobiście z Barrowsem? - zapytałem. - Mieć bohatera to jedno. To normalne dla młodej dziewczyny wielbić faceta, którego zdjęcia pojawiają się na okładkach czasopism, który występuje w telewizji i który jest bogaty. Faceta, który w pojedynkę wydał Księżyc na żer rekinom i spekulantom ziemią. Ale mówiłaś coś o dostaniu pracy.

- Wysłałam do jednej z jego firm podanie o pracę, w którym zaznaczyłam, że chciałam się z nim spotkać.

- Wyśmiali cię.

- Nie, wpuścili mnie do jego biura. Był tam i słuchał mnie przez jedną pełną minutę. Potem, oczywiście, musiał wrócić do swoich obowiązków. Przekazał mnie szefowi działu kadr.

- O czym powiedziałaś mu w ciągu tej jednej minuty?

- Popatrzyłam na niego. On popatrzył na mnie. Nigdy nie widziałeś go na żywo. Jest niesamowicie przystojny.

— W telewizji wyglądał jak gad — zauważyłem.

— Powiedziałam mu, że na milę potrafię wyczuć zwykłego naciągacza. Gdybym była jego sekretarką, nie pozwoliłabym, żeby ktokolwiek trwonił jego czas. Potrafię być twarda, a jednocześnie nigdy nie odprawiłabym z kwitkiem nikogo ważnego. Widzisz, mogę być jak szlaban: otwierać i zamykać dostęp do jego gabinetu. Rozumiesz?

- Ale czy potrafisz otwierać listy?

- Od tego mają maszyny.

- Twój ojciec się tym zajmuje. Na tym polega jego praca u nas.

- Dlatego nigdy bym dla was nie pracowała - powiedziała Pris. — Ponieważ jesteście tacy żenująco mali. Trudno was zauważyć. Nie, nie potrafię otwierać listów. Nie potrafię wykonywać żadnej rutynowej pracy. Powiem ci, co umiem robić. Moim pomysłem było zbudowanie homunkulusa, sobowtóra Edwina M. Stantona.

Poczułem głęboki niepokój.

— Maury nigdy by na to nie wpadł — ciągnęła. — Bundy, owszem, jest geniuszem... miewa chwile natchnienia. Ale to uczony idiota. Resztę jego mózgu całkowicie przeżarła hebefrenia. Ja zaprojektowałam Stantona, a on go zbudował. I odnieśliśmy sukces, sam widziałeś. Nie chcę, ani nawet nie potrzebuję, żadnego uznania. Zrobiłam to dla przyjemności. Była to praca twórcza, podobnie jak to, co teraz robię. - Znow zabrała się do przycinania kafelków.

- Co robił Maury? Zawiązał mu sznurowadła?

- Maury zajął się stroną organizacyjną. Baczył, abyśmy mieli wszystko, czego nam trzeba.

Miałem przerażające wrażenie, że ten rzeczowy opis jest zgodny z prawdą. Mogłem to oczywiście sprawdzić, pytając Maury'ego. Nie sądziłem jednak, aby ta dziewczyna w ogóle potrafiła kłamać. Była prawie całkowitym przeciwieństwem swego ojca. Prawdopodobnie wdała się w matkę, której nigdy nie miałem okazji poznać. Rozwiedli się na długo przedtem, nim poznałem Maury'ego i zawiązaliśmy spółkę. Jeszcze jedna rozbita rodzina.

- Zadowolona jesteś z wizyt u swojego psychoanalityka?

- Owszem. A ty?

- Ja tego nie potrzebuję - powiedziałem.

- I tu się mylisz. Jesteś bardzo chory, zupełnie tak samo jak ja. - Zerknęła na mnie z uśmiechem. - Spójrz w oczy faktom.

— Mogłabyś przerwać to przecinanie? Chciałbym zasnąć.

- Nie. Chcę dziś w nocy skończyć ośmiornicę.

- Padnę trupem, jeśli się nie prześpię - rzekłem.

- I co z tego.

- Proszę - błagałem.

- Jeszcze dwie godziny - odpowiedziała Pris.

- Czy wszyscy zachowują się tak jak ty? - zapytałem. - Chodzi mi o ludzi, którzy opuszczają kliniki federalne. Odnowieni młodzi ludzie, których z powrotem naprowadzono na właściwy kurs. Nic dziwnego, że mamy kłopoty ze sprzedażą organów.

— Jakich organów? — zapytała Pris. — Mam wszystkie potrzebne organy.

- Nasze są elektroniczne.

- A moje nie. Moje są z krwi i kości.

- Dajmy temu spokój - powiedziałem. - Lepiej, gdyby były elektroniczne. Poszłabyś do łóżka i dała gościowi się przespać.

- Nie jesteś moim gościem, tylko ojca. I nie mów nic o pójściu do łóżka, bo zrujnuje ci życie. Powiem ojcu, że złożyłeś mi niedwuznaczną propozycję, i to będzie koniec spółki WAZA i twojej kariery. Wtedy będziesz żałował, że kiedykolwiek widziałeś jakieś organy, elektroniczne czy nie. A zatem szoruj do łóżka, bracie, i ciesz się, że nie masz większych problemów niż kłopoty z zaśnięciem. - Znowu zabrała się do przecinania płytek.

Postałem przez chwilę, zastanawiając się, co robić. W końcu odwróciłem się i poszedłem do pokoju gościnnego, nie znajdując odpowiednio ciętej repliki.

Dobry Boże, pomyślałem. Przy niej nawet maszyna w rodzaju Stantona jest ciepła i przyjazna.

Pris jednak nie czuła do mnie wrogości. Nie miała pojęcia, że powiedziała coś przykrego czy okrutnego - po prostu wróciła do swojej pracy. Z jej punktu widzenia nic się nie stało. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

Gdyby naprawdę mnie nie lubiła... ale czy to możliwe? Czy w jej wypadku słowo to w ogóle ma jakieś znaczenie?

Może lepiej bym zrobił, gdybym zamknął drzwi sypialni na klucz. Być przez nią nie lubianym musiałoby oznaczać coś bardziej ludzkiego, łatwiejszego do uchwycenia. Ale być odprawionym ot tak sobie, żeby jej nie przeszkadzać, aby mogła skończyć swoją pracę... tak, jak gdybym był czymś w rodzaju hamulca, potencjalną przeszkodą i niczym więcej.

Musi dostrzegać w ludziach tylko tę najcieńszą, najbardziej zewnętrzną ich powłokę, zdecydowałem. Musi sobie uświadamiać ich obecność jedynie w kategoriach wpływu, jaki na

nią wywierają... Tak rozmyślając, przycisnąłem jedno ucho do poduszki, a drugie zakryłem ręką, tłumiąc w ten sposób odgłosy przecinania: bezustanną procesję następujących po sobie trzasków, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

Zrozumiałem, dlaczego spodobał się jej Sam K. Barrows. Ptaszek obrosły w piórka albo raczej gad na dużą skalę. Zarówno na ekranie telewizora, jak i teraz, patrząc na okładkę magazynu... odnosiło się wrażenie, jakby część mózgowia głowy Barrowsa, gładko ogolone sklepienie czaszki zostało odcięte i zręcznie zastąpione jakimś serwomechanizmem, układem sprzężenia zwrotnego zbudowanego z cewek i przekaźników, sterowanym gdzieś z zewnątrz lub kontrolowanym przez Coś, co siedzi piętro wyżej nad pulpitem kontrolnym, przerzucając przełączniki nieznacznymi, szybkimi ruchami.

Równie dziwne było to, że dziewczyna ta pomogła stworzyć niemal sympatycznego elektronicznego homunkulusa, jakby na poziomie podświadomości zdawała sobie sprawę z własnych kolosalnych braków, pustki martwego wnętrza i gorączkowo starała się je skompensować...

Nazajutrz jedliśmy z Maurem śniadanie w niewielkiej restauracji przy tej samej ulicy co budynek spółki WAZA. Gdy spoglądaliśmy na siebie znad stołu, rzekłem:

- Słuchaj, jak ciężko chora jest obecnie twoja córka? Jeśli w dalszym ciągu znajduje się pod kuratelą ludzi od zdrowia psychicznego, to wciąż musi...

- Tego rodzaju schorzenia nie można wyleczyć - powiedział Maury, popijając sok pomarańczowy. - Stan taki utrzymuje się przez całe życie i może jedynie przechodzić mniej lub bardziej ciężkie fazy.

- Czy i teraz zostałaby sklasyfikowana jako schizofreniczka zgodnie z ustawą McHestona, gdyby skierowano ją na test przysłów Benjamina?

- Teraz nie stosuje się testu Benjamina - odpowiedział Maury. - Obecnie skierowano by ją na radziecki test Wygotskiego-Łurii z kolorowymi klockami. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak prędko jej wyniki zaczęłyby odbiegać od normy, gdyby ciebie przyjęto za taką „normę”.

- W szkole pomyślnie przeszedłem test Benjamina. -W roku 1975, a w niektórych stanach jeszcze wcześniej, było to warunkiem sine qua non uznania kogoś za normalnego.

- Na podstawie tego - ciągnął Maury - co mi powiedziano, gdy odbierałem ją z Kliniki Kasanina, dowiedziałem się, że obecnie Pris nie jest kwalifikowana jako schizofreniczka. Za taką uważano ją tylko przez mniej więcej trzy lata. W klinice cofnęli ją do stanu poprzedzającego ten okres i udało im się przywrócić jedność osobowości, jaką miała mniej więcej w wieku lat dwunastu. A to, jako stan niechorobowy, nie podlega ustawie

McHestona... tak więc może się swobodnie poruszać po okolicy.

- A zatem jest neurotyczką.

- Nie, nazywa się to atypowym rozwojem bądź psychozą ukrytą, lub też psychotycznym stanem pogranicza. Może on przejść w nerwicę natręctw albo rozkwitnąć jako pełno-objawowa schizofrenia, co faktycznie przydarzyło się Pris, gdy była w trzeciej klasie szkoły średniej.

Jedząc śniadanie, Maury opowiedział mi historię jej dzieciństwa. Na początku była dzieckiem zamkniętym w sobie, czyli reprezentowała to, co nazywa się introwertyzmem lub wyizolowaniem. Trzymała się na uboczu, miała różne swoje sekrety, takie jak pamiętnik, tajne zakamarki w ogrodzie. Później, w wieku lat dziewięciu, zaczęła miewać nocne lęki - tak silne, że przez rok większość nocy spędzała, wałęsając się po domu. Gdy skończyła jedenaście lat, zainteresowała się nauką. Dostała w prezencie Małego Chemika i po powrocie ze szkoły niczym innym się nie zajmowała. Miała niewiele koleżanek - a może nawet ani jednej - i wydawało się, że wcale jej nie zależy na tym, aby mieć ich więcej.

Prawdziwe kłopoty zaczęły się, gdy poszła do szkoły średniej. Bała się wchodzić do dużych budynków publicznych,

takich jak szkoła, a nawet wsiadać do autobusu. Kiedy drzwi się zamykały, miała wrażenie, że się dusi. Nie mogła również jadać w miejscach publicznych. Wystarczyło, że przyglądała się jej tylko jedna osoba, a już, podobnie jak dzikie zwierzę, chciała uciekać z talerzem gdzieś w kąt. W tym samym czasie stała się również pedantycznie porządną. Wszystko miało ściśle wyznaczone miejsce. Bez końca chodziła po domu, sprawdzając, czy wszędzie jest czysto - potrafiła dziesięć do piętnastu razy pod rząd myć ręce.

- I pamiętasz - dodał Maury - że bardzo utyla. Gdy ją spotkałeś po raz pierwszy, była dorodną dziewczyną, a potem zaczęła się odchudzać. Głodziła się na śmierć, by stracić na wadze. I wciąż ją traci. Zawsze unikała jedzenia jednej potrawy za drugą. W dalszym ciągu tak postępuje.

- I trzeba było aż testu przysłów, abyś stwierdził, że cierpi na chorobę psychiczną? - zapytałem. - Z taką historią?

Maury wzruszył ramionami.

- Oszukiwaliśmy się. Wmawialiśmy sobie, że to tylko objawy nerwicy. Fobie, dziwactwa i tym podobne...

Maury'ego najbardziej martwiło, że gdzieś po drodze jego córka straciła poczucie humoru. Zamiast tak jak dawniej chichotać, wygłupiać się, dokazywać, stała się obecnie precyzyjna jak kalkulator. Ale to nie wszystko. Kiedyś bardzo lubiła zwierzęta. Później

jednak, podczas pobytu w Kansas City, coś w nią wstąpiło i od tej pory nie może znieść widoku kota czy psa. Ciągle jednak rozwijała swoje chemiczne zainteresowania. A to - konkretne przecież zajęcie - Maury uważał za objaw pozytywny.

- Czy psychoterapia, której poddaje się obecnie, ma na nią dobry wpływ?

- Utrzymuje ją na stabilnym poziomie, jej stan się nie pogarsza. Wciąż wykazuje silne skłonności hipochondryczne i często myje ręce. Nigdy zresztą nie przestała tego robić. Ciągle również jest nadmiernie drobiazgową i skrytą. Mogę ci powiedzieć, jak to nazywają: osobowość schizoidalną. Oglądałem wyniki testu z plamami atramentowymi, który przeprowadził doktor Horstowski. - Przerwał na chwilę. - Tak nazywa się przydzielony jej psychoterapeuta w tym obwodzie, Obwodzie Piątym, licząc według wytycznych Biura Zdrowia Psychicznego. Horstowski uważany jest za dobrego fachowca, ale przyjmuje Pris w ramach swojej prywatnej praktyki, więc kosztuje to kupę forsy.

- Wielu ludzi za to płaci - powiedziałem. - Sądząc po ogłoszeniach puszcanych w telewizji, nie jesteś wyjątkiem. Jak to leci... co czwarta osoba korzysta z usług państwowych klinik psychiatrycznych?

- Nie chodzi mi o leczenie w klinice, gdyż jest ono darmowe. Złości mnie natomiast ta kosztowna psychoterapia prywatna. To był jej, a nie mój pomysł, aby opuścić Klinikę Kasanina i wrócić do domu. Myślałem, że zamierza tam powrócić, ale ona zaangażowała się w projektowanie homunkulusa, w wolnych chwilach wykładając mozaiką ściany w łazience. Nigdy nie przestaje. Nie wiem, skąd ona czerpie na to siły.

- Kiedy pomyślę, jak wiele znanych mi osób cierpi na chorobę umysłową, to ogarnia mnie zdumienie - rzekłem. - Ciotka Gretchen, która przebywa w Klinice Harry'ego Stacka Sullivana w San Diego. Kuzyn Leo Roggis. Pan Haskins, mój nauczyciel angielskiego ze szkoły średniej. George Oliven, stary Włoch na rencie, który mieszkał na tej samej ulicy co ja. Przypominam też sobie Arta Bolesa, kumpla z wojska. Cierpiał na schizofrenię i wylądował w Klinice Fromma-Reichmanna w Rochester w stanie Nowy Jork. Była też Alys Johnson, koleżanka z uniwersytetu. Jest teraz w Klinice Samuela Andersena w Obwodzie Trzecim, czyli, jeśli się nie mylę, w Baton Rouge w Luizjanie. Dalej Ed Yeats, facet, dla którego pracowałem. On też cierpiał na schizofrenię, która przeszła w paranoję. A także inny mój kumpel, Waldo Dangerfield. Gloria Milstein, dziewczyna, która, o ile pamiętam, miała piersi wielkie jak melony. Bóg wie, gdzie ona teraz jest. Wpadła na rutynowym teście orientacji zawodowej, kiedy starała się o pracę maszynistki. Przyjechali po nią federalni i tyle ją widziano. Była naprawdę śliczna. Ponadto John Franklin Mann, handlarz używanymi samochodami. W teście wypadł jako zaawansowany schizofrenik i też został zabrany.

Prawdopodobnie do Kasanina, gdyż miał krewnych w Missouri. Marge Morrison, kolejna moja znajoma, została z kolei zaklasyfikowana jako typ hebe, co zawsze wprawiało mnie w zakłopotanie. Ale wypuszczono ją z kliniki. Wiem, bo przysłała mi

kartkę. Następnie mój współlokator Bob Ackers oraz Eddy Weiss...

Maury wstał od stołu.

- Lepiej już chodźmy - powiedział. Opuściliśmy bar.

- Znasz Sama K. Barrowsa? - zapytałem.

- Pewnie. Znaczący nie osobiście, ale ze słyszenia. To straszny skurczybyk. O wszystko się zakłada. Gdyby jedna z jego kochanek - a jego kochanki to historia sama w sobie - a więc gdyby któraś z nich wyskoczyła z okna pokoju hotelowego, założyłby się, jaka część ciała wcześniej uderzy o chodnik: głowa czy tyłek. Zachowuje się tak, jak wskrzeszony do życia jeden z tych dawnych spekulantów, jeden z rekinów finansjery. Dla takiego faceta życie jest grą. Podziwiam go za to.

- Podobnie jak Pris.

- Podziwia... Ona go uwielbia. Spotkała się z nim. Patrzyli na siebie. Był to rodzaj wzajemnego sondowania. Rzucił na nią jakiś elektryczny, magnetyczny czy inny diabelski urok. Przez wiele tygodni po tym spotkaniu z trudem mogła mówić.

- Czy to było wtedy, kiedy poszukiwała pracy? Maury skinął głową.

— Nie dostała jej w końcu, ale znalazła się w świętym przybytku. Louis, ten facet potrafi wszędzie wyczuć nowe możliwości, możliwości, które nikomu innemu nie przyszłyby do głowy za milion lat. Powinieneś czasami przeglądać »Fortune". Jakies dziesięć miesięcy temu zamieścili o nim duży artykuł.

- Z tego, co mi mówiła Pris, podobno zrobiła na nim pewne wrażenie.

- Powiedziała mu, że posiada niesamowity dar, którego nikt nie docenia. Najwyraźniej to on miał go docenić. Tak czy owak, powiedziała, że pracując dla niego, osiągnie sam szczyt w jego organizacji i stanie się sławna w całym wszechświecie. Ale w każdym razie będzie się pięła w górę. Powiedziała mu, że podobnie jak on jest hazardzistką. Była gotowa zrobić wszystko, aby tylko móc dla niego pracować. Zdobyłbyś się na coś takiego?

- Nie - odparłem. - O tym mi nie mówiła. Po chwili Maury znów się odezwał:

- Edwin M. Stanton to też jej pomysł.

A więc jednak to była prawda. Usłyszawszy to, poczułem się naprawdę źle.

- A czyjej pomysłem było, że ma to być właśnie sobowtór Stantona?

- Nie, to był mój pomysł. Ona chciała, żeby homunkulus wyglądał jak Sam K.

Barrows. Ale brak było wystarczającej liczby danych, aby odpowiednio zaprogramować

układ monad sterujących. Zebraliśmy więc dane w oparciu o monografie dotyczące postaci historycznych. A ja zawsze interesowałem się wojną secesyjną; od lat było to moje hobby. Wybraliśmy więc Stantona.

- Rozumiem - powiedziałem.

- Ale ona wciąż myśli o Samie K. Barrowsie. Jej psychoanalityk nazwał to obsesją. Szliśmy w stronę budynku spółki WAZA.

Rozdział czwarty

Gdy weszliśmy do biura, czekał na nas telefon z Boise od mojego brata Chestera, który przypomniał nam, że w salonie zostawiliśmy Edwina M. Stantona. Prosił, żebyśmy go stamtąd zabrali.

- Dobra, spróbujemy to dziś zrobić - obiecałem mu.

- Siedzi tam, gdzie go zostawiliście - ciągnął Chester. - Ojciec rano włączył go na parę minut, żeby sprawdzić, czy poda wiadomości.

- Jakie wiadomości?

- Poranne wiadomości. Skrót najważniejszych wydarzeń, jak u Davida Brinkleya.

Chester użył sformułowania „podać wiadomości”. Zatem moja rodzina uwierzyła mi w końcu i uznała Stantona za maszynę, a nie za człowieka.

- I co, podał? - zapytałem.

- Nie - odparł Chester. - Opowiadał coś o niebywałym zuchwalstwie dowódców wojskowych.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, Maury zauważył:

- Może Pris mogłaby go odebrać?

- A ona ma samochód? - zapytałem.

- Może wziąć jaguara. A ty lepiej pojedź z nią na wypadek, gdyby nadal była szansa zainteresowania twego ojca projektem.

Kilka godzin później w biurze zjawiała się Pris i razem wyruszyliśmy do Boise.

Pierwszą część podróży przebyliśmy w milczeniu, Pris za kierownicą. Nagle powiedziała:

- Znasz kogoś, kto jest zainteresowany Edwinem M. Stantonem? - Zerknęła na mnie.

- Nie. Co to za dziwne pytanie?

— Zatem jaki jest prawdziwy powód, że wybrałeś się w tę podróż? Musisz mieć jakiś ukryty powód... to wyciera z każdej pory twojej skóry. Gdyby to ode mnie zależało, trzymałabym cię od Stantona na odległość co najmniej stu metrów.

Ponieważ nie przestawała na mnie spoglądać, zrozumiałem, że znajduję się pod baczna obserwacją.

- Czemu się nie ożeniłeś? - zapytała.

- Nie wiem.

- Jesteś homoseksualistą? - Nie!

- A może jakaś dziewczyna, w której się zakochałeś, uznała cię za zbyt szpetnego?
Jęknąłem.

- Ile masz lat?

To pytanie brzmiało rozsądnie, ale w świetle jej ogólnego zachowania nawet w nim wietrzyłem podstęp.

- Ummm - zamruczałem.

- Czterdzieści?

- Nie, trzydzieści trzy.

- Włosy po bokach masz jednak przyprószone siwizną, a do tego te twoje śmiesznie wyglądające zębiska.

Chciałem się zapaść pod ziemię.

- Jaka była twoja pierwsza reakcja na Stantona? - zapytała Pris.

- Pomyślałem: „Jaki miły starszy pan tam siedzi” - powiedziałem.

- Kłamiesz, prawda? - Tak!

- Co więc naprawdę pomyślałeś?

- Pomyślałem: „Jaki miły starszy pan siedzi tam zawinięty w gazetę”.

Pris rzekła z namysłem:

- Przypuszczalnie czujesz słabość do starszych panów, więc twoja opinia jest niewiele warta.

- Posłuchaj, Pris, ktoś kiedyś rozwali ci ten łeb metalową pałką. Rozumiesz?

- Ciężko ci się uporać z własną złością, nieprawdaż? Czy dlatego, że we własnym mniemaniu czujesz się niedowartościowany? Może jesteś dla siebie zbyt surowy. Opowiedz mi o swoich chłopięcych snach i marzeniach, a ja ci powiem, czy... — Nigdy, nawet za miliard dolarów.

- Czyżby były nieprzyzwoite? - Nie przestawała bacznie mnie obserwować. - Czyżbyś uprawiał nieprzystojne zabawy seksualne, jak to opisują książki psychiatryczne?

Czułem się tak, jakbym za chwilę miał zemdleć.

- Najwyraźniej trafiłam w twój czuły punkt - skonstatowała Pris. - Ale nie masz powodu do wstydu. Przecież już tego nie robisz? Choć z drugiej strony mógłbyś... nie jesteś żonaty i odmawiasz sobie normalnych zachowań seksualnych. - Zadumała się nad tym. - Ciekawa jestem, jak Sam radzi sobie w sprawach seksu.

- Sam Vogel? Nasz kierowca? Jest teraz gdzieś w okolicy Reno w Newadzie.

- Nie, Sam K. Barrows.

- Masz fioła - powiedziałem. - Twoje myśli, twoje słowa, twoje mozaiki w łazience,

twoje zaangażowanie w budowę Stantona.

- Homunkulus jest iście genialnym tworem.

- Co na to twój psychoanalityk?

- Milt Horstowski? Powiedziała mu o wszystkim. Oświadczył, że...

- Przyznaj się, że jego zdaniem jest to rodzaj obłąkanego, maniakalnego natręctwa.

- Nie. Zgodził się, że powinnam się zająć jakąś twórczą pracą. Kiedy opowiedziałam mu o Stantonie, pochwalił projekt i życzył nam sukcesu.

- Przypuszczalnie przedstawiłaś mu sprawę w diabelnie zafalszowanym świetle.

- Nie. Powiedziała mu prawdę.

- O rozegraniu na nowo wojny secesyjnej z udziałem robotów?

- Tak. Uznał, że coś w tym jest.

- Jezu Chryste - powiedziałem. - Wszyscy powariowaliście.

- Wszyscy - rzekła Pris, sięgając ręką do mojej głowy i targając moje włosy - oprócz ciebie, mój chłopcze, prawda?

Nie miałem już nic do powiedzenia.

- Bierzesz wszystko tak poważnie - wycodziła. - Odpreż

się, ciesz się życiem. Jesteś typem analnym. Obowiązkowym. Powinieneś kiedyś odpuścić tym swoim zwieraczom... i zobaczyć, jak to jest. Chcesz uchodzić za złego człowieka. To skryte pragnienie każdego przedstawiciela typu analnego. Taki uważa, że musi spełnić swój obowiązek, i dlatego jest takim pedantem potrafiącym tylko piętrzyć trudności. Jak w tym wypadku; ty wątpisz w ten cały projekt.

- Nie tylko wątpię, ale mam złowróźbne przeczucie absolutnej katastrofy.

Pris roześmiała się, czochrając mi włosy.

- Tak cię śmiesz mój paniczny strach? - spytałem.

- Tu nie chodzi o strach, który odczuwasz - zauważyła rzeczowo Pris. - Chodzi po prostu o trochę naturalnego zwierzęcego pożądania. Trochę do mnie, trochę do pieniędzy, trochę do władzy, trochę do sławy. - Rozstawiwszy kciuk i palec wskazujący, pokazała, jak niewiele ma na myśli. - Ogólnie mniej więcej tyle. Oto prawdziwy wymiar twoich wielkich, gwałtownych emocji. — Powoli spojrzała na mnie, zadowolona z siebie.

Jechaliśmy dalej.

W Boise odebraliśmy z domu rodziców homunkulusa, zawinęliśmy go w gazetę i zataszczyliśmy do auta. W Ontario Pris wysadziła mnie przed biurem. W drodze powrotnej niewiele rozmawialiśmy. Pris zamknęła się w sobie, a we mnie mieszała się z urazą obawa o nią. Moje rozterki zdawały się ją bawić. Zachowałem jednak tyle rozsądku, aby trzymać gębę

na kłódkę.

W biurze zastałem czekającą na mnie niską, tłuściutką czarnulkę. Miała na sobie gruby płaszcz, w ręku trzymała walizeczkę.

- Pan Rosen?

- Taak - odpowiedziałem, zastanawiając się, czy mam do czynienia z doręczycielką wezwań sądowych.

- Colleen Nild. Jestem z biura pana Barrowsa. Pan Barrows prosił mnie, abym do pana wpadła na krótką rozmowę, jeśli ma pan chwilę czasu. - Miała niski, niepewny głos i wyglądała, pomyślałem, jak czyjaś bratanica.

- Czego pan Barrows sobie życzy? - zapytałem ostrożnie, wskazując jej krzesło. Sam usiadłem naprzeciw niej.

— Pan Barrows polecił mi sporządzić kopię listu, który przygotował dla panny Pris Frauzimmer, kopię dla pana. - Wręczyła mi trzy cieniutkie kartki. Zauważyłem coś zamazanego, niewyraźnego, co jednak było poprawnie napisanym urzędowym listem. - Jest pan z rodziny Rosenów, prawda? To wyście zaproponowali podjęcie produkcji homunkulusów?

Przebiegając wzrokiem list, zauważyłem co rusz pojawiające się nazwisko Stanton. Była to odpowiedź Barrowsa na list od Pris w jego sprawie. Ale nie mogłem uchwycić myśli Barrowsa. Wszystko było bardzo mętne.

Nagle załapałem, co jest grane.

Barrows najwyraźniej źle zrozumiał Pris. Uznał, że pomysł ponownego rozegrania wojny secesyjnej za pomocą elektronicznych homunkulusów produkowanych w naszej fabryce w Boise jest społecznym przedsięwzięciem, czymś w rodzaju patriotycznego działania zmierzającego do edukacji społeczeństwa, użyznienia pustyni. Oto, co dostała, powiedziałem do siebie. Tak, miałem rację. Barrows dziękował jej za pomysł, za wzięcie jego osoby pod uwagę w związku z tym przedsięwzięciem... ale, jak pisał, każdego dnia otrzymuje wiele propozycji i obecnie jest bardzo zaangażowany w wiele ważnych projektów. Na przykład dużo czasu zajęło mu zwalczanie nakazu zburzenia osiedla domków zbudowanych podczas wojny gdzieś w Oregonie... list stawał się w tym miejscu tak niejasny, że zupełnie straciłem wątek.

- Mogę to zatrzymać? - zapytałem pannę Nild.

- Proszę bardzo. Gdyby miał pan jakieś uwagi, jestem pewna, że pan Barrows chętnie ich wysłucha.

- Długo pracuje pani u pana Barrowsa?

- Osiem lat, panie Rosen. - W jej głosie dało się wyczuć dumę.
- Czy rzeczywiście jest miliarderem, jak piszą w gazetach?
- Pewnie tak, panie Rosen. - Zamrugła brązowymi oczami, co spotęgowały okulary.
- Czy pan Barrows dobrze traktuje swoich podwładnych?

Zaśmiała się, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi.

- Co to za projekt to osiedle Wielka Błada Łysina, o którym pan Barrows wspomina w liście?

- To określenie Wzgórz Boskiej Łaskawości, jednego z największych osiedli domków mieszkalnych na północnym wybrzeżu Pacyfiku. Tak je zawsze nazywał pan Barrows, choć pierwotnie termin ten miał wydźwięk ironiczny. Wymyślili go ludzie, którzy chcieli je zburzyć, a pan Barrows go przejął, termin oczywiście, chcąc chronić mieszkających tam ludzi, aby nie czuli się opluwani. Oni doceniają jego wysiłki. Wystosowali nawet petycję z podziękowaniem dla niego za pomoc w zablokowaniu nakazu wyburzenia. Było tam prawie dwa tysiące podpisów.

- Zatem ludzie, którzy tam mieszkają, nie chcą zburzenia swoich domów.

- Och nie, są bardzo do nich przywiązani. Jest tam co prawda grupa mściwistów, niepracujących kobiet, ludzi z towarzystwa, którzy chcą zwiększyć wartość swej ziemi. Chcą, by zbudowano tam klub golfowy lub coś w tym rodzaju. Nazwali się Północno-Zachodnim Komitetem Obywatelskim na rzecz Lepszych Warunków Mieszkaniowych. Przewodzi im pani Devorac.

Przypomniałem sobie, że czytałem o niej w gazetach wychodzących w Oregonie. Obracała się w modnych kręgach, zawsze w coś zaangażowana. Jej zdjęcie regularnie pojawiała się na pierwszej stronie kroniki towarzyskiej.

- Dlaczego panu Barrowsowi tak zależy na ocaleniu tego osiedla mieszkaniowego? - zapytałem.

- Złości go pozbawianie amerykańskich obywateli ich praw. Większość z nich to biedacy, którzy nie mają dokąd pójść. Pan Barrows ich dobrze rozumie, zwłaszcza że przez lata mieszkał w wynajętym mieszkaniu... Czy pan wie, że jego rodzina była równie biedna jak inne? Sam doszedł do pieniędzy, dzięki poświęceniu i ciężkiej pracy.

- Tak - powiedziałem. Wydawała się czekać na ciąg dalszy, więc dodałem: - To miłe, że wciąż się utożsamia ze środowiskiem, z którego się wywodzi, nawet teraz, kiedy jest miliarderem.

— Większość pieniędzy pan Barrows zarobił na handlu nieruchomościami, więc jest wyczulony na problemy, wobec których stają ludzie chcący nabyć porządną dom. Dla dam z

towarzystwa, takich jak Silvia Devorac, Wielka Błada Łysina jest jedynie zbiorowiskiem starych budynków. Żadna z nich nie pofatygowała się nigdy, aby wejść do środka jakiegoś domu. Nigdy by im nawet to do głowy nie przyszło.

- Wie pani, słuchając tego, co pani mówi o dokonaniach pana Barrowsa, czuję, że nasza cywilizacja nie zmierza jeszcze ku upadkowi.

Posłała mi swój ciepły, spontaniczny uśmiech.

- Czy wiadomo pani coś o Stantonie, tym elektronicznym homunkulusie? - zapytałem.

- Słyszałam, że zbudowano jeden egzemplarz. Panna Frauentzimmer poinformowała nas o tym zarówno w swoim piśmie, jak i w telefonicznej rozmowie z panem Barrowsem. Pamiętam też, że pan Barrows mówił mi, iż panna Frauentzimmer chciała wsadzić Stantoną do autobusu Greyhounda i wysłać go samego do Seattle, gdzie pan Barrows obecnie przebywa. Byłby to widowiskowy sposób zademonstrowania jego umiejętności przebywania z innymi ludźmi i pozostania nierozpoznanym.

- Pominąwszy jego brodę z przedziałkiem i staromodny garnitur.

- Nie wzięłam tych czynników pod uwagę.

- Być może homunkulus posprzeczałby się z kierowcą taksówki o najkrótszą drogę z dworca autobusowego do biura pana Barrowsa - powiedziałam. - Byłby to dodatkowy dowód jego człowieczeństwa.

- Wspomnę o tym panu Barrowsowi - odparła Colleen Nild.

- Czy słyszała pani o elektronicznych organach Rosena albo o naszych klawikordach?

- Nie jestem pewna.

- Fabryka Rosena w Boise jest producentem najlepszych na świecie organów polifonicznych. Dużo lepszych od organów nastrojów Hammersteina, które emitują dźwięki niewiele różniące się od lekko przetworzonych dźwięków fletu.

- O tym też nie wiedziałam - powiedziała panna, a może pani Nild. - Wspomnę o tym panu Barrowsowi. On zawsze lubił muzykę.

Wciąż ślęczałem nad listem Barrowsa, kiedy z popołudniowej przerwy na kawę wrócił mój współnik. Pokazałem mu list.

- Pismo od Barrowsa do Pris - powiedział, siadając, by się mu dokładniej przyjrzeć. - Myślę, że go mamy. Prawda, Louis? Bo chyba nie jest to wymysł Pris? Cholera, trudno zrozumieć tego faceta. W końcu jest czy nie jest zainteresowany Stantonem?

- Barrows chce chyba dać do zrozumienia, że obecnie jest całkowicie pochłonięty swoim własnym projektem. Chodzi o to osiedle mieszkaniowe Wielka Błada Łysina.

- Mieszkałem tam kiedyś - rzekł Maury. - W końcu lat pięćdziesiątych.

- Jak tam jest?

- Jak w piekle, Louis. Ten śmietnik dawno powinno się doszczętnie spalić. Tylko kompletne zrównanie z ziemią mogłoby się przysłużyć temu miejscu.

- Niektórzy społecznicy zgodziliby się z tobą. Napiętym głosem Maury powiedział cicho:

- Jeśli szukają kogoś chętnego do podpalenia, sam zgłoszę się na ochotnika. Możesz się na mnie powołać. Ten teren jest własnością Sama Barrowsa.

- Aha. - Skinąłem głową.

- Zarabia fortunę na czynszach. Wynajem slumsów jest dziś najlepszym na świecie interesem. Możesz zarobić na tym od pięciuset do sześciuset procent pierwotnie zainwestowanej kwoty. Nie możemy jednak pozwolić, aby nasze osobiste poglądy wzięły górę nad interesami. Barrows to szczwany lis, ale najlepszy biznesmen, jaki mógłby poprzeć projekt z homunkulusami, nawet jeśli jest bogatym łajdakiem. Mówisz jednak, że właściwie w tym liście odrzuca nasz pomysł?

- Możesz do niego zadzwonić i sam się przekonać. Pris zdaje się już do niego dzwoniła.

Maury chwycił słuchawkę i wykręcił numer.

- Zaczekaj - rzekłem. Spojrzał na mnie.

- Mam przeczucie, że zdarzy się coś strasznego - powiedziałem.

Maury rzucił do słuchawki:

- Pan Barrows?

Złapałem za słuchawkę i odłożyłem ją na widełki.

- Ty... - Cały trząsł się z wściekłości. - Ty tchórze. - Podniósł słuchawkę i ponownie wykręcił numer. - Centra-

la? Coś nas rozłączyło. - Szukał wzrokiem listu od Barrowsa, na którym był numer jego telefonu. Złapałem za list, zmiąłem go w kulkę i cisnąłem w kąt pokoju.

Klnąc ze złości, Maury rzucił słuchawkę na widełki.

Staliśmy naprzeciw siebie, ciężko dysząc.

- Co w ciebie wstąpiło? - zapytał Maury.

- Sądzę, że nie powinniśmy się zadawać z takim facetem.

-Jakim?

- Takim, którego bogowie zniszczyliby w pierwszym odruchu złości! - oświadczyłem.

To nim wstrząsnęło.

- O co ci chodzi? - mruknął, wyciągając szyję i spoglądając na mnie z góry. - Uważasz, że zwariowałem, chcąc do niego zadzwonić? Że powinno się mnie odesłać do czubków? Może. Ale i tak to zrobię. - Rzucił się szczupakiem w kąt pokoju, by złapać zmięty kawałek papieru. Wygładził go, nauczył się numeru na pamięć i sięgnął po telefon. Ponownie zamówił rozmowę.

- Już po nas - powiedziałem.

Chwilę ciszy przerwał nagle głos Maury'ego:

- Halo, czy mógłbym rozmawiać z panem Barrowsem? Dzwoni Maury Rock z Ontario w Oregonie.

Znowu chwila ciszy.

- Pan Barrows. Tu Maury Rock. - Na jego ustach pojawił się uśmiezek. Pochylił się i oparł łokcie na udach. - Mam przed sobą pański list do mojej córki, Pris Frauentzimmer... chodzi o ten nasz niesamowity wynalazek, elektronicznego homunkulusa, uosobionego w czarującej, ucharakteryzowanej stosownie do epoki, postaci Edwina McMastersa Stantona, ministra wojny w rządzie Lincolna. - Chwila ciszy, podczas której gapił się na mnie pustym wzrokiem. - Czy jest pan zainteresowany? - Jeszcze jedna przerwa, tym razem o wiele dłuższa.

Nie zrobisz interesu, Maury, pomyślałem.

- Panie Barrows - powiedział Maury - rozumiem, o co panu chodzi. To prawda. Ale niech mi pan pozwoli jeszcze raz wyłożyć tę sprawę, bo może coś uszło pańskiej uwagi.

Rozmowa zdawała się ciągnąć w nieskończoność. W końcu Maury podziękował Barrowsowi, pożegnał się i odłożył słuchawkę.

- Pudło - stwierdziłem.

Spojrzał na mnie zmęczonym wzrokiem. - Uff.

- Co powiedział?

- To samo, co w liście. Wciąż nie dostrzega w tym komercyjnego przedsięwzięcia. Myśli, że jesteśmy organizacją patriotyczną. - Zamrugnął oczami i pokręcił głową z niedowierzaniem. - Pudło, jak powiedziałeś.

- Trudno.

- Może jeszcze wyjdzie to nam na dobre - rzekł. Ale w jego głosie czuło się jedynie rezygnację. Brzmiał tak, jakby Maury sam nie wierzył w to, co mówi. Ale pewnego dnia znowu spróbuje. Wciąż miał nadzieję.

Nigdy jeszcze nie byliśmy sobie tak dalecy.

Rozdział piąty

Przez następne dwa tygodnie przepowiednie Maury'ego Rocka co do spadku sprzedaży elektronicznych organów zdawały się sprawdzać. Wszystkie ciężarówki donosiły o sprzedaży zaledwie kilku sztuk, jeśli w ogóle. Zauważyliśmy też, że ludzie od Hammersteina zaczęli oferować w reklamach jeden z modeli swoich organów nastrojów poniżej tysiąca dolarów. Oczywiście cena nie uwzględniała ani kosztów wysyłki, ani stojaka. Tak czy owak, były to dla nas złe wieści.

Tymczasem Stanton pętał się po naszym biurze. Maury wpadł na pomysł zbudowania sali wystawowej dla przechodniów, w której Stanton prezentowałby klawikordy. Dałem zgodę na zaangażowanie ekipy budowlanej dla zmiany wystroju parteru budynku. Podczas trwania prac budowlanych Stanton przebywał na górze z Maurym, pomagając mu załatwiać pocztę i wysłuchując wykładu o tym, co będzie robił, gdy sala wystawowa zostanie zbudowana. Maury zaproponował, by Stanton zgotował brodę, ale po sprzeczce z nim wycofał się z tego. Stanton, tak jak dawniej, chodził ze swoimi dwoma długimi białymi kosmykami.

- Później - wyjaśnił mi Maury pod nieobecność Stanton. - Chcę, aby sam się wykazał. Kończę właśnie prace nad zrobieniem z niego rasowego sprzedawcy.

Zamierzał - jak wyjaśnił - przygotować taśmę perforowaną, a następnie wpisać do monady sterującej, czyli mózgu Stanton, umiejętności skutecznego bajerowania klientów. Wtedy nie będzie więcej kłótni, jak przy tych kosmykach.

Jednocześnie Maury był zajęty budowaniem drugiego homunkulusa. Składano go na odpowiednim stanowisku

w jednym z samochodowych warsztatów naprawczych spółki WAZA. Władcy, którzy nakazali firmie obrać nowy kierunek, pozwolili mi go po raz pierwszy zobaczyć we czwartek.

- Kto to będzie? - zapytałem, patrząc na niego ponuro. Na razie składał się z wielkiej liczby cewek, drutów, przerywaczy i tym podobnych elementów zamocowanych na aluminiowych płytkach. Bundy był zajęty sprawdzaniem głowicy centralnej monady. Przykładał w różne miejsca końcówki woltomierza i uważnie studiował odczyt.

Wreszcie Maury odezwał się:

- To jest Abraham Lincoln.
- Chyba zupełnie odebrało ci rozum.
- Wcale nie. Chcę naprawdę czegoś wielkiego, aby móc to pokazać Barrowsowi podczas wizyty, którą mam mu zamiar złożyć w przyszłym miesiącu.

- Ach tak - powiedziałem. - Nic mi o tym nie mówiłeś.
- Myślałeś, że się poddam?
- Nie - przyznałem. - Wiedziałem, że się nie poddasz. Zbyt dobrze cię znam.
- Instynkt nigdy mnie nie zawiódł - oznajmił Maury.

Następnego dnia wieczorem, po dłuższym czasie spędzonym na ponurych rozmyślaniach, sięgnąłem po książkę telefoniczną, aby odszukać numer doktora Horstowskiego. Psychiatra Pris miał gabinet w jednej z lepszych dzielnic Boise. Zadzwoiłem i poprosiłem o spotkanie, najszybciej jak to tylko możliwe.

- Czy mogę wiedzieć, kto pana poleca? - zapytała jego sekretarka.

Z niesmakiem odpowiedziałem:

- Panna Priscilla Frauenzimmer.

- W porządku, panie Rosen. Doktor Horstowski może się spotkać z panem jutro o pierwszej trzydzieści.

Właściwie to powinienem być znowu w drodze i przygotowywać nowe rejony na przyjęcie naszych ciężarówek. Powinienem ustalać trasy i zamieszczać ogłoszenia w gazetach. Ale odkąd Maury zadzwonił do Sama Barrowsa, coś się ze mną stało.

Być może miało to związek z ojcem. Od dnia, kiedy rzucił okiem na Stantona - i stwierdził, że jest to maszyna, mająca udawać człowieka - stawał się coraz słabszy. Zamiast codziennie wychodzić do fabryki, często zostawał w domu,

zwykle siedząc przygarbiony na krześle przed telewizorem. Kiedy go odwiedzałem, miał zafrasowane oblicze i sprawiał wrażenie ociężałego.

Wspomniałem o tym Maury'emu.

- Biedny starzec - powiedział. - Ciężko mi o tym mówić, Louis, ale Jerome słabnie.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Nie ma już sił, aby dalej współzawodniczyć.

- Co mi radzisz?

- Trzymaj go z dala od zgiełku i napięć rynkowych. Poradź się matki i brata. Dowiedz się, o jakim hobby Jerome zawsze marzył. Może o rzeźbieniu latających modeli samolotów z I wojny światowej, jak na przykład trójpłatowca Fokkera czy Spada. Powinieneś się tym zająć, Louis, zwłaszcza że twój stary tego potrzebuje. Nie mam racji, bracie?

Skinąłem głową.

- To częściowo twoja wina - powiedział Maury. - Nie dbałeś o niego zbyt dobrze. Facet w jego wieku potrzebuje wsparcia. Nie finansowego. Chodzi mi... no, do licha, chodzi mi o wsparcie duchowe.

Następnego dnia pojechałem do Boise i o pierwszej dwadzieścia zaparkowałem samochód przed nowoczesnym, zaprojektowanym przez profesjonalistę budynkiem, w którym mieścił się gabinet doktora Horstowskiego.

Kiedy doktor Horstowski pojawił się w poczekalni, by wprowadzić mnie do gabinetu, ujrzałem człowieka, którego sylwetka przypominała kształtem jajko. Ciało miał zaokrąglone, głowę miał zaokrągloną i nosił małe okrągłe okulary. Trudno się było w nim dopatrzeć prostej bądź łamanej linii, a gdy szedł, posuwał się gładko i płynnie, jakby się toczył. Głos również miał gładki i miękki. A jednak kiedy znalazłem się w gabinecie, usiadłem i przyjrzałem mu się bliżej, zauważyłem jedną cechę, którą wcześniej przeoczyłem. Miał prosty, dziobaty nos, tak wąski i ostry, jak dziób papugi. I gdy dostrzegłem ten szczegół, usłyszałem również w jego głosie ledwo tłumioną nutę szorstkości.

Usiadł za biurkiem, wziął do ręki notes w linie oraz pióro, założył nogę na nogę i zaczął mi zadawać nudne, rutynowe pytania.

- Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać? - odezwał się ledwie słyszalnym, ale mimo to wyraźnym głosem.

- Mam problem. Jestem współnikiem w spółce WAZA. Mam wrażenie, że mój współnik i jego córka knują coś poza moimi plecami. Czuję, że chcą doprowadzić do ruiny mnie i moją rodzinę, a zwłaszcza mojego starzejącego się ojca, Jerome'a, który nie jest w zbyt dobrej formie i nie ma siły, aby się przeciwstawić takim praktykom.

- Jakim praktykom?

- Celowej i bezwzględnej kampanii zmierzającej do zniszczenia fabryki klawikordów i elektronicznych organów Rosena oraz naszego systemu sprzedaży. A wszystko po to, aby wcielić w życie szaleńczy, pretensjonalny plan pobicia Rosjan, czy coś w tym rodzaju. Nie wiem dokładnie, o co im chodzi, jeśli mam być szczery.

- Dlaczego pan nie wie, o co im chodzi? - Skrobał piórem po papierze.

— Ponieważ to się codziennie zmienia. — Umilkłem na chwilę. Pióro również zastygło w bezruchu. - Wydaje mi się, że ma to na celu ubezwłasnowolnienie mnie. W rezultacie Maury przejmie firmę, a może również fabrykę. W dodatku spiknęli się z potężną, złowieszczą figurą, Samem K. Barrowsem z Seattle, którego zdjęcie oglądał pan pewnie na okładce magazynu „Look”.

Umilkłem.

- Proszę, niech pan mówi dalej. - Powiedział to takim tonem, jakby był nauczycielem retoryki.

- W dodatku mam wrażenie, że córka mojego współnika, która jest główną siłą

napędową tego całego przedsięwzięcia, jest niebezpieczną eks-psychopatką, o której można powiedzieć tylko to, że jest twarda jak stal i całkowicie pozbawiona skrupułów. - Spojrzałem wyczekująco na doktora, ale nie doczekałem się żadnej widocznej reakcji. - To Pris Frauzimmer - dodałem.

Skinał głową.

- I co pan o tym sądzi? - zapytałem.

- Pris - rzekł doktor Horstowski, wysuwając język i zerkając na swoje notatki - ma dynamiczną osobowość.

Czekałem, ale to było wszystko, co miał do powiedzenia.

- Myśli pan, że sobie to wszystko uroiłem? - rzuciłem ostro.

- Jakie pana zdaniem są motywy ich postępowania? -zapytał.

To mnie zaskoczyło.

- Nie wiem. Czy ja mam to ustalić? Do diabła, chcą sprzedać homunkulusa Barrowsowi i zbić majątek. Co jeszcze? Myślę, że chcą zdobyć ogromną sławę i władzę. Mają maniakalne marzenia.

- A pan stoi im na drodze?

- Otóż to - powiedziałem.

- Pan nie ma takich marzeń?

- Jestem realistą. A przynajmniej staram się nim być. Jeśli o mnie chodzi, to ten Stanton... widział go pan?

- Kiedyś Pris przyprowadziła go tutaj. Siedział w poczekalni, dopóki trwała jej godzina psychoterapii.

- I co robił?

- Przeglądał „Life'a”.

- Nie zastygła panu krew w żyłach na jego widok?

- Nie sądzę.

- Nie przerażała pana myśl, że tych dwoje, Maury i Pris, mogli wymyślić coś tak anormalnego i niebezpiecznego?

Doktor Horstowski wzruszył ramionami.

- Jezu Chryste - powiedziałem gorzko. - Pan się izoluje. Siedzi pan sobie bezpiecznie w swoim gabinecie i cóż pana obchodzi to, co dzieje się na świecie.

Doktor Horstowski uśmiechnął się przelotnie, ale jak mi się zdawało, z zadowoleniem. Doprowadziło mnie to do furii.

- Panie doktorze - rzekłem. - Powiem panu, o co chodzi. Pris robi panu okrutny kawał.

To ona mnie tu przysłała. Jestem homunkulusem, tak jak Stanton. Miałem grać swoją rolę, ale nie mogłem dłużej zdzierżyć. Jestem tylko maszyną, zbudowaną z obwodów i przekaźników. Widzi pan, jaki to ponury plan? Co pan na to powie?

Doktor Horstowski przerwał pisanie i zapytał:

- Czy mówił mi pan, że jest żonaty? Jeśli tak, to proszę podać mi nazwisko żony, wiek, zatrudnienie, jeśli pracuje. I jeszcze miejsce urodzenia.

- Nie jestem żonaty. Miałem dziewczynę, Włoszkę, która śpiewała w nocnym klubie. Była wysoką ciemnowłosą kobietą. Na imię miała Lukrecja, ale prosiła, by wołać na nią Mimi. Zmarła na gruźlicę. To wydarzyło się już po naszym zerwaniu. Często się kłóciliśmy.

Doktor pracowicie zapisywał wszystkie fakty.

- Czy odpowie pan na moje pytanie? - spytałem.

To było beznadziejne. Pan doktor, nawet jeśli odczuwał coś na widok homunkulusa siedzącego w jego gabinecie i czytającego „Life'a”, to nie miał zamiaru tego zdradzać. A może nie odczuwał zgoła nic. Może nic go nie obchodzi, kto siedzi naprzeciwko niego lub kogo spotyka w poczekalni przeglądającego czasopisma. Może już dawno się nauczył akceptować wszystko i wszystkich wokół siebie.

Mogłem przynajmniej podjąć próbę wydobycia z niego opinii na temat Pris, którą uważałem za coś gorszego nawet od homunkulusa.

- Mam rewolwer kaliber czterdzieści pięć i naboje do niego - powiedziałem. - To wszystko, czego mi trzeba; okazja sama się nadarzy. Pozostaje tylko kwestią czasu, kiedy ona spróbuje takiego samego okrutnego zagrania na kimś innym. Zlikwidowanie jej uważam za swój święty obowiązek... oto cała prawda.

Przeglądając mi się badawczo, Horstowski powiedział:

- Pańskim prawdziwym problemem, jak to pan sam określił, moim zdaniem całkiem właściwie, jest wrogość... głęboko skrywana, szukająca ujścia wrogość, którą czuje pan do swojego współnika i tej osiemnastoletniej dziewczyny mającej własne problemy, które usilnie próbuje rozwiązać najlepiej, jak potrafi.

Wyłożone w ten sposób, nie zabrzmiało to dobrze. Dręczyły mnie więc moje własne uczucia, a nie zewnętrzny wróg. Nie było żadnego wroga. Były tylko moje emocje, tłumione i odrzucane.

- Czy może mi pan jakoś pomóc? - zapytałem.

- Nie mogę sprawić, aby pana sytuacja stała się znośniejsza. Mogę jednak pomóc panu ją zrozumieć. - Otworzył szufladę biurka. Wewnątrz ujrzałem pudełeczka, butelki i listki pigułek - chomikowane próbki preparatów medycznych. Wszystko rzucone na stos,

pomieszane bez ładu i składu. Pogrzebawszy w tym stosie, Horstowski wyjął jedną buteleczką i otworzył ją. - Mogę dać panu to. Proszę brać dwie tabletki dziennie, jedną rano, drugą przed pójściem spać. To hubrazyna. - Wręczył mi buteleczkę.

- Jak to działa? - spytałem, wkładając buteleczkę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Mogę to panu wyjaśnić, gdyż jako profesjonalista zna się pan na organach nastrojów. Hubrazyna pobudza aktywność przedniej części czołowego płata kory mózgowej. Pobudzenie tego obszaru, panie Rosen, przynosi rzeźkość, pogodę ducha i wiarę, że wszystkie kłopoty rozwiążą się same. Można to porównać z takim oto ustawieniem organów nastrojów Hammersteina. - Doktor podał mi złożoną kartkę błyszczącego, zadrukowanego papieru. Zauważyłem na niej wskazówki co do ustawienia organów Hammersteina. - Ale działanie tego leku jest o wiele silniejsze. Jak pan zapewne wie, przepisy prawa poważnie ograniczają wielkość amplitudy elektrobodźca, jaką mogą wyemitować organy nastrojów.

Krytycznie przyjrzałem się wskazówkom. Na Boga, gdyby przełożyć je na zwykłe nuty, w przybliżeniu odpowiadałyby wstępowi do XVI kwartetu Beethovena. Ależ gratka dla entuzjastów trzeciego okresu w twórczości kompozytora, pomyślałem. Samo patrzenie na kombinacje liczb odpowiadających temu ustawieniu sprawiło, że poczułem się lepiej.

- Mógłbym niemal zanucić ten lek - powiedziałem. -Chce pan, żebym spróbował?

- Nie, dziękuję. Rozumie pan, że jeśli w pańskim przypadku nie pomoże terapia lękowa, zawsze możemy spróbować nacięcia mózgu w obrębie płatów skroniowych... korzystając oczywiście z mapy mózgu, co można przeprowadzić w klinice Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco lub w szpitalu Mount Zion; tutaj nie mamy odpowiednich warunków. Wolałbym jednak tego uniknąć, ponieważ często się okazuje, że trzeba usunąć cały odpowiedni fragment płatów skroniowych. W szpitalach państwowych zaniechano tego rodzaju zabiegów.

- Też wolałbym, żeby mnie nie krojono - zgodziłem się. -Mam przyjaciół, których poddano takiemu zabiegowi... ale drzę na samą myśl o nim. Pozwoli pan, że go o coś zapytam. Czy nie ma pan czasem leku, który odpowiadałby ustawieniu na organach nastrojów partii chóru w K Symfonii Beethovena?

- Nigdy tego nie sprawdzałem - powiedział Horstowski.

- Gdy gram na organach nastrojów, szczególnie głęboko porusza mnie fragment, w którym chór śpiewa Mus ein

Lieber Vater wohnen, potem zaś w bardzo wysokiej, wręcz anielskiej tonacji odpowiadają skrzypce, a sopran śpiewają Ubrem Sternenzelt.

- Nie znam tak dokładnie IX Symfonii - wyznał Horstowski.

- Sopraną pytają, czy Ojciec Niebieski istnieje, a potem na bardzo wysokiej nucie odpowiadają: tak, ponad królestwem gwiazd. Ten fragment, gdyby udało się panu znaleźć jego odpowiednik farmakologiczny, mógłby mi nadzwyczajnie pomóc.

Doktor Horstowski sięgnął po opasyły tom luźno oprawionych kartek i zaczął wodzić palcem po jego stronach.

- Przykro mi, ale nie mogę znaleźć pigułek, o jakich pan mówi. Proszę jednak spytać inżynierów od Hammersteina.

- Dobry pomysł - przyznałem.

- A teraz, jeśli chodzi o pańskie stosunki z Pris. Myślę, że nieco wyolbrzymia pan zagrożenie z jej strony. W końcu nie musi pan w ogóle się z nią zadawać, prawda? - Spojrzał na mnie chytrze.

- Chyba tak.

- Pris stanowi dla pana wyzwanie. Ma prowokującą osobowość... Moim zdaniem większość ludzi, poznawszy ją, doznaje podobnych uczuć jak pan. Pris w ten sposób stara się ich wzburzyć, wydobyć z nich jakąś reakcję. Ma to chyba pewien związek z jej zacięciem naukowym... to pewna forma ciekawości. Chce się dowiedzieć, co napędza ludzi. -Doktor się uśmiechnął.

- W tym wypadku - odezwałem się - niemal unicestwiła cały gatunek, próbując go zbadać.

- Słucham? - spytał, nadstawiając ucha. - Ach tak, gatunek. Czasem Pris rzeczywiście postrzega ludzi w ten sposób. Ale mnie to nie wytrąca z równowagi. Żyjemy w społeczeństwie, w którym bezstronność jest niemal niezbędna. -Mówiąc to, doktor Horstowski zapisał coś w swoim notesie. -Co panu przychodzi do głowy - wymamrotał - gdy myśli pan o Pris?

- Mleko - powiedziałem.

- Mleko! - Szeroko otworzył oczy. - Interesujące. Mleko...

- Nie przyjdę tu więcej - oświadczyłem. - Niech mi pan tego nie wypisuje. - Wziąłem jednak kartę z terminem następnego spotkania. - Na dzisiaj koniec, jak mniemam?

- Niestety tak - powiedział doktor Horstowski.

- Wcale nie żartowałem, mówiąc, że jestem jednym z homunkulusów Pris. Kiedyś byłem Louistem Rosenem, ale to przeszłość; teraz jestem tylko ja. Jeśli coś mi się stanie, Pris i Maury mają taśmy perforowane z programem, żeby stworzyć następnego sobowtóra. Pris buduje ciało z płytek łazienkowych. Jest w tym naprawdę dobra. Oszukała pana, mojego brata Chestera i niemal udało się jej nabrać mojego ojca. To dlatego jest taki nieszczęśliwy: odgadł

prawdę. -Powiedziawszy to, skinąłem doktorowi głową na do widzenia i wyszedłem z gabinetu do poczekalni, a stamtąd na ulicę.

Ale ty, powiedziałem do siebie w duchu, ty nigdy nie zgadniesz, doktorze Horstowski, nawet za milion lat. Jestem na tyle dobry, by oszukać ciebie i innych tobie podobnych.

Wsiadłem do mojego chevroleta magic fire i wolno pojechałem w stronę biura.

Rozdział szósty

Po tym, jak oświadczyłem doktorowi Horstowskiemu, że jestem homunkulusem, nie mogłem wygnać tej myśli z głowy. Kiedyś istniał prawdziwy Louis Rosen, ale teraz go już nie ma, a ja zająłem jego miejsce, zwodząc wszystkich dookoła, łącznie z sobą samym.

Myśl ta prześladowała mnie przez cały następny tydzień, z każdym dniem tracąc trochę na intensywności, ale nigdy nie znikając zupełnie. Jednak na innym poziomie zdawałem sobie sprawę, że to bezsens - jedna wielka bzdura, którą sobie uroiłem ze złości na doktora Horstowskiego.

Bezpośrednim tego skutkiem było moje bliższe zainteresowanie Edwinem M. Stantonem, homunkulusem. Wróciwszy do biura po wizycie u doktora, spytałem Maury'ego, gdzie go mogę znaleźć.

- Bundy karmi go nowymi danymi - oznajmił. - Pris przypadkiem natrafiła na biografię Stantona, w której było trochę nowego materiału. - Powiedziawszy to, Maury wrócił do przeglądania listów.

Bundy'ego i Stantona odnalazłem w warsztacie. Bundy skończył już robotę i złożył Stantona z powrotem do kupy. Teraz zadawał mu pytania.

- Andrew Jackson zdradził Unię, nie dostrzegając w zbuntowanych stanach... - Ujrzawszy mnie, przerwał. - Cześć, Rosen.

- Chcę pogadać z tym czymś. Dobra?

Bundy wyszedł, zostawiając mnie samego ze Stantonem, który siedział na brązowym, przykrytym kapą fotelu z książką na kolanach. Mierzył mnie surowym spojrzeniem.

- Pamięta mnie pan? - zapytałem.

- Tak. Pamiętam. Pan Louis Rosen z Boise w Idaho. Przypominam sobie przyjemny wieczór, jaki spędziłem w towarzystwie pańskiego ojca. Jak on się miewa?

— Niezbyt dobrze.

- To przykre.

- Chciałbym zadać panu pytanie. Czy nie wydaje się panu dziwne, że choć urodził się pan w 1800 roku, wciąż pan żyje, pomimo iż mamy rok 1982? I czy nie widzi pan nic niezwykłego w tym, że raz po raz jest pan włączany i wyłączany? I co pan powie na to, że zbudowany jest pan z tranzystorów i przekaźników? To przecież nonsens, gdyż w 1800 roku nie znano jeszcze tranzystorów i przekaźników. - Przerwałem, czekając na odpowiedź.

- Owszem - zgodził się Stanton - są to dziwne sprawy. Mam tutaj książkę - podniósł

do góry tom - która dotyczy nowej dziedziny nauki, cybernetyki. Nauka ta rozjaśniła nieco moje wątpliwości.

To mnie zaintrygowało.

- Wątpliwości!

— Tak. Podczas rozmowy z pańskim ojcem rozważaliśmy te i inne zagadkowe kwestie. Kiedy sobie uświadamiam, jak krótkie jest moje życie, wciśnięte w wieczność rozciągającą się przed nim i za nim, w ten mały wycinek przestrzeni, który wypełniam lub postrzegam, zanurzony w nieskończonym bezmiarze przestrzeni, o której nie mam pojęcia, to ogarnia mnie strach.

- Wyobrażam sobie - powiedziałem.

- Boję się i chcę widzieć siebie raczej tu niż tam, zwłaszcza że nie ma żadnego powodu, bym nie miał przebywać tutaj, a nie tam, w tej chwili, a nie później.

- Doszedł pan do jakichś wniosków?

Stanton odchrząknął, wyjął z kieszeni złożoną lnianą chusteczkę i ostrożnie wydmuchał nos.

- Wydaje mi się, że czas musi biec dziwnymi skokami, przeskakując ponad sąsiadującymi ze sobą epokami. Ale dlaczego tak się dzieje i jak to możliwe, nie mam pojęcia. Jest taki punkt, poza którym umysł nie może dalej zgłębiać rzeczywistości.

- Chce pan posłuchać mojej teorii?

- Tak, proszę.

- Twierdzę, że nie ma obecnie żadnego Edwina M. Stanton ani Louisa Rosena. Żyli kiedyś, ale teraz są martwi. Obaj jesteśmy maszynami. Stanton spojrział na mnie. Jego okrągła, porwana zmarszczkami twarz wykrzywiła się.

- Być może jest w tym ziarno prawdy - powiedział w końcu.

- Maury Rock i Pris Frauenzimmer - ciągnąłem - zaprojektowali nas, a Bob Bundy zbudował. A obecnie pracują nad nowym homunkulusem, sobowtórem Abe'a Lincolna.

Okrągła, pomarszczona twarz Stanton'a pociemniała.

- Lincoln nie żyje.

- Wiem.

- Chce pan powiedzieć, że zamierzają go tu ściągnąć?

- Tak - potwierdziłem.

- Po co?

- Aby zrobić wrażenie na Barrowsie.

- Kto to jest ten Barrows? - W głosie starego człowieka pojawił się zgrzyt.

— Multimilioner, który mieszka w Seattle, Waszyngton. To dzięki niemu zaczęto dzielić ziemię na Księżycu.

- Drogi panie, czy słyszał pan kiedyś o Artemusie Wardzie?

- Nie, nigdy.

— Jeśli Lincoln zostanie wskrzeszony, będzie pan skazany na nieskończone wysłuchiwanie dowcipnych urywków z dzieł Warda. - Rzucając mi chmurne spojrzenie, Stanton sięgnął po książkę i wrócił do czytania. Twarz mu poczerwieniała, ręce się trzęsły.

Najwyraźniej powiedziałem coś nie tak.

Właściwie to niewiele wiedziałem na temat Edwina M. Stantona. Skoro obecnie wszyscy niecierpliwie wyglądają Abrahama Lincolna, nie przyszło mi do głowy, że Stanton może czuć inaczej. Ale człowiek uczy się całe życie. W końcu nawyki homunkulusa zostały ukształtowane sto lat temu i trudno zmienić tak wiekowe przyzwyczajenia.

Przeprosiłem za najście - Stanton ledwie na mnie spojrzął, nieznacznie skinąwszy głową - i wyszedłem na ulicę, by udać się do biblioteki. Piętnaście minut później miałem przed sobą rozłożoną na stole Encyklopedię Britannica. Przejrzałem hasła poświęcone zarówno Lincolnowi, jak Stantonowi oraz samej wojnie secesyjnej.

Notka dotycząca Stantona była krótka, lecz interesująca. Na początku Stanton nienawidził Lincolna. Stary był

demokratą, więc pogardzał i nie ufał nowej Partii Republikańskiej. Artykuł opisywał Stantona jako człowieka szorstkiego w obejściu, co sam miałem okazję zauważyć, oraz wspominał o wielu jego kłótniach z generalicją, a w szczególności z Shermanem. Ale, jak twierdził autor notki, stary dobrze wykonywał swą pracę w rządzie Lincolna. Pozbył się wielu nieuczciwych dostawców wojskowych i dbał

o dobre zaopatrzenie armii. A na koniec tego całego okrucieństwa udało mu się zdemobilizować osiemset tysięcy ludzi - nie lada wyczyn po krwawej wojnie domowej.

Dopóki żył Lincoln, nie było większych kłopotów. Naprawdę gorąco zrobiło się dopiero za prezydenta Johnsona. Wyglądało na to, że Kongres obejmie całą władzę jako jedyne rządzące ciało. W miarę czytania artykułu zacząłem sobie wyrabiać dość jasną opinię o Stantonie. To był prawdziwy tygrys. Miał gwałtowne usposobienie i niewyparzony język.

Niewiele brakowało, aby zrzucił Johnsona z urzędu

i objął niepodzielną władzę jako wojskowy dyktator.

Encyklopedia Britannica dodawała jednak, że Stanton był człowiekiem o nieposzlakowanej uczciwości i szczerym patriotą.

W haśle poświęconym Johnsonowi napisano natomiast wprost, że Stanton

zachowywał się nielojalnie wobec swego szefa i szedł na rękę jego wrogom. W notce określono Stantona jako człowieka przykrego w obejściu. Zakrawało na cud, że Johnsonowi udało się go pozbyć.

Odetchnąłem z ulgą, kiedy odłożyłem Britannicę z powrotem na półkę. Dwie krótkie notki, a pozwoliły wczuć się w zatrutą atmosferę tamtych czasów - intrygi i nienawiść przypominały rozgrywki w średniowiecznej Rosji. A właściwie bardziej spiskowanie u schyłku życia Stalina.

W drodze powrotnej do biura pomyślałem: Miły, dostojny dżentelmen z piekła rodem. Para Rock-Frauenzimmer powodowana chciwością wskrzesiła coś więcej niż człowieka. Przywołali z przeszłości tego kraju przerażające i okropne moce. Lepiej by było, gdyby zbudowali homunkulusa będącego sobowtórem Zachariasza Taylora. Bez wątpienia stała za tym Pris, bo tylko w jej perwersyjnym i nihilistycznym umyśle mógł się narodzić pomysł zdobycia z talii tego wielkiego jokera - taki wybór z tysiąca, ba, miliona możliwości. Dlaczego nie Sokratesa albo Gandhiego?

A teraz spokojnie, zadowoleni z siebie, oczekiwali na powołanie do życia następnego homunkulusa: człowieka, do którego Stanton czuł głęboką urazę. Idioci!

Wszedłem do warsztatu, gdzie ponownie zastałem Stan-tona, tak jak poprzednio pograżonego w lekturze. Prawie skończył książkę na temat cybernetyki.

Nie dalej niż dziesięć stóp od niego, na największym stole montażowym spółki WAZA, spoczywała masa na wpół zmontowanych obwodów elektrycznych, które pewnego dnia miały się przeistoczyć w Abrahama Lincolna. Czy Stanton domyślił się tego? Czy skojarzył ten elektroniczny stos z tym, co mu powiedziałem? Rzuciłem okiem na nowego homunkulusa. Nie wyglądało, aby ktoś - lub coś - grzebało w nim w nieodpowiedni sposób. Dostrzec można było jedynie dokładną pracę Bundy'ego - nic ponadto. Gdyby Stanton dobrał się do niego pod moją nieobecność, z pewnością widać byłoby kilka połamanych lub spalonych fragmentów... Nic takiego jednak nie zauważyłem.

Pris zapewne przebywa ostatnimi dniami w domu, nakładając ostatnie żywe kolory na zapadnięte policzki cielesnej powłoki Abrahama Lincolna, która miała pomieścić te wszystkie części. To, samo w sobie, było nie lada zadaniem. Broda, wielkie ręce, chude nogi, smutne oczy - pole do popisu dla jej twórczej i artystycznej duszy, tylko uciekać, wyjąc z trwogi. Nie pokaże się, dopóki nie wykona pracy na tip-top.

Wróciwszy na górę, zjrzałem do Maury'ego.

- Słuchaj, przyjacielu. Ten Stanton gotów jest zdzielić szlachetnego Abe'a pięścią w łeb. Czemu nie zadałeś sobie trudu przeczytania kilku historycznych książek? - I w tym

momencie wszystko zrozumiałem. - Musiałeś przeczytać, w przeciwnym bowiem razie nie mógłbyś przygotować taśm z programem. Wiesz więc lepiej ode mnie, co Stanton czuje do Lincolna! Wiesz, że w każdej chwili jest gotów utopić go w szklance wody!

— Nie zaczynaj od nowa — powiedział Maury, z westchnieniem odkładając na bok listy. - Wczoraj czepiałeś się mojej córki, dzisiaj Stantona. Wszędzie węszysz wpływ jakichś ciemnych mocy. Nie wiem, czy wiesz, ale masz mentalność starej baby. Odwal się i daj mi popracować.

Znów zszedłem na dół do warsztatu.

Tam ponownie zastałem Stantona, który przeczytał już swoją książkę. Siedział, głęboko się nad czymś zastanawiając.

- Młody człowieku - zwrócił się do mnie - podaj mi proszę więcej informacji na temat tego Barrowsa. Powiedziałeś, zdaje się, że mieszka on w naszej stolicy, Waszyngtonie.

- Nie, proszę pana, w stanie Waszyngton. - Wytłumaczyłem mu, gdzie to się znajduje.

- A czy prawdą jest to, co twierdzi pan Rock, że ten Barrows dzięki swym wielkim wpływom spowodował, że w tym mieście zorganizowano Wielką Wystawę Światową?

- Słyszałem o tym. Oczywiście, jeśli ktoś jest tak bogaty i ekscentryczny, to otaczają go wszelkie możliwe legendy.

- Czy ta wystawa wciąż jest otwarta?

- Nie, to było kilka lat temu.

- Szkoda - wymamrotał Stanton. - Chciałem ją zobaczyć.

Tym ujął mnie za serce. Ponownie zmodyfikowałem swoje pierwsze o nim wrażenie: pod wieloma względami wydaje się bardziej ludzki - niech Bóg ma nas w swojej opiece! - niż my wszyscy; bardziej niż Pris, Maury czy nawet ja. Jedynie mój ojciec przewyższał go godnością. A doktor Horstowski - jeszcze jedna na wpół ludzka istota - przy tym elektronicznym homunkulusie wydawał się karłem. A co dopiero mówić o Barrowsie, pomyślałem. Jak my wszyscy wyglądamy w porównaniu ze Stantonem?

A potem przyszedł mi na myśl Lincoln. Ciekawe, jak na jego tle będziemy się czuli i wyglądali?

- Chciałbym zasięgnąć pańskiej opinii na temat panny Frauenzimmer - zwróciłem się do homunkulusa - jeśli oczywiście ma pan chwilę wolnego czasu?

- Mam, panie Rosen.

Przysiadłem na oponie od ciężarówki naprzeciw jego brązowego fotela.

- Znam pannę Frauenzimmer od jakiegoś czasu. Nie wiem dokładnie, od jak dawna, ale mniejsza z tym; znam ją dobrze. Niedawno opuściła Klinikę Kasanina w Kansas City w

Missouri i wróciła tutaj, do rodziny. Nawiasem mówiąc, mieszkam w domu Frauenzimmerów. Panna Pris ma jasnoszare oczy i mierzy sto sześćdziesiąt pięć centymetrów. Obecnie waży około pięćdziesięciu czterech kilogramów. Dowiedziałem się, że bardzo straciła na wadze. Nie można jej nazwać inaczej niż pięknnością. A teraz chciałbym poruszyć głębsze sprawy. Pochodzenie ma najwyższej próby, aczkolwiek wywodzi się z imigrantów. Chodzi o to, że przyswoiła sobie amerykański mit, przez który rozumiem to, że człowieka ograniczają jedynie jego zdolności i dlatego jest on w stanie osiągnąć najwyższą pozycję w życiu odpowiadającą jego możliwościom. Nie chcę jednak przez to powiedzieć, że wszyscy ludzie osiągną taką samą pozycję. Jestem od tego jak najdalszy. Ale panna Frauenzimmer ma rację, odmawiając przyjęcia każdego stanowiska, które uważa za nie odpowiadające jej zdolnościom, i każdą taką propozycję odrzuca z ogniem w swych szarych oczach.

- Wygląda na to, że dogłębnie przemyślał pan swą opinię — zauważyłem.

- Proszę pana, ta kwestia wymaga pewnego komentarza. To pan ją podniósł w celu, jak mniemam, wzajemnego porównania naszych opinii. - Stanton zmrużył na chwilę swoje twarde, ale mądre oczy. - Panna Frauenzimmer jest ze swej natury, w duszy, dobrym człowiekiem. Na pewno wyjdzie cało z obecnych kłopotów. Ma w sobie po prostu trochę niecierpliwości, a przy tym targa nią gniew. Ale gniew, mój panie, to kowadło, na którym wykuwane są twarde prawa życia. Ludzie nie odczuwający gniewu są jak martwe zwierzęta; to ta iskierka, która przemienia bryłę ze skóry, mięsa, kości i tłuszczu w oddychający powietrzem obraz Stwórcy.

Muszę przyznać, że przemowa Stantonona zrobiła na mnie duże wrażenie.

- Tym, co mnie niepokoi w związku z Priscillą - ciągnął Stanton - nie jest ogień i namiętności, które nią targają. Daleki jestem od takiego poglądu. Kiedy zaufa swemu sercu, postępuje właściwie. Ale Priscillą nie zawsze słucha tego, co jej podpowiada serce. Przykro mi to mówić, drogi panie, ale często zwraca uwagę na to, co podpowiada jej rozum. A wtedy powstają kłopoty.

- Aha - powiedziałem.

- Logika kobiety nie jest bowiem logiką filozofów. Jest ona w istocie wypaczonym i bladym cieniem wiedzy wynikającej z serca, a będąc tylko cieniem, a nie odrębnym bytem, jest niewłaściwym przewodnikiem. Kobiety, kiedy kierują się rozumem, a nie sercem, łatwo popełniają błędy. Wszystko to bez trudu można dostrzec w wypadku Priscilli Frauenzimmer. Kiedy bowiem wsłuchuje się w rozum, pograża się w chłódzie.

- Och! - przerwałem podniecony.

- Otóż to! - Stanton skinął głową i wskazał na mnie palcem. - Pan również dostrzegł ten cień, ten szczególny chłód, który bije od panny Frauenzimmer. I widzę, że w duszy niepokoi to pana w równym stopniu, co mnie. Jak ona sobie poradzi z tym w przyszłości, nie wiem. Ale poradzić sobie musi. Zamiarem Stwórcy było bowiem to, aby doszła ze sobą do porozumienia, a obecnie nie toleruje tej części siebie, tej zimnej, niecierplivej, nadzwyczaj rozsądnej, acz niestety, wyrachowanej strony swego charakteru. Ma ona bowiem to, co wielu z nas odnajduje w sobie samych: skłonność do przyzwolenia, aby w nasze codzienne kontakty, z kolegami, sąsiadami, wdarty się ukradkiem miałki i tępe opinie... Nic nie jest bardziej niebezpieczne niż ten dziecinny, przestarzały, hołubiony zbiór opinii, wierzeń i przesądów, wiedza należąca dziś do przeszłości. Właśnie ta przebrzmiała wiedza stanowi jałową i ograniczoną pożywkę dla jej wyczynów, a gdyby tylko zeszła z tej drogi, gdyby się tylko wsłuchała, usłyszałaby indywidualny i mocny głos własnego serca, głos swego własnego jestestwa.

Stanton zamilkł. Skończył swą małą przemowę na temat Pris. Skąd ją wziął? Sam ją wymyślił? Czy może Maury wszczepił mu ją w formie gotowej taśmy z programem na taką okazję jak ta? Choć z pewnością nie było to powiedziane w stylu Maury'ego. A może sama Pris była za to odpowiedzialna? Byłbyż to przejaw jej gorzkiej, pokrętej ironii, włożenie w usta mechanicznego urządzenia tak dogłębnej analizy swej własnej osoby? Czułem, że tak właśnie jest. Potwierdzałoby to, że proces rozpadu schizofrenicznego wciąż toczy się w jej psychice — takie osobliwe rozdwojenie jaźni.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie porównać tego z chytrymi, łatwymi odpowiedziami, jakich udzielał mi doktor Horstowski.

- Dziękuję - zwróciłem się do Stanton. - Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem pańskich sypanych jak z rękawa uwag.

- „Jak z rękawa?” - powtórzył.

- Bez przygotowania.

- Przeciwnie, drogi panie, po dużych przygotowaniach, gdyż jestem głęboko zatroskany panną Frauenzimmer.

— Ja także — powiedziałem.

- A teraz byłbym wielce zobowiązany, gdyby opowiedział mi pan coś o panu Barrowsie. Jak rozumiem, wyraził on zainteresowanie moją osobą.

- Spróbuję zdobyć dla pana magazyn „Look” z artykułem na jego temat. Sam nigdy Barrowsa nie spotkałem. Niedawno rozmawiałem z jego sekretarką i dostałem od niego list...

- Mógłbym zobaczyć ten list?

- Jutro go panu przyniosę.

- Czy również odniósł pan wrażenie, że pan Barrows interesuje się moją osobą? -

Stanton spoglądał na mnie badawczo.

- Myślę, że tak.

- Wyczuwam w pana głosie pewne wahanie.

- Powinien pan z nim porozmawiać osobiście.

- Chyba tak zrobię. - Stanton zamyślił się, drapiąc się palcem po nosie. - Poproszę pana Rocka albo pannę Fraenzimmer, aby mnie tam zabrali i towarzyszyli mi przy spotkaniu z panem Barrowsem. - Maszyna skinęła głową, najwyraźniej podjąwszy decyzję.

Rozdział siódmy

Teraz, gdy Stanton postanowił odwiedzić Sama K. Barrowsa, było tylko kwestią czasu, kiedy to nastąpi. Nawet ja potrafiłem dostrzec nieuchronność tego zdarzenia.

Tymczasem budowa Abrahama Lincolna dobiegała końca. Maury ustalił datę pierwszego testu integralności całego układu na przyszły tydzień. Do tego czasu wszystkie podzespoły miały być ukończone, zmontowane i gotowe do działania.

Widok powłoki Lincolna przyniesionej do biura przez Maury'ego i Pris wprawił mnie w zdumienie. Nawet unieruchomiona, pozbawiona urządzeń wprawiających ją w ruch, wyglądała tak naturalnie, jakby w każdej chwili była gotowa wstać i podjąć codzienne czynności. Pris i Maury z pomocą Boba Bundy'ego zataszczyli ten długi przedmiot na dół do warsztatu. Powlokłem się za nimi i patrzyłem, jak kładą go na stole montażowym.

Zwróciłem się do Pris:

- Muszę ci pogratulować.

Stojąc z rękami w kieszeniach płaszcza, z chmurną miną nadzorowała operację. Oczy miała przygasłe i zapadnięte, cerę wyraźnie bladą, nie pokrytą żadnym makijażem.

Domyślałem się, że ostatnio całe noce była na nogach, kończąc swą pracę. Zauważyłem również, że straciła na wadze. Teraz naprawdę wyglądała chudo. Pod płaszczem nosiła bawełniany podkoszulek w paski oraz dżinsy. Najwyraźniej obywała się bez stanika. Na nogach miała swe nieodłączne skórzane sandały. Włosy ściągnęła do tyłu i przewiązała wstążką.

- Cześć - mruknęła. Kołysząc się na piętach i przygryzając wargi, obserwowała, jak Bundy i Maury kładą Lincolna na stole montażowym.

- Odwaliłaś kawał dobrej roboty - stwierdziłem.

- Louis, zabierz mnie stąd - powiedziała. - Zaproś mnie gdzieś na kawę lub po prostu chodźmy na spacer.

Ruszyła w stronę drzwi. Po chwili wahania podążyłem za nią.

Szliśmy chodnikiem obok siebie. Pris patrzyła pod nogi i kopała kamyk.

- Pierwszy homunkulus był niczym w porównaniu z tym - mówiła. - Stanton to zwykła osoba, a jednak i on nieomal przerósł nasze możliwości. W domu mam książkę z wszystkimi zdjęciami Lincolna. Przyglądałam im się tak długo, aż jego twarz poznałam lepiej niż własną. — Skierowała kamyk kopniakiem do rynsztoka. - Niewiarygodne, jak dobrą jakość mają te stare fotografie. Używano wtedy płyt szklanych, a fotografowany przez cały czas musiał

siedzieć nieruchomo. Wiesz, Louis, zbudowano specjalne krzesła z oparciem pod głowę, aby nie mogła się kiwać. — Zatrzymała się przy krawężniku. - Czy on naprawdę wróci do życia?

- Nie wiem, Pris.

- Sami sobie mydlimy oczy. Przecież nie możemy przywrócić życia komuś, kto jest martwy.

- Czy tym właśnie się zajmujesz? Czy w ten sposób myślisz o swojej pracy? Zgadzam się z tobą, jeśli tak to ujmujesz. Wygląda na to, że podchodzisz do sprawy zbyt emocjonalnie. Lepiej wycofaj się trochę, a nabierzesz dystansu.

- Uważasz więc, że budujemy jedynie imitację, która chodzi i mówi jak oryginał. Że odtwarzamy jedynie zewnętrzny wygląd, a nie ducha.

- Tak - powiedziałem.

- Czy byłeś kiedyś na mszy w kościele katolickim, Louis? - Nie.

- Katolicy wierzą, że chleb i wino są ciałem i krwią. To cud. Gdy doprowadzimy do perfekcji taśmy z programami, głos i wygląd zewnętrzny, to może...

- Pris - przerwałem jej - nigdy nie myślałem, że ujrzę cię przestraszoną.

- Nie jestem przestraszona. Po prostu to trochę za wiele jak na mnie. W szkole podstawowej Lincoln był moim bohaterem. W ósmej klasie napisałam o nim wypracowanie. Sam wiesz, jak to wygląda, gdy się jest dzieckiem. Wszystko, o czym przeczytasz w książkach, uważasz za rzeczywistość. Lincoln był dla mnie postacią realną. Ale oczywiście żyjącą w moim własnym umyśle. Chcę powiedzieć, że moje wyobrażenia były dla mnie czymś realnym. Trzeba było lat, aby nimi wstrząsnąć. Wyobrażeniami o szarżach kawalerii wojsk Unii, o bitwach, o Ulissesie Grancie... wiesz, jak to jest.

- Taak.

- Czy myślisz, że ktoś kiedyś zbuduje homunkulusa, biorąc za wzór ciebie albo mnie? I będziemy wtedy musieli wrócić do życia?

- Cóż za makabryczny pomysł!

- Będziemy leżeli martwi, niepomni niczego... i nagle poczujemy jakieś zamieszanie. Może ujrzymy jakiś promyk światła. A potem wszystko się na nas zwali, znów znajdziemy się w rzeczywistym świecie. Nie będziemy w stanie nic zrobić, aby przerwać ten proces. Będziemy musieli wrócić. Zostaniemy wskrzeszeni! — Ciałem Pris wstrząsnęły dreszcze.

- Przestań myśleć, że to właśnie robisz. Wyrzuć tę myśl ze swojego umysłu. Musisz oddzielić właściwego Lincolna od tego...

- Prawdziwy Lincoln istnieje w moim umyśle - powiedziała Pris.

Zdębiałem.

- Chyba nie wierzysz w to, co mówisz? Chcesz chyba powiedzieć, że masz w umyśle ideę Lincolna?

Przechyliła głowę na bok i zerknęła na mnie.

- Nie, Louis. Naprawdę mam Lincolna w swoim umyśle. Dzień i noc pracowałam nad tym, aby go stamtąd przenieść z powrotem do naszego świata.

Roześmiałam się.

- To straszny świat - ciągnęła Pris. - Posłuchaj, Louis. Powiem ci coś. Znam sposób, jak pozbyć się tych wstrętnych szerszeni, co żądają wszystkich dookoła. Nie jest ryzykowny... i zupełnie nic nie kosztuje. Potrzebujesz jedynie wiadra piasku.

- Słucham.

- Czekasz, aż zapadnie noc. Wtedy wszystkie szerszenie śpią w swych gniazdach w ziemi. Podchodzisz do gniazda i usypujesz nad wejściem do niego kopiec z piasku. Teraz słuchaj uważnie. Myślisz może, że piasek powoduje, iż się duszą. Nie, nie w tym rzecz. Oto co się dzieje. Następnego

ranka szerszenie budzą się i stwierdzają, że wejście do gniazda zostało zasypane. Zaczynają więc ryc, aby oczyścić drogę. Ale nie mają innego wyjścia, jak tylko przenosić piasek do innych części gniazda. Tworzą więc brygadę kopaczy. Ziarnko po ziarnku przenoszą piasek w głąb gniazda. Ale im więcej zabiorą piasku zagrażającego wejście, tym więcej spadnie go z góry na jego miejsce.

- Rozumiem.

- Czyż to nie okropne?

- Tak - zgodziłam się.

- W efekcie stopniowo wypełniają całe gniazdo piaskiem. Same kopią sobie grób. Im ciężiej pracują nad oczyszczeniem wejścia, tym szybciej się to dzieje. I w końcu duszą się. To coś w rodzaju orientalnej tortury, nie uważasz? Kiedy o tym usłyszałam, Louis, powiedziałam sobie, że chciałabym umrzeć. Nie chcę żyć na świecie, na którym dzieją się takie straszne rzeczy.

- Kiedy się dowiedziałas o tym sposobie z piaskiem?

- Dawno temu. Miałam wtedy siedem lat. Wyobrażałam sobie, jak to jest w tym gnieździe. Zasypiam. - Idąc obok, chwyciła mnie za ramię i mocno zacisnęła powieki. - Absolutna ciemność. Obok mnie leżą inni. Nagle: jakiś szum. Odgłos dochodzący z góry. Ktoś sypie piasek. Ale nie przejmujemy się. Śpimy dalej. - Pozwoliła, abym prowadził ją po chodniku, mocno do mnie przytulona. - Śpimy przez resztę nocy, gdyż jest chłodno... ale wstaje dzień i ziemia się nagrzewa. Wciąż jednak jest ciemno. Budzimy się. Dlaczego nie ma

światła? Idziemy w kierunku wyjścia i raptem stajemy przed ziarenkami, które je blokują. Ogarnia nas strach. Co się stało? Zabieramy się ostro do pracy, starając się nie wpadać w panikę. Nie zużyliśmy jeszcze całego tlenu. Pracujemy zespołowo, w ciszy, wydajnie.

Przeprowadziłem Pris przez jezdnię; wciąż miała zamknięte oczy. Miałem wrażenie, że prowadzę małą dziewczynkę.

- Nigdy nie zobaczymy więcej światła. Niezależnie od tego, ile ziarenek piasku przeniesiemy. Pracujemy i czekamy, ale ono nie zabłyśnie. Nigdy. - Zduszonym z rozpaczny głosem powiedziała: - W końcu umieramy, Louis.

Wsunąłem palce w jej dłoń.

— Co powiesz na filiżankę kawy?

- Nie - odparła. - Chcę pospacerować.

Ruszyliśmy więc dalej.

- Louis - rzekła - te owady: osy, mrówki... one tak ciężko pracują w swoich gniazdach. To takie skomplikowane.

- Tak. Również pająki.

- Zwłaszcza pająki. Na przykład taki pająk-podkopnik. Ciekawa jestem, co czuje, kiedy ktoś porwie mu pajęczynę.

- Prawdopodobnie powie: „O kurwa!”.

- Nie - zaprzeczyła poważnie. - Wpada w szal, a później traci wszelką nadzieję. Najpierw jest zły. Gdyby tylko mógł cię dopaść, uządliłby cię na śmierć. A później powoli nachodzi go czarna rozpacz. Zdaje sobie sprawę, że nawet jeśli odbuduje swoją pajęczynę, znów ktoś mu ją zniszczy.

- Ale w końcu pająki biorą się w garść i odbudowują pajęczynę.

- Muszą. Mają to zakodowane w genach. Dlatego ich życie przedstawia się gorzej niż nasze. Nie mogą się poddać i umrzeć... Muszą dalej prąść swą sieć.

- Powinnaś czasami dojrzeć jaśniejszą stronę swojej działalności. Wykonujesz dobrą, twórczą pracę, jak na przykład twoje mozaiki, jak praca przy homunkulusach. Pomyśl o tym. Czy nie masz z tego żadnej radości? Czy nie czujesz się podbudowana efektami swojej twórczej działalności?

- Nie - rzekła Pris. - Ponieważ to, co robię, nie ma większego znaczenia. To wszystko za mało.

- A co by cię zadowoliło?

Pris zastanowiła się. Wreszcie otworzyła oczy i od razu odsunęła od siebie mą dłoń. Wyglądało to na pewien automatyzm, jakby nie była świadoma tego, co robi. Odruch,

pomyślałem. Jak u pajaków.

- Nie wiem - powiedziała. - Wiem jednak, że niezależnie od tego, jak ciężko i długo bym pracowała, ile bym osiągnęła, i tak to będzie niewystarczające.

- W czyjej ocenie?

- W mojej.

- Nie sądzisz, że poczujesz dumę na widok Lincolna budzącego się do życia?

- Wiem, co będę czuła. Większą niż kiedykolwiek rozpacz. Spojrzałem na nią.

Dlaczego tak uważa? Zdumiewające.

Rozpacz z powodu sukcesu... Nie widziałem w tym żadnego sensu. Jakież więc uczucia wzbudziłyby w tobie porażka? Podniecenie?

- Opowiem ci coś. Wzięte z życia - powiedziałem. - Zobaczymy, co na to powiesz.

- Dobrze. - Pris słuchała z uwagą.

- Pewnego dnia w pewnym mieście w Kalifornii poszedłem na pocztę. Na dachu budynku ptaszki uwiły sobie gniazdko. Jedno z piskląt wyfrunęło lub wypadło z gniazda i siedziało na chodniku, a jego rodzice latali dookoła zaniepokojeni. Podszedłem do pisklęcia. Chciałem, gdyby udało mi się dosięgnąć dachu, umieścić je z powrotem w gnieździe. - Urwałem na chwilę. - Wiesz, co pisklę zrobiło, gdy do niego podszedłem?

- Co?

- Otworzyło dziób, myśląc, że chcę je nakarmić. Pris namyślała się głęboko, marszcząc brwi.

— Widzisz — zacząłem jej tłumaczyć — to oznacza, że znało ono tylko takie formy życia, które dbają o nie, karmią je. Zatem ujrzawszy mnie, z góry założyło, iż chcę je nakarmić, i to pomimo że nie przypominałem żadnego znanego mu żywego stworzenia.

- Co to według ciebie oznacza?

- To świadczy, że w naturze oprócz okropieństw występuje też życzliwość, dobroć, wzajemna miłość i bezinteresowna pomoc.

- Nie, Louis - oznajmiła Pris. - To był tylko przykład ignorancji ze strony ptaka. Wcale nie miałeś zamiaru go nakarmić.

- Ale chciałem mu pomóc. Miał rację, ufając mi.

- Chciałabym, Louis, tak jak ty postrzegać świat. Ale dla mnie to tylko przykład zwykłej ignorancji.

- Nieświadomości - poprawiłem ją.

- To jedno i to samo. Nieświadomości co do otaczającej rzeczywistości. Byłoby wspaniale, gdyby udało ci się ten stan zachować. Sama chciałabym go zachować. Ale tracimy

go, idąc przez życie, ponieważ życie oznacza doświadczenie, a to z kolei oznacza...

- Jesteś cyniczna - zwróciłem jej uwagę.

- Nie, Louis. Po prostu jestem realistką.

- Widzę, że to beznadziejne - powiedziałem. - Nikt nie może cię ani złamać, ani dotrzeć do ciebie. A wiesz dlaczego? Ponieważ chcesz taką pozostać. Podoba ci się taki obraz samej siebie. Tak jest ci łatwiej, tak w ogóle jest najłatwiej.

Jesteś leniwa, na niespotykaną skalę. Nie zmienisz się, dopóki ktoś cię do tego nie zmusi. Z własnej woli nigdy tego nie zrobisz. W istocie będzie z tobą coraz gorzej.

Pris roześmiała się, krótko i gorzko.

Ruszyliśmy w drogę powrotną, nie odzywając się do siebie więcej.

Kiedy wróciliśmy do warsztatu, natrafiliśmy na Stantoną. Obserwował, jak Bob Bundy pracuje nad Lincolnem. Zwracając się do Stantoną, Pris powiedziała:

- Oto człowiek, który pisał do pana te wszystkie listy z prośbą o ułaskawienie żołnierzy.

Stanton nie odpowiedział. Uporczywie wpatrywał się w leżącą postać, z której pooranej, zastygłej twarzy emanował rodzaj wyniosłej rezerwy.

- Tak, widzę - odezwał się w końcu, po czym głośno odchrząknął, zakaszłał i zamarł z rękami splecionymi na plecach. Lekko kiwał się w przód i w tył wciąż z tym samym wyrazem twarzy, która zdawała się mówić: To moja sprawa. Wszystko, co ważne dla dobra publicznego, jest moją sprawą.

Doszedłem do wniosku, że przyjął taką samą postawę, jaką prezentował w swym poprzednim prawdziwym życiu. To był po prostu powrót do jego zwykłych gestów. Trudno było mi orzec, czy to dobrze, czy źle. Patrząc na Lincolna, wszyscy oczywiście dobitnie zdawaliśmy sobie sprawę z obecności Stantoną za naszymi plecami. Trudno było zapomnieć czy zignorować ten fakt. Może taki właśnie był Stanton za życia: zawsze w pobliżu - nikt nie mógł o nim zapomnieć czy ignorować go, bez względu na to, co by o nim myślał, jak go nienawidził, bał się czy wielbił.

Milczenie przerwała Pris:

- Myślę, Maury, że on już teraz działa lepiej niż Stanton. Patrz, porusza się.

Rzeczywiście, leżący homunkulus poruszył się.

- Sam Barrows powinien to zobaczyć - powiedziała Pris z podnieceniem, klaszcząc w dłonie. - Co z wami? Gdyby Barrows mógł to zobaczyć, byłby pod wrażeniem... jestem tego pewna. Nawet on, Maury, nawet Sam K. Barrows!

Robiło to wrażenie. Nie ma co do tego wątpliwości.

- Pamiętam, jak fabryka wypuściła pierwszy egzemplarz naszych organów elektronicznych - rzekł Maury, zwracając się do mnie. - Przez cały dzień, aż do pierwszej w nocy, bez przerwy na nim graliśmy. Pamiętasz? -Tak.

- Ty, ja, Jerome i ten twój brat z przeflancowaną buzią wydobywaliśmy z instrumentu fantastyczne dźwięki, raz przypominające klawesyn, raz gitarę hawajską, a raz organy parowe. Graliśmy najróżniejsze kawałki, Bacha, Gershwin. A potem, pamiętasz? Przyrządziliśmy w mikserze mrożone drinki z rumu. I co zrobiliśmy? Zaczęliśmy tworzyć własne kompozycje i sprawdzaliśmy wszystkie możliwe do uzyskania kombinacje brzmieniowe. Było ich tysiące. Wynaleźliśmy instrumenty muzyczne, które w ogóle nie istniały. Komponowaliśmy! Wzięliśmy magnetofon i nagrywaliśmy to, co tworzyliśmy. To było coś, bracie. — Stare, dobre czasy.

- Położyłem się na podłodze i zacząłem eksperymentować z pedałami do niskich tonów. O ile pamiętam, straciłem przytomność, naciskając dolne G. Kiedy ocknąłem się następnego dnia, ten cholerny ton wciąż buczał jak syrena mgłowa. Uff. Te organy, Louis, nie wiesz, gdzie one teraz mogą być?

- Pewnie stoją u kogoś w salonie. One praktycznie się nie zużywają, gdyż nie wydzielają wcale ciepła. I nigdy nie trzeba ich stroić. Ktoś wygrywa teraz na nich jakąś melodyjkę.

- Musowo.

- Pomóżcie mu usiąść - odezwała się Pris. Homunkulus machał rękami, czyniąc wielki wysiłek,

aby usiąść. Mrugał oczami, usta wykrzywiał mu grymas. Jego ciężkie rysy twarzy drgnęły. Razem z Maurym skoczyliśmy, aby go podeprzeć. Do licha, sporo ważył, jakby był zrobiony z ołowiu. W końcu udało się nam go posadzić. Oparliśmy go o ścianę, aby znów się nie przewrócił.

Z ust wydobył mu się jęk.

Coś w tym dźwięku sprawiło, że zadrzałem. Zwracając się do Boba Bundy'ego, zapytałem:

- Co o tym sądzisz? Wszystko w porządku? Mam wrażenie, jakby cierpiał.

- Bo ja wiem. - Bundy nerwowo drapał się po głowie. Zauważyłem, że drżą mu ręce. - Mogę je jeszcze raz sprawdzić. Obwody kontrolujące ból.

- Obwody kontrolujące ból!

- Taa. Musi je mieć, bo inaczej wpadłby na ścianę lub inną pieprzoną przeszkodę i rozwaliby się na miazgę. -Wskazując palcem na przyglądającego się wszystkiemu w

milczeniu Stanton, Bundy rzekł: - Tyn też je ma. A to co znowu, matko święta?

Bez wątpienia obserwowaliśmy narodziny żywej istoty, która zaczynała dostrzegać naszą obecność. Jej smolście-czarne oczy poruszały się z góry na dół, z prawa na lewo, obejmując nas swoim spojrzeniem, rysując sobie nasz obraz. W oczach tych nie było znac śladu emocji; była w nich jedynie czysta percepcja. Ostrożność trudna do wyobrażenia dla człowieka. Przebiegłość całkowicie nie z tej ziemi, właściwa obcej formie życia pochodzącej gdzieś z krańców wszechświata. Istota wrzucona w nasz czas i naszą przestrzeń, świadoma naszej obecności i siebie samej - świadoma swego istnienia w tym miejscu. Czarne, matowe oczy obracały się, wyostrajając spojrzenie, choć jednocześnie na niczym się nie zatrzymując, widząc wszystko, a jednak w pewnym sensie nie wybierając żadnego obiektu. Jak gdyby wciąż pozostawała w zawieszeniu. Czekala z nieskończonym spokojem, dzięki czemu mogłem dostrzec okropny strach, jaki odczuwała, strach tak wielki, że aż trudno było go nazwać stanem emocjonalnym. Był to strach przed nieodwołalnym istnieniem: podstawa jej życia. Nagle została oddzielona, oderwana od jakiejś większej całości, której nie możemy doświadczać - w każdym razie nie teraz. Może kiedyś wszyscy spoczywaliśmy w spokoju w takiej całości. Dla nas oderwanie odbyło się w dalekiej przeszłości. Dla Lincolna dokonywało się właśnie teraz - na naszych oczach.

Jego poruszające się oczy wciąż nigdzie i na niczym się nie zatrzymywały. Odmawiał widzenia konkretnych pojedynczych przedmiotów.

- O kurczę - wymamrotał Maury - z pewnością wyglądamy śmiesznie w jego oczach.

Istota ta została obdarzona jakąś nadzwyczajną umiejętnością. Kto mu ją zaszczerpił? Pris? Wątpliwe. Maury? Wykluczone. Nie było to dziełem żadnego z nich, a już na pewno nie Boba Bundy'ego, którego pomysły na spędzanie wolnego czasu ograniczały się do jazdy na złamanie karku do Reno, by tam pójść do kasyna i na dziwki. Prawda, że to

oni wsaczyli życie do ucha tej istoty, ale był to zwykły transfer, a nie jakiś nowy wynalazek. Przekazali jej życie, ale nie byli jego źródłem. Był to rodzaj infekcji, którą kiedyś złapali, a teraz zarazili nią to urządzenie. I jakaż przemiana. Życie jest formą, którą może przybrać materia... Przyszło mi to na myśl, gdy obserwowałem Lincolna; to, jak postrzega nas i siebie samego. Tak zachowuje się materia. Najbardziej zadziwiająca-jedyna naprawdę zadziwiająca -forma we wszechświecie, którą trudno byłoby antycypować, a nawet sobie wyobrazić, gdyby nie istniała.

Patrząc, jak Lincoln stopniowo nawiązuje kontakt z otoczeniem, zrozumiałem jedno: podstawą jego życia nie była zachłanna chęć istnienia ani żaden inny rodzaj požądania. Był nią strach, strach, który właśnie dostrzegłem. I nie był to zwykły strach, ale coś znacznie

gorszego. Było to absolutne przerażenie. Obłądne przerażenie, które było tak wielkie, że prowadziło do apatii. Jednak Lincoln poruszył się, wyszedł z tego. Dlaczego? Ponieważ musiał. Ruch, działanie wynikały z siły tego przerażenia, gdyż stan ten, z samej swej natury, był trudny do wytrzymania.

Cała aktywność życiowa była walką o uwolnienie się od tego stanu, próbą uśmierzenia bólu, która właśnie dokonywała się na naszych oczach.

Narodziny nie są czymś przyjemnym, zdecydowałem. To gorsze niż śmierć. Możesz snuć filozoficzne dywagacje na temat śmierci - i jeśli dotąd tego nie robiłeś, to najpewniej zrobisz to wkrótce: każdy tak robi. Ale narodziny! Nikt nie dywaguje na temat narodzin, nikt nie próbuje jakoś racjonalnie ulżyć temu doświadczeniu. A prognoza jest przerażająca: każdy uczynek, każde pragnienie i każda myśl tylko głębiej wikłają cię w życie.

Lincoln znów jęknął. A potem ochrypłym głosem wymamrotał jakieś słowa.

- Co? - dopytywał się Maury. - Co on powiedział? Bundy zachichotał.

- Cholera, to taśma z nagrany głosem, ale puszczone od tyłu.

Pierwsze słowa wypowiedziane przez nowego Lincolna -wypowiedziane na opak z powodu wadliwie podłączonych kabli.

Rozdział ósmy

Ponowne podłączenie przewodów w homunkulusie zajęło kilka dni. W tym czasie pojechałem samochodem z Ontario na zachód, mijając po drodze góry Sierra Oregon i miasteczko drwali Johna Daya, które zawsze uważałem za najmiłsze miejsce na zachodzie Stanów Zjednoczonych. Jednak nie zatrzymałem się tam. Byłem zbyt niespokojny. Jechałem wciąż na zachód aż do skrzyżowania z autostradą północ-południe. Ta prosta jak strzełił droga - dawna trasa nr 99 - prowadzi przez ciągnące się setki mil lasy iglaste. Na jej kalifornijskim końcu stwierdzasz natomiast, że jedziesz przez góry: czarne, monotonne, pokryte wulkanicznym popiołem. Pozostałość po czasach zmagania tytanów.

Baraszkujące i dokazujące w powietrzu dwie małe żółte zięby zanurkowały nagle przed maską samochodu. Nic nie poczułem ani nie usłyszałem, ale po ich zniknięciu i nagłej ciszy, jaka zapanowała, zorientowałem się, że musiały wpaść w osłonę chłodnicy. Usmażyły się na śmierć w mgnieniu oka, pomyślałem, zwalniając. I rzeczywiście, na najbliższej stacji obsługi odnalazł je tam mechanik. Jasnożółte stworzonka uwięzione w osłonie chłodnicy. Zawinałem ptaszki w chusteczki higieniczne, zaniósłem je na skraj autostrady i wrzuciłem na stos puszek po piwie i opakowań z falistego kartonu.

Przedemną znajdował się Mount Shasta i posterunek graniczny stanu Kalifornia. Nie miałem ochoty jechać dalej. Tę noc spędziłem w motelu w Klamath Falls, a nazajutrz wyruszyłem w drogę powrotną, oddalając się od wybrzeża tą samą trasą, którą przyjechałem.

Była dopiero siódma trzydziści i na drodze panował niewielki ruch. W górze zobaczyłem coś, co spowodowało, że zjechałem na pobocze i zacząłem się temu przyglądać. Ten widok zawsze wywołuje we mnie uczucie głębokiej pokory, a jednocześnie wielkiej dumy. Powoli mijał nas, schodząc do lądowania gdzieś na pustyni Nevada, ogromny statek kosmiczny powracający z Księżyca lub którejś z planet. Towarzyszyły mu licznie odrzutowce wojskowe, które wyglądały przy nim jak małe czarne kropki.

Kierowcy kilku innych samochodów jadących autostradą również zatrzymali pojazdy, by się przyjrzeć. Ludzie powysiadali z aut. Jakiś mężczyzna zaczął robić zdjęcia, kobieta z małym dzieckiem machała rękami. Wielka rakieta minęła nas, a ziemia zatrzęsała się od potwornego ryku silników hamujących. Zauważyłem, że kadłub statku jest osmalony, pokryty głębokimi wżerami i rysami powstałymi przy wchodzeniu w atmosferę Ziemi.

Oto nasza nadzieja, powiedziałem do siebie w duchu, osłaniając ręką oczy przed słońcem, aby móc dalej obserwować lot statku. Co takiego ma na pokładzie? Próbkę gruntu?

Pierwsze odnalezione ślady życia pozaziemskiego? Potłuczone wazy odkryte w pyłe wygasłego wulkanu - ślad jakiejś dawnej, wysoko rozwiniętej cywilizacji?

Bardziej prawdopodobne, że jest tam gromada biurokratów: urzędnicy federalni, kongresmeni, inżynierowie, obserwatorzy wojskowi, specjaliści od rakiet, zapewne kilku reporterów z tygodników „Life” i „Look”, być może też ekipy telewizyjne NBC i CBS. Ale i tak widok był imponujący. Pomachałem ręką, podobnie jak kobieta z małym chłopczykiem.

Wracając do samochodu, pomyślałem, że pewnego dnia powierzchnia Księżyca zostanie zabudowana rzędami schludnych domków; anteny telewizyjne na dachach, w salonach być może klawikordy Rosena...

Niewykluczone, że już w następnej dekadzie zacznę zamieszczać nasze handlowe ogłoszenia w gazetach ukazujących się na innych światach.

Czy to nie heroiczna wizja? Czyż nie sprawi, że nasz biznes sięgnie gwiazd?

Ale z gwiazdami łączył nas już bardziej bezpośredni związek. Tak, nie mogłem zapomnieć o pasji i obsesji, jaka opanowała Pris na punkcie Barrowsa. Był on moralnym, fizycznym i duchowym ogniwem pomiędzy nami, zwykłymi śmiertelnikami, a gwiazdowym wszechświatem. Łączył obie krainy, jedną nogą stojąc na Księżycu, a drugą na terenach swych nieruchomości w Seattle w stanie Waszyngton i w Oakland w Kalifornii. Bez Barrowsa był to jedynie zwykły sen. On go urzeczywistnił. Jako człowiek musiałem go za to podziwiać. Nie przestraszył się myśli o osiedlaniu ludzi na Księżycu. Była to dla niego jeszcze jedna możliwość zrobienia dobrego interesu. Szansa na wysoki dochód z zainwestowanych pieniędzy - wyższy nawet niż w wypadku taniego budownictwa czynszowego.

Z powrotem do Ontario, postanowiłem. Czas na spotkanie z homunkulusem - naszym nowym atrakcyjnym produktem, zaprojektowanym w celu skuszenia Barrowsa i zwrócenia na siebie jego uwagi. Po to, byśmy się stali częścią nowego świata. Żebyśmy odżyli.

Po powrocie do Ontario niezwłocznie skierowałem się do siedziby spółki WAZA. Gdy jechałem ulicą, rozglądając się za miejscem do zaparkowania, ujrzałem kłębiący się przed naszym biurowcem tłum. Wszyscy zaglądali przez okna do wnętrza salonu wystawowego urządzonego przez Maury'ego. A więc to tak, pomyślałem, czując, jak ogarnia mnie fatalistyczny nastrój.

Zaparkowałem i zaraz dołączyłem do tłumu.

W salonie natknąłem się na wysoką, brodatą, zgarbioną, mroczną postać Abrahama Lincolna. Siedział przy staromodnym, zamykanym na żaluzje biurku z drewna orzechowego. Znajomym biurku: było własnością mojego ojca. Musieli je tu przewieźć z fabryki w Boise,

aby służyło homunkulusowi.

Rozzłościło mnie to. Musiałem jednak przyznać, że biurko było jak najbardziej na miejscu. Homunkulus, ubrany w podobnym stylu co Stanton, zajęty był pisaniem listu gęsim piórem. Zadziwił mnie jego realistyczny wygląd. Gdybym nie znał prawdy, pomyślałbym, że jest to Lincoln we własnej osobie, jakimś nadprzyrodzonym sposobem wskrzeszony do życia. I czyż tak w końcu nie było? Czyżby w ostatecznym rachunku Pris miała rację?

Tymczasem zauważyłem na oknie starannie wykaligrafowany napis, który miał wyjaśniać ludziom, o co tu chodzi,

WIDZĄ PAŃSTWO WIERNĄ REKONSTRUKCJĘ ABRAHAMA LINCOLNA, SZESNASTEGO PREZYDENTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH. ZBUDOWAŁA JĄ SPÓŁKA WAZA PRZY WSPÓŁDZIALE FABRYKI ORGANÓW ELEKTRONICZNYCH ROSENA Z BOISE W IDAHO. JEST TO PIERWSZY PRZEDSTAWICIEL NOWEGO GATUNKU. CAŁA PAMIĘĆ I SYSTEM NERWOWY NASZEGO WIELKIEGO PREZYDENTA Z CZASÓW WOJNY SECESYJNEJ ZOSTAŁY WIERNIE ODTWORZONE W STRUKTURZE MONADY STERUJĄCEJ TEJ MASZYNY, KTÓRA W GRANICACH BŁĘDU STATYSTYCZNEGO JEST ZDOLNA POWTÓRZYĆ KAŻDE SŁOWO, DZIAŁANIE LUB DECYZJĘ SZESNASTEGO PREZYDENTA.

PYTANIA MILE WIDZIANE.

Banalny styl tej notatki zdradzał robotę Maury'ego. Kipiąc złością, przecisnąłem się przez tłum i pchnąłem drzwi do salonu wystawowego. Były zamknięte. Miałem jednak klucz, więc wślizgnąłem się do środka.

Wewnątrz, w narożniku, na nowiutkiej kanapie, siedzieli Maury, Bob Bundy i mój ojciec. W ciszy obserwowali Abrahama Lincolna.

- Cześć, bracie - powitał mnie Maury.

- Zarabiasz już na zwrot kosztów? - zapytałem.

- Nie, nie pobieramy żadnych opłat. To tylko pokaz.

- Zamarzył ci się pierwszej klasy anons reklamowy? Tylko nie mów, że to nieprawda. Od kogo spodziewałeś się pytań? Dlaczego od razu nie kazałeś mu sprzedawać puszek wosku do polerowania karoserii albo płynu do zmywania naczyń? Dlaczego tylko siedzi i pisze? A może wypełnia zgłoszenie na konkurs płatków śniadaniowych?

- Odpowiada na swą codzienną korespondencję - odparł Maury. Zarówno on, jak i ojciec oraz Bob Bundy sprawiali wrażenie trzeźwych.

- Gdzie jest twoja córka?

- Wkrótce przyjdzie.

Zwracając się do ojca, powiedziałem:

- Nie masz nic przeciwko temu, że zabrali ci biurko?

- Nie, mein Kind - odpowiedział. - Idź, porozmawiaj z nim. Nie złości się, gdy się mu przerywa pracę, co mnie niepomiarnie dziwi. Chciałbym się tego nauczyć.

Nigdy nie widziałem ojca tak opanowanego.

- W porządku - powiedziałem i podszedłem do żaluzjowego biurka i siedzącej przy nim postaci. Tłum na zewnątrz rozdziawił gęby ze zdumienia.

- Panie prezydencie - wymamrotałem. W ustach poczułem suchość. - Ekszelencjo, nie chciałbym panu przeszkadzać. - Denerwowałem się, choć jednocześnie doskonale zdawałem sobie sprawę, że stoję przed maszyną. Sposób, w jaki do niego podszedłem i zagadałem, sprawił, że poczułem się jak aktor grający w sztuce, w której obsadzono również tę maszynę. Nikt mnie nie zaprogramował; nie musiał. Jak ostatni dureń zgłosiłem się na ochotnika, aby zagrać swoją rolę. Ale nie umiałem sobie poradzić. Dlaczego by nie powiedzieć: „Dzień dobry, panie homunkulusie?” Przecież koniec końców była to prawda.

Prawda! Cóż to takiego? Dla dzieciaka, który idzie do centrum handlowego, aby się spotkać ze Świętym Mikołajem, poznanie prawdy oznacza uśmiercenie bożonarodzeniowej legendy. Czy tego chciałem? W sytuacji takiej jak ta, powiedzenie prawdy oznaczałoby koniec wszystkiego, a przede wszystkim koniec mnie samego. Homunkulus by nie ucierpiał. Maury, Bob Bundy i ojciec nawet by tego nie zauważyli. Grałem więc dalej, bo to siebie w istocie chroniłem; wiedziałem to lepiej niż pozostałe osoby w pokoju, a także lepiej niż głupkowaty tłum na zewnątrz.

Lincoln spojrzał na mnie, odłożył gęsie pióro i odezwał się wysokim, lecz dość przyjemnym głosem:

- Dzień dobry. Pan Louis Rosen, jak mniemam.

- Tak, ekszelencjo.

I raptem pokój rozpadł się na moich oczach. Żaluzjowe biurko pękło na milion kawałków, które powoli zaczęły lecieć w moim kierunku. Zamknąłem oczy i upadłem twarzą na podłogę; nie podparłem się nawet rękami. Poczułem uderzenie; potłuczony, pograżyłem się w ciemnościach.

Zrobiło mi się słabo. Tego było dla mnie za wiele. Zemdlałem.

Ocknąłem się w biurze na piętrze, oparty o ścianę. Obok mnie siedział Maury Rock. Pałac swoje cygaro marki Corina Lark i wybałuszając na mnie oczy, podtykał mi pod nos buteleczkę z amoniakiem.

- Jezu Chryste - rzekł, gdy się zorientował, że odzyskałem przytomność. - Masz guza

na czole i rozciętą wargę.

Sięgnąłem do czoła i namacałem guz. Był wielki jak śliwka. W ustach czułem krew płynącą z przeciętej wargi.

- Zemdlałem - oświadczyłem.

- Taak.

Potem spostrzegłem ojca kręcącego się po pokoju, a także - co odnotowałem z przykrością - Pris Frauentzimmer ubraną w swój długi szary płaszcz, chodzącą w tę i z powrotem, patrzącą na mnie z irytacją zabarwioną nieco pogardliwym rozbawieniem.

- Jedno jego słowo - powiedziała do mnie - i po tobie. A to heca.

— I co z tego? — zdołałem wyszeptać.

Zwracając się do córki, Maury zauważył z uśmiechem:

- To dowodzi tego, o czym mówiłem. Jest bardzo skuteczny.

- Co zrobił Lincoln, kiedy zemdlałem? - zapytałem. Odpowiedział mi Maury:

- Wstał, podniósł cię i zataszczył tutaj na górę.

- Dobry Boże - wymamrotałem.

- Dlaczego zrobiło ci się słabo? - spytała Pris, nachylając się, aby bacznie mi się przyjrzeć. - Ale guza sobie nabiłeś, idioto. Choć trzeba przyznać, że tłum był pod wrażeniem. Powinieneś być słyszeć, co mówili. Byłam tam na zewnątrz, próbując dostać się do środka. Można by pomyśleć, że zbudowaliśmy boga, czy coś w tym rodzaju. Ludzie modlili się, dwie starszuszki się przeżegnały, a niektórzy, nie uwierzyłybyś...

- W porządku - przerwałem jej.

- Daj mi skończyć.

- Nie. Zamknij się, dobra?

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, aż w końcu Pris zerwała się na nogi.

- Wiesz, że wargi masz paskudnie rozcięte? Lepiej niech ci ktoś założy parę szwów.

Dotykając palcami ust, stwierdziłem, że wciąż leci mi krew. Chyba miała rację.

- Zawiozę cię do lekarza - oznajmiła. Podeszła do drzwi i przystanęła w progu. - No chodź, Louis.

— Nie potrzebuję żadnych szwów — zaprotestowałem, ale wstałem i niepewnym krokiem podążyłem za nią.

Gdy czekaliśmy w korytarzu na windę, Pris powiedziała:

- Chyba nie jesteś zbyt odważny? Nie odpowiedziałem.

- Zareagowałeś gorzej niż ja, gorzej niż ktokolwiek z nas. Jestem zaskoczona. Jest w tobie jakaś niestabilna rysa, o której nikt z nas wcześniej nie wiedział. Założę się, że ujawni

się ona kiedyś pod wpływem silnego stresu. Pewnego dnia będziesz miał poważne problemy psychiczne.

Drzwi windy otworzyły się. Weszliśmy do środka i drzwi się zamknęły.

- Czy to źle okazywać emocje?

- W Kansas City nauczyłam się, jak kontrolować emocje, jeśli jest w moim interesie, by ich nie ujawniać. Dzięki temu przetrwałam, wydostałam się stamtąd, pokonałam chorobę. Właśnie to im zawdzięczam. Okazywanie emocji jest zawsze złym symptomem, tak jak to się stało w twoim wypadku. Zawsze oznacza to kłopoty z przystosowaniem. W Kansas City nazywają to paratymią. To rodzaj uczuć, które ujawniają się w kontaktach interpersonalnych, komplikując je. Nie ma znaczenia, czy jest to nienawiść, zazdrość, czy jak w twoim wypadku strach - wszystko to są paratymie. Gdy się dostatecznie nasilą, pojawiają się zaburzenia umysłowe, a gdy przejmą nad tobą kontrolę, masz schizofrenię, tak jak było ze mną. To jest najgorsze.

Przytknąłem chusteczkę do warg, by wytrzeć krew. Nie wiedziałem, jak wytłumaczyć Pris, dlaczego tak zareagowałem; nawet nie próbowałem.

- Może pocałować ci ranę, aby mniej bolało? - zapytała Pris.

Rzuciłem jej piorunujące spojrzenie, ale spostrzegłem na jej twarzy szczerą troskę.

- Nie, do licha - powiedziałem wzburzony - samo się zagoi. - Byłem zażenowany i wolałem umknąć jej wzroku. Czułem się, jakbym znów był małym chłopcem. - Dorośli tak ze sobą nie rozmawiają — wymamrotałem. — Całować, aby mniej bolało... co za durna gadka.

- Chciałam ci tylko pomóc. - Usta jej drżały. - Wszystko skończone, Louis.

- Co jest skończone?

- On żyje. Nigdy więcej go nie dotknę. Co ja teraz zrobię? Nie mam już żadnego celu w życiu.

- Jezu Chryste - jęknąłem.

- Moje życie jest puste. Równie dobrze mogłabym nie żyć. Wszystkie moje działania i myśli poświęciłam Lincolnowi. - Drzwi windy otworzyły się i Pris weszła do holu, a ja za nią. - Zależy ci na jakimś konkretnym lekarzu? Chodź, chyba poszukamy jakiegoś gabinetu w okolicy.

- Zgoda.

Gdy wsiedliśmy do jaguara, Pris oświadczyła:

- Powiedz mi, Louis, co mam zrobić. Muszę natychmiast coś zrobić.

- Zobacysz, wyjdiesz z tej depresji - powiedziałem zakłopotany.

- Nigdy dotąd tak się nie czułam.

- Poczekaj, niech pomyślę. Może zacznij się ubiegać o wybór na papieża. - Była to pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, raczej głupia.

- Chciałabym być mężczyzną. Kobieta ma zamkniętą drogę do tylu rzeczy. Ty, Louis, możesz być, kim zechcesz. Kim może zostać kobieta? Gospodynią domową, urzędniczką, sekretarką lub nauczycielką.

- Zostań lekarzem - podsunąłem jej - i zaszywaj rozcięte wargi.

- Nie mogę znieść widoku chorych, pokiereszowanych czy upośledzonych, dlatego wiozę cię do lekarza. Nie mogę na ciebie patrzeć, tak jesteś poturbowany.

- Nie jestem poturbowany! Mam tylko rozciętą wargę. Pris zapuściła silnik i włączyła się do ruchu.

- Postanowiłam, że zapomnę o Lincolnie. Już nigdy więcej nie pomyślę o nim jak o żywej istocie. Od tej chwili jest dla mnie tylko przedmiotem. Towarem.

Skinąłem głową.

- Chcę sprawdzić, czy Sam Barrows to kupi - ciągnęła. - To jedyne, co mi w życiu pozostało. Od dziś podstawą wszystkich moich myśli i działań będzie Sam Barrows.

Chciałem się roześmiać z tego oświadczenia, ale odechciało mi się, gdy spojrzałem w jej twarz. Miała taki smutny wyraz, tak całkowicie pozbawiony szczęścia, radości i uśmiechu, że tylko skinąłem głową. Wioząc mnie do lekarza, który miał zaszyć mi wargę, Pris zdecydowała o całym swoim życiu, całej przyszłości i wszystkim, co się z tym wiązało. Był to rodzaj manii prześladowczej, która - o ile mogłem się zorientować - wydostała się na powierzchnię z czystej desperacji. Pris nie mogła spędzić ani chwili bez zastanawiania się nad czymś; musiała mieć przed sobą jakiś cel. W ten sposób, na siłę, odnajdywała sens we wszechświecie.

- Pris - powiedziałem - cały kłopot z tobą, że jesteś taką racjonalistką.

- To nieprawda; wszyscy mi mówią, że robię dokładnie to, co czuję.

- Kierujesz się żelazną logiką. To straszne. Musisz z tym zerwać. Powiedz o tym Horstowskiemu; poproś go, aby cię od tego uwolnił. Funkcjonujesz w taki sposób, jakby jakiś geometryczny dowód kręcił korbą twego życia. Wyluzuj się, Pris. Bądź lekkomyślna, postrzelona. Zrób coś bez celu, dobrze? Nie wieź mnie do lekarza, ale wysadź obok pucybuta, a ja wyczyszczę sobie buty.

- Twoje buty już i tak nieźle błyszczą.

- A widzisz? Cały czas musisz być taka logiczna. Zatrzymaj samochód na następnym skrzyżowaniu i wysiądźmy, albo pojedźmy do kwaciarni, kupmy kwiaty i obrzućmy nimi motocyklistów.

- Kto zapłaci za kwiaty?

- Ukradniemy je. Uciekniemy, nie płacąc.

- Pozwól, że to przemyślę - powiedziała Pris.

- Nie myśl! Czy jako dziecko nigdy niczego nie ukradłaś? Albo nie rozwaliłaś czegoś, bo tak ci się zachciało... jakąś własność publiczną, na przykład lampę?

- Kiedyś ukradłam w sklepie batonik.

- Powtórzmy to - powiedziałem. - Znajdźmy jakiś sklepik i na powrót bądźmy dziećmi. Każde z nas ukradnie batonik za dziesiątaka, a potem poszukamy jakiegoś zacienionego miejsca, usiądziemy na trawniku i zjemy je.

- Ty nie będziesz mógł jeść ze względu na swoją wargę. Starając się być stanowczy, powiedziałem:

- Dobrze. Przyznaję ci rację. Ale ty możesz jeść, prawda? Przyznaj to. Możesz w tej chwili wejść do sklepiku, nawet beze mnie, i zrobić to, o czym mówimy.

- A mógłbyś jednak pójść ze mną?

- Jak chcesz, ale lepiej, jeśli zaparkuję przy krawężniku i będę czekać z zapalonym silnikiem, bym mógł cię wywieźć stąd, jak tylko się pokażesz. W ten sposób na pewno uda ci się uciec.

- Nie - odparła Pris. - Chcę, żebyś poszedł ze mną do sklepu i stał przy mnie. Mógłbyś mi pokazać, który batonik mam wziąć. Potrzebuję twojej pomocy.

- Dobrze, pójdę z tobą.

- Jaka kara nam za to grozi?

— Dożywocie?

- Nie kpij.

- Nie, mówię poważnie - powiedziałem. I rzeczywiście tak myślałem. Byłem śmiertelnie poważny.

- Żartujesz sobie ze mnie? Widzę, że tak. Dlaczego to robisz? Czyżbym była taka zabawna?

— Och, nie.

Ale Pris wyrobiła już sobie pogląd.

- Wiesz, że we wszystko uwierzę. W szkole nabijano się z mojej łatwowierności. Wiesz, jak mnie przezywano? „Podróże naiwniaka” .

- Chodźmy do sklepu, Pris, a pokażę ci; pozwól, że ci to udowodnię, pozwól mi się ocalić.

- Ocalić? Przed czym?

- Przed nieomylnością, która zawładnęła twoim umysłem.

Nie mogła się zdecydować. Widziałem, jak przetyka ślinę, jak walczy ze sobą, namyślając się, co powinna zrobić, bojąc się popełnić błąd. Obróciła się do mnie i powiedziała poważnie:

- Louis, wierzę ci z tym sklepem. Wiem, że nie nabijałbyś się ze mnie. Masz prawo mnie nienawidzić, i pod wieloma względami naprawdę mnie nienawidzisz, ale nie należysz do osób, które depczą słabego.

- Ty nie jesteś słaba.

- Jestem. Ale tobie brak instynktu, aby to dostrzec. To dobrze, Louis. Ze mną jest na odwrót. Ja mam taki instynkt, ale nie jestem dobra.

- Dobra, szmobra - zawołałem. - Skończ z tym, Pris.

Wpadłaś w depresję, ponieważ skończyła się twoja twórcza praca nad Lincolnem. Chwilowo nie masz konkretnego zajęcia i jak większość utalentowanych ludzi czujesz tymczasową pustkę.

- Jest gabinet lekarski - powiedziała Pris, zwalniając.

Po wizycie u lekarza, który zbadawszy mnie, nie stwierdził potrzeby szycia rany, udało mi się nakłonić Pris, aby się zatrzymała przy jakimś barze. Czułem, że muszę się napić. Wyjaśniłem Pris, że to sposób uczczenia okazji, coś, co koniecznie należy zrobić; oczekuje się tego od nas. Widzieliśmy, jak Lincoln budzi się do życia, i była to wielka chwila, być może największa w całym naszym życiu. A jednak, choć niezaprzeczalnie wzniosła, miała w sobie coś złowieszczonego i smutnego, przygnębiającego i trudnego do zniesienia.

- Dla mnie tylko jedno piwo - powiedziała Pris, gdy przecinaliśmy chodnik.

Zamówiłem piwo dla Pris i kawę po irlandzku dla siebie.

- Widzę, że czujesz się tutaj jak u siebie w domu - zauważyła Pris. — Pewnie spędzasz wiele czasu na włóczeniu się po barach.

- Przyszło mi w związku z tobą coś do głowy; coś, o co chciałbym cię zapytać. Czy wierzysz w uszczypliwe uwagi, które robisz pod adresem innych ludzi? Czy tylko wygłaszasz je ot tak, aby sprawić innym przykrość? A jeśli to prawda...

- O co ci chodzi? - spytała opanowanym głosem Pris.

- Nie wiem.

- A w ogóle co ci do tego?

- Zżera mnie ciekawość. Chcę znać każdy szczegół, który cię dotyczy.

- Dlaczego?

- Twoje życie to fascynująca historia. Typ schizoidalny w dziesiątym roku życia,

nerwica natręctw w trzynastym, pełne objawy schizofrenii w siedemnastym i skierowanie na leczenie do zamkniętego szpitala federalnego. Obecnie na pół wyleczona, z powrotem wśród ludzi, a mimo to... -przerwałem. Ponura historia jej życia nie była jednak prawdziwą przyczyną. - Powiem ci prawdę. Zakochałem się w tobie.

- Kłamiesz.

Korygując swoje pierwotne stwierdzenie, oświadczyłem:

- Mógłbym się w tobie zakochać.

- Gdyby co? - Wydawała się mocno zdenerwowana. Głos jej drżał.

- Nie wiem. Coś mnie powstrzymuje.

- Strach.

- Może - powiedziałem. - Może to po prostu zwykły ludzki strach.

- Żartowałeś sobie, Louis, kiedy to wyznawałeś? Mam na myśli miłość.

- Nie, wcale nie żartowałem. Zaśmiała się urywanie.

- Gdyby ci się udało pokonać strach, mógłbyś zdobyć kobietę; nie mnie, ale jakąś inną kobietę. Nie mogę zrozumieć, czemu to powiedziałaś. Stanowimy swoje przeciwieństwa, zdajesz chyba sobie z tego sprawę, Louis? Ty okazujesz swoje uczucia, ja je zawsze głęboko skrywam. Gdybyśmy mieli dziecko, jakie by ono było? Nie potrafię zrozumieć kobiet, które non stop rodzą dzieci. Zachowują się jak suki... co roku miot. Musi być miłe żyć tak biologicznie, przyziemnie. - Spojrzała na mnie kątem oka. - Dla mnie to zamknięta książka. Takie kobiety spełniają się poprzez swój układ rozrodczy. Zgodzisz się ze mną? Poznałam kilka z nich, ale sama taka nigdy nie będę. Nie potrafię być szczęśliwa, jeśli nie zrobię czegoś własnymi rękami. Zastanawiam się dlaczego? Nie wiesz przypadkiem?

- Nie wiem.

-Musi być jakieś wytłumaczenie; wszystko ma swoją przyczynę. Nie jestem pewna, Louis, ale chyba żaden chłopak nie wyznał mi jeszcze miłości.

- Och, musieli jacyś być. W szkole na przykład.

- Nie, jesteś pierwszy. Zupełnie nie wiem, jak się zachować... Nie wiem nawet, czy mi się to podoba. Czuję się dziwnie.

- Zaakceptuj to - powiedziałem.

- Miłość i twórczość - mówiła Pris w połowie do mnie, w połowie do siebie. -

Narodziny. Tego byliśmy sprawcami w wypadku Stantona i Lincolna. Miłość i narodziny: te dwie sprawy są ze sobą powiązane. Zgodzisz się ze mną? Kochasz istotę, którą wydałeś na świat, a skoro mnie kochasz, Louis, musisz pragnąć, aby wspólnie ze mną powołać do życia nowe istnienie.

- Chyba tak.

- To, co zrobiliśmy, to nasze zadanie, nasza wielka praca, upodobniło nas do bogów - rzekła Pris. - Stanton i Lincoln, nowa rasa... A jednak, dając im życie, sami coś utraciliśmy. Czy nie czujesz się teraz jakiś wypalony?

- Nie, u licha.

- Tak bardzo się różnimy. Nie rozumiesz prawdziwego znaczenia tego przedsięwzięcia. Przyszedłeś do tego baru... to był nagły impuls, któremu uległeś. Maury, Bob, twój ojciec i Stanton: wszyscy są w firmie razem z Lincolnem, a ty nie masz świadomości tego faktu, ponieważ chcesz posiedzieć w barze i wypić drinka. - Spojrzała na mnie łagodnie, wyrozumiale.

- Chyba masz rację.

- Nudzę cię, prawda? W rzeczywistości wcale nie dbasz o mnie, interesujesz się tylko sobą.

- Otóż to. Właśnie to dociera do mnie.

— Dlaczego mówiłeś, że chcesz wszystko o mnie wiedzieć? Dlaczego powiedziałaś, że prawie się we mnie zakochałeś, że tylko strach cię przed tym powstrzymuje?

— Nie wiem.

- Czy nigdy nie próbowałeś wejrzeć w siebie, aby zrozumieć pobudki, które tobą kierują? Ja zawsze analizuję swoje postępowanie.

- Pris, bądź przez chwilę rozsądna - powiedziałem. - Jesteś tylko jednym z wielu ludzi: ani lepszym, ani gorszym. Tysiące Amerykanów trafia albo obecnie przebywa w szpitalach psychiatrycznych, wpada w schizofrenię i podpada pod ustawę McHestona. Jesteś atrakcyjną kobietą, przyznaję, ale niejedna gwiazdka filmowa ze Szwecji czy Włoch jest o wiele bardziej pociągająca. Twoja inteligencja jest...

- Próbujesz przekonać sam siebie.

- Co proszę? - zapytałem zbity z tropu.

- To ty sam stawiasz mnie na piedestale i ze wszystkich sił starasz się tego wyprzeć - oświadczyła ze spokojem Pris.

Odstawiłem drinka.

- Wracajmy do firmy. - Alkohol sprawił, że rozcięta warga zaczęła mocno piec.

- Czy powiedziałaś coś złego? - Przez moment wyglądała na zmieszaną. Rozmyślała nad tym, co powiedziała, korygując i ulepszając w myślach wypowiedziany tekst. - Zdaje się, że żywisz do mnie sprzeczne uczucia...

Złapałem ją za ramię.

- Dokończ piwo i chodźmy stąd.

Gdy opuszczaliśmy bar, zauważyła słabo:

- Znów gniewasz się na mnie. - Nie.

- Staram się być dla ciebie miła, ale zawsze obrażam ludzi, próbując być grzeczną i jednocześnie mówiąc to, co chcę... udawanie nie leży w mojej naturze. Powiedziałam ci, że nie powinnam przyjmować wzorców zachowania, które uważam za fałszywe. To nigdy się nie sprawdza. - Mówiła oskarżycielskim tonem, jakby to był mój pomysł.

- Słuchaj - powiedziałem, gdy wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy - wracajmy i podejmijmy od nowa nasze wzniosłe zadanie uczynienia z Sama Barrowsa źródła naszego sukcesu, zgoda?

- Nie - sprzeciwiła się Pris. - Tylko ja potrafię tego dokonać. To nie leży w twojej mocy.

Poklepałem ją po ramieniu.

- Wiesz, rozumiem cię teraz lepiej niż przedtem. Myślę, że zaczyna się między nami tworzyć bardzo dobry, kompleksowy i stabilny układ.

- Może masz rację - stwierdziła Pris, nieświadoma sarkazmu w moim głosie.

Uśmiechnęła się do mnie. - Mam nadzieję, Louis. Ludzie powinni się starać wzajemnie zrozumieć.

Kiedy wróciliśmy do siedziby spółki WAZA, przywitał nas podniecony Maury.

- Gdzieście byli tak długo? - Pokazał nam kartkę papieru. - Wysłałem telegram do Sama Barrowsa. Masz, czytaj. - Wcisnął mi papier do ręki.

Niechętnie rozłożyłem kartkę i zacząłem odcyfrowywać pismo Maury'ego.

SUGERUJĘ NATYCHMIASTOWY PRZYJAZD. HOMUNKULUS LINCOLN WIELKIM SUKCESEM. CZEKAMY NA PAŃSKĄ DECYZJĘ. ZACHOWUJEMY OBIEKT

DO PAŃSKIEJ WIZYTY - ZGODNIE Z ROZMOWA TELEFONICZNA. PRZEKRACZA NAJŚMIELSZE MARZENIA. OCZEKUJĘ ODPOWIEDZI DO JUTRA.

MAURY ROCK SPÓŁKA WAZA

- Czy przyszła już odpowiedź? - zapytałem.

- Nie, ale dopiero co nadaliśmy to przez telefon.

W pomieszczeniu nastąpiło nagłe zamieszanie i pojawił się Bob Bundy. Zwracając się do mnie, oznajmił:

- Pan Lincoln prosił mnie, abym przekazał panu wyrazy współczucia i zapytał, jak się pan czuje. - Bundy wyglądał na dość roztrzęsionego.

- Powiedz mu, że czuję się dobrze. - Po czym dodałem: -I podziękuj mu.

- W porządku.

Bundy odszedł. Drzwi zamknęły się za nim. Zwracając się do Maury'ego, zauważyłem:

- Muszę przyznać, Rock, że coś w tym jest. Myliłem się.

- Dzięki, że zmieniłeś zdanie.

- Szkoda twojego „dziękuję” na niego - odezwała się Pris. Z ożywieniem kopiąc cygaro marki Corina, Maury oświadczył:

- Przed nami dużo roboty. Jestem przekonany, że teraz Barrows się nami zainteresuje. Ale musimy być ostrożni... -Ściszył głos. - Człowiek taki jak on może w każdej chwili odsunąć nas na bok jak niepotrzebny odpad. Mam rację, bracie?

- Masz - odpowiedziałem. Sam też o tym pomyślałem.

- Pewnie robił tak miliony razy drobnym kontrahentom. Musimy negocjować z nim na równych prawach: cała nasza czwórka... piątka, jeśli liczyć Bundy'ego. - Rozejrzał się dookoła, zatrzymując wzrok na Pris, mnie i mym ojcu.

- Może powinniśmy iść z tym do władz federalnych, Maury - odezwał się ojciec i popatrzył na mnie nieśmiało. -

Hab' Ich nicht Recht, mein Sohn?

- On już zdążył się skontaktować z Barrowsem - powiedziałem. - Z tego, co wiem, Barrows już tu jedzie.

- Zawsze możemy mu odmówić, jeśli postanowimy, że należy jechać z tym do Waszyngtonu - rzekł Maury. - Nawet jeśli już się tu zjawi.

- Zapytajcie Lincolna - rzuciłem.

- Co takiego? - spytała ostro Pris. - Daj spokój, na Boga.

— Mówię poważnie — oznajmiłem. — Poproście go o radę.

- Co prowincjonalny polityk z ubiegłego stulecia może wiedzieć o Samie Barrowsie? - Pris zaśmiała się sardonicznie.

Najspokojniej, jak tylko potrafiłem, powiedziałem:

- Pohamuj się, Pris. Bądź wobec niego uczciwa.

- Nie kłóćmy się - wtrącił się szybko Maury. - Każdy ma prawo do własnej opinii.

Moim zdaniem powinniśmy pokazać Lincolna Barrowsowi, a jeśli z jakichś szalonych powodów... - przerwał. Zadzwonił telefon. Maury szybkim krokiem podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę. - Spółka WAZA, Maury Rock przy telefonie.

Cisza.

Obracając się do nas, Maury szepnął:

— Barrows.

Stało się, pomyślałem. Kości zostały rzucone.

- Tak, proszę pana - mówił Maury do słuchawki. - Odbierzemy pana z lotniska w Boise. Tak, tam się spotkamy.

- Gdzie jest Stanton? - spytałem ojca.

- Kto, mein Sohn?

— Stanton, homunkulus. Nigdzie go nie widzę. — Przypomniawszy sobie wrogość, jaką okazywał Lincolnowi, wstałem i podszedłem do Pris, która usiłowała podsłuchać telefoniczną rozmowę Maury'ego. - Gdzie jest Stanton? - zapytałem głośno.

- Nie wiem. Bundy gdzieś go schował. Pewnie na dole w sklepie.

- Chwileczkę. - Maury opuścił słuchawkę i zwracając się do mnie z dziwnym wyrazem twarzy, rzekł: - Stanton jest w Seattle z Barrowsem.

- Och, nie - usłyszałem jęk Pris.

- Zeszłej nocy wsiadł do autobusu Greyhonda - ciągnął Maury. - Dotarł do Seattle dziś rano i od razu poszedł do Barrowsa. Barrows mówi, że odbyli długą i ciekawą rozmowę. - Zakrył słuchawkę dłonią. - Barrows nie dostał jeszcze naszej depezy. To Stanton go zainteresował. Czy mam mu powiedzieć o Lincolnie?

- Czemu nie - odparłem. - I tak dostanie telegram.

- Panie Barrows - rzekł Maury do słuchawki - właśnie wysłaliśmy do pana depezę. Tak, mamy drugiego homunkulusa, replikę Lincolna. To niebywały sukces, większy nawet niż Stanton. - Zerkając na mnie z zakłopotaniem, kontynuował: - Czy Stanton przyleci z panem? Niepokoiśmy się o niego. - Nastąpiła cisza, po czym Maury ponownie opuścił słuchawkę. - Barrows mówi, że Stanton napomknął, iż zamierza zostać w Seattle przez parę dni i obejrzeć miasto. Chce pójść do fryzjera, odwiedzić bibliotekę, a jeśli miasto mu się spodoba, może nawet pomyśli o przeprowadzeniu się tam i otworzeniu kancelarii adwokackiej.

- Jezus Maria -jęknęła Pris, zaciskając pięści. - Powiedz Barrowsowi, by namówił go do powrotu!

Maury podjął rozmowę telefoniczną:

- Czy mógłby pan go przekonać, aby wrócił razem z panem? - Znów cisza. - Już wyszedł - powiedział Maury, zwracając się do nas, tym razem nie zakrywając słuchawki. - Powiedział Barrowsowi do widzenia i ruszył w drogę. -Maury zmarszczył czoło głęboko zatroskany.

- Tak czy owak, ustal szczegóły dotyczące przylotu - odezwałem się.

- Prawda. - Maury zebrał się w sobie i ponownie przemówił do słuchawki: - Myślę, że ta przeklęta maszyna da sobie radę. Ma chyba pieniądze? - Cisza. - Dał mu pan jeszcze dwadzieścia dolarów? To dobrze. A więc do zobaczenia. Lincoln jest jeszcze lepszy. Tak, proszę pana. Dziękuję i do widzenia. - Odwiesił słuchawkę i usiadł. Wpatrywał się w podłogę, usta mu drżały. - Nawet nie zauważyłem, że zniknął. Myślicie, że był zły z powodu Lincolna? Pewnie tak. Ma facet temperament.

- Co się stało, to się nie odstanie - zauważyłem.

- Prawda - mruknął Maury, zagryzając wargi. - Akumulator wytrzyma jeszcze sześć miesięcy! Możemy go nie zobaczyć do przyszłego roku. O Boże, włożyliśmy w to tysiące dolarów. A co będzie, jeśli Barrows coś knuje? Może zamknął go gdzieś w piwnicy?

- Gdyby tak było, nie przyjeżdżałby tutaj - powiedziała Pris. - Może zresztą wyjdzie to nam na dobre. Może Barrows nie przyjechałby tutaj, gdyby nie Stanton i to, co powiedział i zrobił. Może telegram by go nie przekonał, aby do nas przyjechać. Gdyby Stanton nie uciekł, wystawiając Barrowsa do wiatru, może ten by go usidlił, a my zostalibyśmy na lodzie.

- Taak - zgodził się niechętnie Maury. Głos zabrał mój ojciec:

- Barrows jest człowiekiem godnym szacunku, prawda? Człowiekiem, który nie przechodzi obojętnie obok problemów społecznych. Weźmy na przykład ten list, który pokazał mi syn, a w którym mowa o budownictwie czynszowym i tych biedakach, których otacza opieką.

Maury znów kiwnął głową, jednak wciąż nieprzekonany

Głaszcząc mojego ojca po ramieniu, Pris powiedziała:

- Tak, Jerome, to porządny człowiek. Polubisz go. Ojciec spojrział na Pris, a potem na mnie.

- Wygląda na to, że wszystko skończy się dobrze, nicht wahr?

Wszyscy pokiwalismy głowami z mieszaniną troski i strachu.

W drzwiach pojawił się Bob Bundy, trzymał w ręku złożoną kartkę papieru.

Podchodząc do mnie, powiedział:

- Wiadomość od Lincolna.

Rozłożyłem kartkę. Były to krótkie wyrazy współczucia.

Pan Louis Rosen. Szanowny Panie

Pragnę zapytać o stan pańskiego zdrowia, mając nadzieję, że czuje się pan już lepiej.

Z wyrazami szacunku A. Lincoln

- Zejdę i osobiście mu podziękuję - powiedziałem do Maury'ego.

- Zrób tak.

Rozdział dziewiąty

W mroźnym wietrze czekaliśmy przy wejściu do hali dworca lotniczego na przylot samolotu z Seattle. Zastanawiałem się, czym ktoś taki jak Barrows różni się od innych ludzi.

Boeing 900 wylądował i podkołował wzdłuż pasa startowego. Podjechały schodki, otwarto drzwi i stewardesy zaczęły pomagać pasażerom opuścić samolot, na dole zaś pracownicy linii lotniczych czuwali, aby podróżni nie wylądowali tyłkiem na asfalcie. Tymczasem wózki bagażowe ganiały w tę i z powrotem jak wielkie robale. Obok samolotu stanęła ciężarówka Standard Stations z zapalonymi czerwonymi światłami na dachu.

Zaczęli się pojawiać pasażerowie, cała galeria różnych typów ludzkich. Wychodzili z samolotu przez dwoje drzwi i pospiesznie schodzili po schodkach. Dookoła nas krewni i przyjaciele ruszyli do przodu, zapuszczając się na płytę lotniska tak daleko, jak tylko było wolno. Obok mnie Maury poruszył się nerwowo.

- Chodźmy go powitać.

Oboje z Pris ruszyli naprzód, więc poszedłem za nimi. Zatrzymał nas urzędnik linii lotniczych w niebieskim mundurze, który polecił nam się cofnąć. Jednak Maury i Pris zignorowali go; ja zrobiłem to samo i razem skierowaliśmy się ku schodkom przy drzwiach pierwszej klasy. Tam przystanęliśmy. Pasażerowie schodzili jeden po drugim. Niektórzy się uśmiechali, biznesmeni zachowywali kamienny wyraz twarzy. Część wyglądała na zmęczonych.

- To on - powiedział Maury.

Z samolotu wyszedł lekko uśmiechnięty szczupły mężczyzna w szarym garniturze, niosący na ramieniu płaszcz. Gdy się zbliżył, wydało mi się, że garnitur nosi swobodniej niż inni mężczyźni. Bez wątplenia szyty na miarę, prawdopodobnie w Anglii lub Hongkongu. Wyglądał też na bardziej zrelaksowanego. Nosił zielonkawe okulary przeciwsłoneczne bez oprawki; tak jak na fotografii włosy miał bardzo krótko przystrzyżone, niemal na rekrucką modłę. Za nim szła znana mi wesoła ósóbka: Colleen Nild trzymająca pod pachą teczkę i papiery.

- Jest ich troje - zauważyła Pris.

Towarzyszyła im jeszcze jedna osoba. Bardzo niski, korpulentny pan w źle dopasowanym garniturze o zbyt długich rękawach i nogawkach. Twarz miał rumianą, nos jak u doktora Doolittle i długie, proste, przeredzone włosy, które zaczesywał na bok wysokiego czoła. W krawat miał wpiętą szpilkę, a po tym, jak ruszył za Barrowsem, domyśliłem się, że

mam do czynienia z prawnikiem. W taki właśnie sposób zrywają się ze swojego miejsca w sądzie adwokaci lub wybiegają na boisko trenerzy drużyn baseballowych, aby zaprotestować przeciw decyzji sędziego. Obserwując go, pomyślałem, że gest protestu wygląda tak samo, niezależnie od profesji: ostro ruszasz do przodu, mówiąc i wymachując rękami.

Prawnik mówił coś bardzo szybko do Colleen Nild. Emanowała zeń czujność i energia. Wyglądał mi na sympatycznego faceta, kogoś z niespożytą energią. Właśnie kogoś takiego spodziewałem się ujrzyć jako prawnika na żołdzie Barrowsa. Colleen, tak jak poprzednio, ubrana była w ciężki czarno-niebieski watowany płaszcz, który musiał jej ciążyć jak ołów. Poza tym miała rękawiczki, kapelusz oraz nową skórzaną torebkę w stylu torby listonosza. Słuchała prawnika, który mówiąc, wymachiwał rękami we wszystkich kierunkach niczym dekorator wnętrz lub brygadzysta ekipy budowlanej. Coś w jego zachowaniu sprawiło, że poczułem przyjazne ciepło i od razu zrobiło mi się lżej na duszy. Ten prawnik, pomyślałem, wygląda na wielkiego komika. Poczułem, że go rozumiem.

Wreszcie Barrows znalazł się u podnóża schodków. Jego oczy były niewidoczne pod ciemnymi okularami, głowę trzymał lekko spuszczoną, jak gdyby chciał mieć baczenie na to, co robią jego stopy. Słuchał, co mówi prawnik. Gdy znalazł się na płycie lotniska, Maury wystąpił do przodu.

- Panie Barrows!

Usuwać się z drogi, żeby idący za nim mogli opuścić schodki, Barrows jednym płynnym ruchem obrócił się i wyciągnął rękę.

- Pan Rock?

- Tak, proszę pana - odpowiedział Maury, ściskając podaną mu rękę. Colleen Nild i prawnik stanęli obok, podobnie jak ja i Pris. - To jest Pris Frauentzimmer, a to mój wspólnik, Louis Rosen.

- Miło mi pana poznać, panie Rosen. - Wymieniliśmy z Barrowsem uścisk dłoni. - To moja sekretarka, pani Nild, a to mój doradca prawny, pan Blunk. - Wszyscy zaczęliśmy ścisnąć sobie dłonie. — Chłodno tu na dworze, nieprawdaż? — rzucił Barrows i ruszył w kierunku wejścia do hali dworca.

Poruszał się tak zwawo, że musieliśmy pędzić za nim jak stado wielkich, niezdarnych zwierzaków. Pan Blunk przebierający swoimi krótkimi nóżkami wyglądał jak na starym filmie puszczonym w przyspieszonym tempie. Nie wydawało się jednak, aby mu to przeszkadzało; wciąż promieniał radością.

- Boise - rzekł, rozglądając się dookoła. - Boise, Idaho. Czego to ludzie nie wymyślą. Idąca obok Colleen Nild pozdrowiła mnie.

- Miło mi pana znów widzieć, panie Rosen. Stanton zrobił na nas wrażenie czarującej istoty.

- Fantastyczna konstrukcja! - krzyknął do nas Blunk. Zaczęliśmy zostawać z tyłu. - Początkowo myśleliśmy, że jest z izby skarbowej. - Posłał mi promienny uśmiech.

Na czele szedł Barrows i Maury; Pris nieco z tyłu, gdyż drzwi do hali dworcowej były zbyt wąskie. Barrows i Maury weszli do środka, za nimi podążyla Pris, następny był Blunk, a ja i pani Nild zamykaliśmy kolumnę. Zanim zdążyliśmy wejść do budynku, przejść przez niego i wyjść przeciwnymi drzwiami na ulicę, gdzie znajdował się postój taksówek, Barrows i Maury znaleźli już limuzynę. Szofer w uniformie otworzył im tylne drzwiczki i wślizgnęli się do środka.

- Bagaż? - spytałem pani Nild.

- Nie mamy. Zbyt wiele czasu zabiera czekanie na jego odbiór. Zamierzamy zostać tu tylko przez parę godzin i wracamy. Prawdopodobnie dziś późnym wieczorem. Gdybyśmy musieli zostać na noc, kupimy wszystko, co będzie nam potrzebne.

- Ho, ho - powiedziałem z podziwem.

Reszta z nas również wsiadła do samochodu. Szofer obskoczył samochód i po chwili już pędziliśmy w stronę centrum Boise.

- Nie wyobrażam sobie, jak Stanton mógłby otworzyć kancelarię adwokacką w Seattle - mówił Maury do Barrowsa. - Przecież nie ma licencji na prowadzenie praktyki w stanie Waszyngton.

- Owszem. Myślę, że wkrótce znowu go ujrzycie. - Barrows wyjął papierośnicę i poczęstował Maury'ego oraz mnie papierosem.

Podsumowując swoje spostrzeżenia, pomyślałem, że Barrows różni się od reszty ludzi tym, iż wygląda, jakby porósł garniturem z angielskiej wełny tak, jak zwierzęta porastają futrem. Garnitur stanowił po prostu część jego osoby tak jak paznokcie i zęby. Był zupełnie nieświadom jego istnienia, jak również krawata, butów, papierośnicy - wszystkiego, co wiązało się z jego wyglądem.

A więc na tym polega bycie multimilionerem, pomyślałem.

Przepaść w stosunku do dolnego szczebla drabiny, na którym się znajdowałem, gdzie problemem było, czy nie mam rozpiętego rozporoka. Takie są niziny społeczne, gdzie ludzie tacy jak ja rzucają ukradkowe spojrzenia w dół. Sam K. Barrows nigdy w życiu nie zerkałby ukradkiem na swój rozporok. Gdyby stwierdził, że jest rozpięty, po prostu by go zapiął. Chciałbym być bogaty, westchnąłem w duchu.

To mnie przygnębiło. Moja sytuacja była beznadziejna. Nie doszedłem nawet do fazy,

w której tak jak inni mężczyźni martwiłbym się węzłem swego krawata; prawdopodobnie nigdy do niej nie dojdę.

Na dodatek Barrows był naprawdę przystojnym mężczyzną, trochę przypominającym Montgomery'ego. Może nie tak przystojnym jak on, zważywszy na worki i zmarszczki pod oczami, które dostrzegłem, gdy zdjął swoje ciemne okulary. Miał jednak atletyczną budowę ciała, którą prawdopodobnie zawdzięczał grze w piłkę ręczną na swym prywatnym boisku wartym pięć tysięcy dolarów. Miał też pewnie superlekarza, który nie pozwalał mu popijać ani tanich

napojów, ani jakiegoś tam piwa. Nigdy też nie jadał w barach dla zmotoryzowanych... nigdy pewnie też nie przełknął ani kawałka wieprzowiny, żywiąc się tylko delikatną baraniną, stekami i pieczoną wołowiną.

Naturalnie, będąc na takiej diecie, nie miał ani grama zbędnego tłuszczu. To mnie jeszcze bardziej przygnębiło.

Teraz zrozumiałem, czemu służyły te misy suszonych śliwek spożywane o szóstej rano i te czteromilowe biegi opustoszałymi ulicami o piątej. Ten ekscentryczny młody milioner, którego fotografia zdobiła okładkę magazynu „Look”, najprawdopodobniej nie umrze na zawał w wieku czterdziestu lat. Miał zamiar żyć długo i cieszyć się swym bogactwem. Żadna wdowa nie odziedziczy jego majątku, jakby na to wskazywała narodowa prawidłowość.

Ekscentryk, do diabła.

Spryciarz.

Było tuż po siódmej wieczorem, gdy nasza limuzyna wjechała do samego centrum Boise, a pan Barrows oraz jego dwoje towarzyszy oświadczyło, że nie jedli obiadu. Chcieli wiedzieć, czy nie znamy w Boise jakiejś dobrej restauracji. W Boise nie ma żadnej dobrej restauracji.

- Jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy dostać krewetki z grilla - powiedział Barrows. - Lekką kolację czy coś w tym rodzaju. W samolocie wypiliśmy kilka drinków, ale nikt z nas nic nie jadł. Bez przerwy plotkowaliśmy.

Znaleźliśmy restaurację, która od biedy się nadawała. Starszy kelner zaprowadził nas w głąb sali do gabinetu w kształcie podkowy, z siedziskami obitymi skórą. Zdjęliśmy płaszcze i zajęliśmy miejsca.

Zamówiliśmy drinki.

- Czy to prawda, że pierwszą większą kasę zrobił pan, grając w pokera w wojsku? - spytałem Barrowsa.

- Nie, to były kości. Sześć miesięcy gry w kości. Poker wymaga umiejętności; ja mam szczęście.

- To nie szczęście sprawiło, że wszedł pan w interes z nieruchomościami - zauważyła Pris.

- Nie. To dzięki mojej matce, która wynajmowała pokoje, gdy wcześniej mieszkaliśmy w Los Angeles. - Barrows skupił na niej wzrok.

- Ani też - ciągnęła Pris tym samym napiętym głosem -nie było kwestią szczęścia, że obwołano pana Don Kichotem, który z powodzeniem zmusił Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych do wydania orzeczenia przeciwko Agencji Kosmicznej i zmonopolizowaniu przez nią wszystkich satelitów i planet.

Barrows skinął głową.

- Bardzo mi pochlebia pani opis. Posiadałem coś, co w moim mniemaniu było prawnym tytułem własności działek na Księżycu, i chciałem sprawdzić jego ważność w taki sposób, aby nikt nie mógł później go zakwestionować. Mówi pani, że już się spotkaliśmy?

- Tak - powiedziała Pris i oczy jej zabłyśły. — Jakoś nie mogę sobie przypomnieć.

- To była tylko chwila w pańskim biurze. Nie mam do pana żalu, że pan nie pamięta. Ja jednak zapamiętałam to spotkanie. - Nie odrywała od faceta oczu.

- Jest pani córką Rocka?

- Tak, panie Barrows.

Wyglądała dziś o wiele lepiej. Była u fryzjera i nałożyła dość makijażu, aby ukryć bladość cery, choć nie tyle, by jej twarz przybrała wygląd maski o ostrych rysach, jak to już kiedyś miałem okazję widzieć. Teraz, kiedy zdjęła płaszcz, zauważyłem, że ma na sobie luźną bluzkę z dżerseju z krótkimi rękawkami i jeden złoty drobiazg: szpilkę w kształcie węża wpiętą powyżej prawej piersi. Na Boga, pomyślałem, założyła nawet stanik, i to taki, który tworzył wypukłości tam, gdzie ich nie było. Na tę specjalną okazję Pris otrzymała biust. A kiedy wstała, by powiesić płaszcz, zobaczyłem, iż jej nogi w butach na wysokich obcasach wyglądają bardzo zgrabnie. Zatem kiedy sytuacja tego wymaga, potrafi o siebie zadbać.

- Pani pozwoli, że się tym zajmę - powiedział Blunk, odbierając od niej płaszcz i w podskokach biegnąc do wieszaka. Gdy wrócił, kłaniając się i posyłając jej promienny uśmiech, zajął z powrotem swoje miejsce. - Czy jest pani pewna - wypalił - że ten brudny staruch - tu wskazał na Maury'ego - jest naprawdę pani ojcem? A może mamy do czynienia z grzechem, grzechem gwałtu w rozumieniu prawa? - Wycelował palec w Maury'ego w tragikomicznym geście. - Wstyd, proszę pana! - Uśmiechnął się do nas.

- Chcesz po prostu zgarnąć ją tylko dla siebie - powiedział Barrows, odgryzając

ogonek krewetki i odkładając go na bok. - Skąd wiesz, że ona nie jest jeszcze jednym homunkulusem, tak jak Stanton.

- Jestem gotów założyć się o milion! - wykrzyknął Blunk z błyskiem w oku.

- Ona naprawdę jest moją córką - oznajmił Maury. - Długo przebywała poza domem, w szkole. - Wyglądał na niezbyt zadowolonego.

- A teraz wróciła... - Blunk zniżył głos i teatralnym szeptem powiedział do Maury'ego - przy nadziei, nieprawdaz?

Maury uśmiechnął się z przymusem.

- Miło mi znowu się z panią spotkać, pani Nild - powiedziałem, zmieniając temat.

- Dziękuję.

- Ten robot Stanton przeraził nas nie na żarty - rzekł Barrows, zwracając się do mnie i Maury'ego. Siedział z łokciami na stole. Zjadł już krewetki i wyglądał na sytego i odświeżonego. Jak na kogoś, kto rozpoczyna dzień od suszonych śliwek, oddawał się jedzeniu bez reszty. Musiałem przyznać, że podoba mi się ta jego cecha. Uznałem to za dobry znak.

- Należą się wam gratulacje! - zawołał Blunk. - Zbudowaliście potwora! - Zaśmiał się głośno, zadowolony z siebie. - Trzeba zabić bestię! Wołać ludzi z pochodniami! Do dzieła! Tym nas rozśmieszył.

- Jak właściwie zginął ten potwór Frankensteina? - spytała Colleen.

- Lód - odparł Maury. - Spalono pałac, a potem na ruiny wężami lano wodę, która zamarzła.

- Ale w następnym filmie odnaleziono zamrożonego potwora - wtrąciłem - i wskrzeszono go do życia.

- Zniknął w kraterze pełnym roztopionej lawy - powiedział Blunk. - Byłem przy tym. Mam nawet guzik od jego płaszcza. - Wyjął z kieszeni guzik, pokazując go każdemu z nas po kolei. - Koniec ze słynnym potworem Frankensteina.

- To od twojej kamizelki, Davidzie - rzekła Colleen.

- Coś takiego! - Blunk zerknął w dół i zawył. - A więc to tak! To mój własny guzik! - Znow się roześmiał.

— Ile kosztowało zbudowanie tego robota, Stantona? — Spytał Barrows, dłubiąc paznokciem w zębach.

- Około pięciu tysięcy - odparł Maury.

- A ile wyniósłby koszt przy produkcji seryjnej? Dajmy na to kilkuset tysięcy sztuk.

— Do licha — powiedział szybko Maury — myślę, że około sześciuset dolarów.

Oczywiście pod warunkiem, że są identyczne, mają te same monady sterujące i chodzą pod tym samym programem.

- A więc - podjął Barrows - jest to naturalnej wielkości mówiąca lalka, jedna z tych, które były niegdyś tak popularne. Mam rację...

- Niezupełnie - powiedział Maury.

- No cóż, mówi i chodzi - nie ustępował Barrows. - Przyjechał sam autobusem do Seattle. Trochę bardziej skomplikowany automat, nieprawdaż? - Zanim Maury zdążył odpowiedzieć, Barrows dodał: — Chcę powiedzieć, że tak naprawdę nie mamy tutaj do czynienia z żadną nowością.

Cisza.

— Z pewnością — odezwał się Maury. Nie wyglądał teraz na zbyt wesołego. Zauważyłem, że Pris też nagle straciła humor.

- Mógłby pan to wyjaśnić - powiedział Barrows wciąż tym samym miłym głosem. Wziął do ręki kieliszek wina Green Hungarian i upił nieco. - Proszę, niech pan mówi, panie Rock.

- To wcale nie jest automat - oświadczył Maury. - Zna pan prace Waltera Greya z Anglii? O żółwiach? To są tak zwane układy homeostatyczne. Jeśli taki układ odciąć od jego środowiska, to zacznie tworzyć własne reakcje. To jakby w pełni zautomatyzowana fabryka, która sama usuwa własne awarie. Wie pan, co to takiego sprzężenie zwrotne? W układach elektronicznych...

Dave Blunk położył ręce na ramionach Maury'ego.

- Pan Barrows chce wiedzieć, jak wygląda kwestia praw patentowych, jeśli możemy użyć takiego niezgrabnego sformułowania odnośnie waszego Stanton i Lincolna.

- Mamy pełne zabezpieczenie naszych praw w biurze patentowym - odezwała się Pris. Mówiła niskim i opanowanym głosem. - Reprezentuje nas doświadczona firma prawnicza.

- To dobrze - powiedział Barrows, uśmiechając się do niej, lecz nie przerywając dłubania w zębach — bo inaczej nie byłoby czego kupować.

- W grę wchodzi wiele nowych rozwiązań - dodał Maury. - Stanton, homunkulus, jest efektem wieloletniej pracy mnóstwa zespołów badawczych, zarówno rządowych, jak i pozarządowych, i jeśli mogę tak powiedzieć, jesteśmy niezmiernie zadowoleni, wręcz zachwyceni, wspaniałymi rezultatami... jak na przykład znanym panu faktem, że Stanton wysiadł z autobusu Greyhounda w Seattle i wziął taksówkę do pańskiego biura.

- On przyszedł na piechotę - poprawił go Barrows.

- Co proszę?

— Mówię, że Stanton z dworca Greyhounda przyszedł do mojego biura na piechotę.

- Tak czy owak - powiedział Maury - to, co udało nam się stworzyć, jest na rynku elektroniki czymś bez precedensu.

Po obiedzie pojechaliśmy do Ontario, a do biura spółki WAZA dotarliśmy o godzinie dziesiątej.

- Zabawne małe miasto - zauważył Dave Blunk, przyglądając się pustym ulicom. - Wszyscy w łózkach.

- Poczekajcie, aż zobaczycie Lincolna - oznajmił Maury, gdy wysiadaliśmy z samochodu.

Goście przystanęli przed oknem salonu wystawowego i przeczytali tekst o Lincolnie.

- Niech mnie kule biją - powiedział Barrows. Przytknął twarz do szyby, zaglądając do środka. - Ani śladu. Gdzie on się podziewa? Śpi? A może każdego dnia o piątej, kiedy ruch jest największy, robicie na niego zamach?

- Lincoln jest najprawdopodobniej na dole w warsztacie - rzekł Maury. - Chodźmy tam. - Otworzył drzwi i usunął się na bok, by wpuścić nas do środka.

Stanęliśmy w progu ciemnego warsztatu, czekając na Maury'ego, który po omacku szukał włącznika światła. Wreszcie go znalazł.

W środku zastaliśmy Lincolna pogrążonego w medytacjach. Siedział spokojnie w ciemnościach.

Barrows odezwał się bez namysłu:

- Panie prezydencie. - Dostrzegłem, jak trącił łokciem Colleen Nild. Blunk wykrzywił się w uśmiechu. Na twarzy malował mu się entuzjazm pomieszany z zachłannością i dobroduszną serdecznością głodnego, lecz pewnego siebie kocura. Najwyraźniej bardzo go to wszystko bawiło. Pani Nild wyciągnęła szyję i patrzyła z zapartym tchem, bez wątpienia lekko oszołomiona. Oczywiście Barrows, nie wahając się ani chwili, wszedł do warsztatu, doskonale wiedząc, co należy zrobić. Nie wyciągnął do Lincolna ręki. Zatrzymał się z szacunkiem kilka kroków od niego.

Lincoln odwrócił głowę i spojrzał na Barrowsa z melancholijnym wyrazem twarzy. Nigdy w życiu nie widziałem takiej rozpacz. Aż się skurczyłem; to samo zrobił Maury. Pris, stojąca wciąż w progu warsztatu, w ogóle nie zareagowała. Lincoln podniósł się z wahaniem i wtedy stopniowo wyraz bólu zniknął z jego twarzy. Łamanym, piskliwym głosem, który był całkowitym zaprzeczeniem jego postawnej figury, powiedział:

- Słucham pana. - Spojrzał na Barrowsa z wysokości swego wzrostu z życzliwością i

zainteresowaniem. W oczach migotały mu małe iskierki.

- Nazywam się Sam Barrows. To wielki zaszczyt móc poznać pana, panie prezydencie.

- Dziękuję, panie Barrows - odrzekł Lincoln. - Proszę, niech pan i pańscy przyjaciele wejdą i się rozgoszczą.

Patrząc na mnie, David Blunk cichutko zagwizdał ze zdumienia i strachu. Poklepał mnie po plecach.

- Ho, ho - powiedział powoli.

- Pamięta mnie pan, panie prezydencie? - spytałem homunkulusa.

- Tak, panie Rosen.

- A mnie? - zapytała oschle Pris.

Homunkulus nieznacznie się uklonił. Był to niezdarny, formalny ukłon.

- Panna Frauenzimmer i pan Rock... osoba, która jest podporą tego gmachu, nieprawdaż? — Homunkulus zachichotał. - Właściciel lub raczej współwłaściciel, o ile się nie mylę.

- Co pan porabiał? - spytał Maury.

- Myślałem o komentarzu Lymana Trumbulla. Jak wiecie, sędzia Douglas spotkał się z Buchananem, by porozmawiać o ustawie Kansas-Nebraska. Sędzia Douglas zaatakował później Buchanana, pomimo groźby, że będzie to odczytane jako krok przeciwko administracji. Nie popierałem sędziego Douglasa, jak to uczyniło wielu moich drogich kolegów partyjnych, republikanów. Ale w Bloomington, gdzie znalazłem się pod koniec 1857 roku, nie dostrzegłem wokół Douglasa żadnego republikanina, co skrzętnie odnotowała nowojorska „Tribune”. Poprosiłem Lymana Trumbulla, aby napisał do mnie do Springfield i powiedział, czy... W tym momencie Barrows przerwał homunkulusowi:

- Jeśli wasza ekscelencja pozwoli, mamy interesy do omówienia, a później ja, ten oto dżentelmen pan Blunk i tu obecna pani Nild musimy lecieć z powrotem do Seattle.

Lincoln uklonił się.

- Dzień dobry, pani Nild. - Wyciągnął rękę i Colleen Nild, parsknąwszy śmiechem, podeszła, aby ją uścisnąć. - Dzień dobry, panie Blunk. - Z powagą wymienił uścisk dłoni z małym, krągłym adwokatem. — Czy nie jest pan czasem spokrewniony z Nathanem Blunkiem z Cleveland?

- Nie, nie jestem - powiedział Blunk, potrząsając energicznie dłonią Lincolna. - Pan też w swoim czasie praktykował jako adwokat, nieprawdaż?

- Tak, proszę pana - odparł Lincoln.

- Mój fach.

- Ach tak. - Lincoln uśmiechnął się. - Ma pan tę boską zdolność spierania się o drobiazgi.

Blunk wybuchnął serdecznym śmiechem. Stojący obok Blunka Barrows zwrócił się do homunkulusa.

- Przylecieliśmy tu z Seattle, aby omówić z panami Rosenem i Rockiem finansowe wsparcie, jakie ewentualnie Barrows Enterprises mogłoby udzielić spółce WAZA. Przed sfinalizowaniem umowy chcieliśmy się spotkać z panem i porozmawiać. Niedawno odwiedził nas Stanton, który przyjechał do Seattle autobusem. Chodzi o to, że nabylibyśmy pana, a także Stanton, jako aktywa spółki WAZA, jak również prawa do odpowiednich patentów. Jako byłemu adwokatowi nie są panu zapewne obce tego rodzaju transakcje. Chciałbym pana o coś zapytać. Jak pan odbiera współczesny świat? Czy wie pan, co to takiego witaminy? - Bacznie przyglądał się homunkulusowi.

Lincoln nie odpowiedział od razu i gdy szykował się do tego, Maury poprosił Barrowsa na stronę. Dołączyłem do nich.

- To wszystko nie ma sensu - oświadczył Maury. - Pan doskonale zdaje sobie sprawę, że nie przygotowano go do tego, aby radził sobie z takimi zagadnieniami.

- To prawda - zgodził się Barrows - ale jestem po prostu ciekawy.

- Niech pan przestanie. Pewnie uważa pan, że byłoby zabawne, gdyby doprowadził pan do przepalenia jednego z głównych obwodów.

- Taki jest delikatny?

- Nie - powiedział Maury. - Ale pan go specjalnie drażni.

- Nieprawda. Jest tak przekonywająco bliski żywej istocie, że chciałbym wiedzieć, w jakim stopniu jest świadomy swojej nowej egzystencji.

- Dajmy temu spokój - uciął Maury. Barrows wykonał gwałtowny gest.

- W porządku. - Skinął na Colleen Nild i swojego prawnika. - Kończmy nasze tutejsze interesy i wracajmy do Seattle. Davidzie, jesteś zadowolony z tego, co tu zobaczyłeś?

- Nie - odpowiedział Blunk, dołączając do nas. Colleen pozostała z Pris i homunkulusem. Wypytywały go o szczegóły jego debaty ze Stephenem Douglasem. - Nie sądzę, aby Lincoln działał choćby w połowie tak dobrze, jak Stan-ton.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- On... zacina się.

- Dopiero co go uruchomiliśmy - wtrąciłem.

- Nie, to nie to - sprostował Maury. - To inna osobowość. Stanton jest bardziej

sztynny, dogmatyczny. - Zwrócił się do mnie: - Wiem cholernie dużo na temat ich obu. Lincoln taki właśnie był. Sam przygotowałem programy. Miewał okresy zadumy. Właśnie był pogrążony w rozmyślaniach, kiedy tu przyszliśmy. Są chwile, gdy jest bardziej radosny. -A do Blunka powiedział: - Taki ma charakter. Jeśli pobędzie pan z nim dłużej, ujrzy go pan w innym nastroju. Ulegający nastrojom... o, taki właśnie jest. Chodzi mi o to, że to nie kwestia usterki elektrycznej. Taki właśnie powinien być.

- Rozumiem - odparł Blunk, ale nie wyglądał na przekonanego.

— Wiem, o co panu chodzi — odezwał się Barrows. — Lincoln wydaje się mało samodzielny.

- Otóż to - powiedział Blunk. - Nie jestem pewny, czy wszystko tu idealnie gra. Jest chyba wiele usterek, które trzeba usunąć.

- To by wyjaśniało - rzekł Barrows - ich naleganie, żeby nie stawiać pytań na tematy współczesne. Chwytasz?

- Oczywiście - odparł Blunk.

- Panie Barrows - wtrąciłem się - w ogóle nie rozumie pan istoty sprawy. Może to z powodu lotu z Seattle i późniejszej długiej jazdy samochodem z Boise. Szczerze mówiąc, myślałem, że pojął pan podstawy funkcjonowania homunkulusów, ale zostawmy ten temat w imię przyjaźni. Dobrze? — Uśmiechnąłem się.

Barrows przyglądał mi się bez słowa; podobnie Blunk. Maury przysiadł w kącie na taborecie, paląc cygaro, z którego unosiły się małe obłoczki niebieskiego dymu.

- Rozumiem wasze rozczarowanie Lincolnem - powiedziałem. - Podzielam je. Muszę wyznać, że Stanton był wcześniej trenowany.

- O! - powiedział Blunk i oczy mu błysnęły.

- To nie był mój pomysł. Mój współnik denerwował się i chciał, aby wszystko było dobrze przygotowane. - Kiwnąłem głową w kierunku Maury'ego. - Źle zrobił, ale teraz to już bez znaczenia. Chcemy zrobić interes na Lincolnie, bo to on właśnie jest prawdziwym odkryciem spółki WAZA. Wracajmy i pytajmy go dalej.

Cała nasza trójka podeszła do miejsca, gdzie stała pani Nild i Pris, słuchając wysokiego, brodatego i przygarbionego homunkulusa.

- ...zacytował mnie w kwestii uwzględnienia Murzynów w Deklaracji Niepodległości, która mówi, że wszyscy ludzie rodzą się równi. W Chicago sędzia Douglas oznajmił, że tak właśnie powiedziałem, a następnie zakomunikował, iż w Charleston oświadczyłem, że Murzyni należą do rasy niższej. I że utrzymywałem, iż nie jest to problem moralny, lecz kwestia poziomu rozwoju, natomiast w Galesburgu wycofałem się z tego i znowu

oświadczyłem, że jest to jednak problem moralny. - Homunkulus posłał nam łagodny uśmiech. - Wtedy jakiś jegomość na widowni zawołał: „Ma rację!” Miło mi było słyszeć, że ktoś uważa, iż mam rację, ponieważ wydawało mi się, że sędzia Douglas rozłożył mnie na obie łopatki.

Pris i pani Nild roześmiały się z uznaniem. Reszta z nas stała w milczeniu.

- Największą owację sędzia Douglas otrzymał, kiedy oświadczył, że cała Partia Republikańska na północy kraju twardo obstaje przy doktrynie o nierozszerzaniu niewolnictwa na nowe stany, podczas gdy w innych częściach kraju republikanie odrzucają tę doktrynę... i tu sędzia zadał pytanie: „Czy pan Lincoln i jego partia nie prezentują postawy, którą pan Lincoln, cytując Pismo Święte, nazywa domem rozdzielonym, który niezgodą ostać się nie może”. - W głosie Lincolna zabrzmiała błazeńska nuta. - Sędzia zastanawiał się więc, czy moje zasady są takie same jak wyznawane przez resztę Partii Republikańskiej. Oczywiście, nie miałem okazji odpowiedzieć sędziemu wcześniej niż w październiku w Quincy. Ale tam powiedziałem mu, że równie dobrze mógłby się spierać o to, czy kasztanowiec to to samo co kasztanek. Z pewnością nie było moim celem wprowadzanie politycznej i społecznej równości między rasą białą i czarną. Istnieje między nimi fizyczna różnica, która, w mojej opinii, prawdopodobnie nigdy nie pozwoli na to, aby obie rasy żyły razem na idealnie równej stopie. Niemniej jednak uważam, że Murzyn ma takie samo prawo do życia, wolności i szczęścia, jakim cieszy się biały człowiek. Ze swej strony nie uważam Murzyna za równego sobie, z pewnością nie pod względem koloru skóry, ani też pod względem intelektualnych i moralnych cnót. Ale w prawie do jedzenia chleba, na który zapracuje własnymi rękami, jest mi równy i równy sędziemu Douglasowi oraz każdemu żyjącemu człowiekowi. - Homunkulus urwał na chwilę. - W tym momencie dostałem wielkie brawa.

- Co za taśmę włożyliście w tę maszynę?- zapytał mnie Sam Barrows.

- On może mówić, co zechce - odparłem.

- Wszystko? Chcesz powiedzieć, że chce mu się tak perorować? - Barrows najwyraźniej mi nie uwierzył. - Według mnie to nic innego jak znana sztuczka z mechanicznym człowiekiem, tylko że występującym w historycznym przebraniu. Podobną rzecz, Pedra the Vodor, zademonstrowano już w 1939 roku podczas Wystawy Światowej w San Francisco.

Wymiana zdań między mną a Barrowsem nie umknęła uwagi Lincolna. Zarówno on, jak i Colleen Nild oraz Pris patrzyli na nas i słuchali naszej rozmowy.

Lincoln zwrócił się do Barrowsa:

- Czyżbym się przesłyszał, gdy nie tak dawno temu wyraził pan chęć „nabycia mnie” jako pewnego rodzaju aktywu? Czy dobrze sobie przypominam? Jeśli tak, to dziwię się, jak to możliwe, aby mógł pan nabyć mnie lub kogokolwiek innego, skoro panna Frauenzimmer mówi mi, że mamy dziś do czynienia z większym niż kiedykolwiek równouprawnieniem ras. Nie wszystko jest dla mnie jasne, ale myślę, iż nie może być dziś na świecie mowy o „nabywaniu” człowieka. Nawet w Rosji jest to powszechnie uznaną zasadą.

- Nie dotyczy to mechanicznych ludzi - oświadczył Barrows.

- Mnie pan ma na myśli? - zapytał homunkulus. Barrows odparł ze śmiechem:

- Tak, właśnie tak.

Za jego plecami stanął kurdupłowaty prawnik David Blunk. Pocierał z namysłem podbródek i spoglądał to na Barrowsa, to na homunkulusa.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, czym jest człowiek? - spytał homunkulus.

- Tak, mógłbym - powiedział Barrows. Pochwycił spojrzenie Blunka. Najwyraźniej Barrows nieźle się bawił. - Człowiek jest jak rozcięta rzodkiewka. Zapewne znana jest panu ta definicja - dodał.

- Owszem, proszę pana - rzekł homunkulus. - O ile się nie mylę, powiedział to Falstaff u Szekspira?

- Prawda - przytaknął Barrows. - A ja bym do tego dodał, że człowieka można zdefiniować jako zwierzę, które używa chusteczki. Co pan na to? To nie jest cytat z Szekspira.

- Nie, proszę pana - zgodził się homunkulus. - Szekspir tego nie powiedział. - Homunkulus roześmiał się serdecznie. - Doceniam pańskie poczucie humoru, panie Barrows. Czy mogę użyć tego sformułowania w mojej mowie?

Barrows skinął głową.

- Dziękuję - powiedział homunkulus. - A więc zdefiniował pan człowieka jako zwierzę, które używa chusteczki. Ale czym jest zwierzę?

- Mogę powiedzieć, że pan nim nie jest - odrzekł Barrows. Stojąc z rękami w kieszeni, wyglądał na całkowicie pewnego siebie. - Zwierzę posiada biologiczne dziedzictwo i strukturę, której panu brak. Pan ma zawory, druty i przełączniki. Jest pan maszyną, jak na przykład... - Namyślał się przez chwilę. - Jak maszyna tkacka, silnik parowy. - Mrugnął do Blunka. — Czy silnik parowy może się domagać ochrony, powołując się na konstytucję, o czym pan wspomniał? Czy podobnie jak biały człowiek ma prawo do jedzenia chleba, który wytwarza?

— Czy maszyna może mówić? — zapytał homunkulus.

— Oczywiście. Radioodbiorniki, fonografy, magnetofony, telefony: wszystkie one gadają jak najęte.

Homunkulus zamyślił się. Nie znał tych urządzeń, ale mógł się domyślić, czym są. Miał wystarczająco dużo czasu, aby przemyśleć wiele spraw. Wszyscy powinniśmy to docenić.

- W takim razie, proszę pana, czym jest maszyna? - zapytał homunkulus Barrowsa.

- Pan jest maszyną. Ci oto ludzie skonstruowali pana. Jesteś pan ich własnością.

Pociągła, pokryta zmarszczkami, brodatą twarz Lincolna wykrzywił wymuszony uśmiech, gdy spoglądał na Barrowsa.

- Zatem pan też jest maszyną, ma pan bowiem również Stwórcę, który tak jak „ci ludzie” stworzył pana na swoje podobieństwo. O ile się nie mylę, to Spinoza, wielki żydowski uczony, wyraził opinię, że zwierzęta są inteligentnymi maszynami. Sprawą kluczową, myślę, jest dusza. Zgodzi się pan, że maszyna potrafi zrobić wszystko to, co człowiek. Nie ma jednak duszy.

- Dusza nie istnieje - oświadczył Barrows. - To wszystko sieczka.

- Zatem - ciągnął homunkulus - maszyna jest tym samym, co zwierzę. — Po czym powoli mówił dalej, rzeczowo i cierpliwie: - A zwierzę jest tym samym, co człowiek. Zgadza się?

- Zwierzę składa się z krwi i kości, a maszyna, tak jak pan, z lamp i drutów. Po co to całe gadanie? Pan cholernie dobrze wie, że jest maszyną. Kiedy tu przyszedliśmy, siedział pan sam w ciemnościach, rozmyślając o tym. I co z tego? Ja wiem, że jest pan maszyną. I nic a nic mnie to nie obchodzi. Obchodzi mnie tylko to, czy ta maszyna funkcjonuje czy nie. Jeśli o mnie chodzi, to nie działa pan wystarczająco dobrze, aby mnie zainteresować. Może później, gdy pana usprawnią. Jedyne, co pan potrafi, to bluzgać na sędziego Douglasa i paplać o polityce i społeczeństwie, a to nikogo ni cholery nie obchodzi.

Jego adwokat, Dave Blunk, odwrócił się i spojrzał na niego z namysłem, wciąż pocierając podbródek.

- Myślę, że powinniśmy zabierać się z powrotem do Seattle — powiedział do niego Barrows. Natomiast mnie i Maury'emu oświadczył: - Oto moja decyzja. Wchodzimy w to, ale musimy mieć kontrolny udział, aby dyktować politykę firmy. Na przykład ten pomysł z wojną secesyjną jest czystym absurdem. W każdym razie w podanej przez was formie.

Kompletnie zaskoczony wyjąkałem: - Cco?

- Plan z wojną secesyjną tylko w jeden sposób mógłby przynieść rozsądny zysk. Nigdy, nawet za milion lat, byście na to nie wpadli. Rozegranie na nowo wojny secesyjnej,

zgoda, ale zysk pojawi się tylko wówczas, jeśli wszystko urządzi się tak, aby można było zakładać się o ostateczny rezultat.

- Jaki rezultat? - zapytałem.

- Rezultat co do tego, która strona zwycięży - odparł Barrows. - Niebieskie czy szare mundury.

- Tak jak w rozgrywkach „World Series” - dodał Dave Blunk, znacząco marszcząc czoło.

- Właśnie tak - potwierdził Barrows.

— Południe nie mogło wygrać — powiedział Maury. — Oni nie mieli żadnego przemysłu.

— W takim razie pomyślcie nad systemem wyrównywania szans — rzekł Barrows.

Maury'emu i mnie zabrakło słów.

— Żartujecie — zdołałem w końcu wykrztusić.

— Mówię zupełnie poważnie.

- Narodowa epopeja sprowadzona do roli wyścigów konnych? Wyścigów psów?

Loterii?

Barrows wzruszył ramionami.

- Podsunąłem wam pomysł wart milion dolarów. Możecie go odrzucić. Wasza wola. Mówię wam, że nie ma innego sposobu, aby użycie waszych lalek do rozegrania wojny secesyjnej dało jakiś dochód. Sam użyłbym ich zupełnie inaczej. Wiem, skąd wytrzasnęliście swojego inżyniera, Roberta Bundy'ego. Dowiedziałem się, że poprzednio pracował w Federalnej Agencji Kosmicznej, projektując obwody dla homunkulusów używanych przez rząd. W końcu najważniejsze, aby wiedzieć jak najwięcej o sprzęcie używanym do badań kosmicznych. Wiem, że wasz Stanton i Lincoln są niewielkimi modyfikacjami urządzeń stosowanych przez rząd.

— Wielkimi — poprawił ochryłym głosem Maury. — Homunkulusy używane przez rząd są po prostu samobieżnymi maszynami zdolnymi do przemieszczania się w pozbawionym powietrza terenie, na którym żaden człowiek nie byłby w stanie przeżyć.

- Powiem wam, jaka jest moja wizja. Czy potraficie zbudować homunkulusy, które są towarzyskie?

- Co proszę? - zapytaliśmy równocześnie z Maurym.

- Gdyby były skonstruowane tak, żeby wyglądały dokładnie jak rodzina z sąsiedztwa, to znalazłbym zastosowanie dla nich na wielką skalę. Przyjacielska, pomocna rodzina, która jest pożądanym sąsiadem. Ludzie, obok których chcielibyście zamieszkać, tacy, jakich

pamiętacie z dzieciństwa w Omaha w Nebrasce.

Po chwili milczenia odezwał się Maury:

- On chce powiedzieć, że zamierza sprzedawać ich razem z parcelami. Tak, aby mogli zacząć budowę.

- Nie sprzedawać - sprostował Barrows. - Dawać. Kolonizacja musi się wreszcie zacząć. Zbyt długo była odkładana. Księżyc jest jałowy i opustoszały. Ludzie czuliby się tam bardzo samotnie. Bardzo trudno, jak stwierdziliśmy, znaleźć kogoś, kto pojechałby jako pierwszy. Ludzie kupią ziemię, ale nie osiedlą się na niej. Chcemy, aby wyrastały miasta, ale by tak się stało, musimy najpierw zalać pompe.

- Czy osadnicy, to znaczy prawdziwi ludzie, wiedzieliby, że ich sąsiadami są tylko homunkulusy? - zapytałem.

- Oczywiście - odparł gładko Barrows.

- Nie próbowalibyście ich oszukiwać?

- Do licha, nie - zaprzeczył Dave Blunk. - To byłoby przestępstwo.

Spojrzałem na Maury'ego, a on na mnie.

- Nadalibyście im nazwiska - powiedziałem do Barrowsa. - Dobrze, swojskie amerykańskie nazwiska. Rodzina Edwardsów, Bill i Mary Edwards oraz ich siedmioletni syn Tim. Lecą na Księżyc; nie boją się zimna, braku powietrza ani jałowych pustkowi.

Barrows zerknął na mnie.

— Im więcej ludzi połknie haczyk — ciągnąłem — tym prędzej będzie pan mógł po cichutku zacząć wycofywać stamtąd homunkulusy. Rodzina Edwardsów, rodzina Jonesów i reszta: wszyscy oni sprzedadzą swoje domy i wyprowadzą się. Aż w końcu pańskie działki, osiedla zaludnią prawdziwi ludzie. I nikt się nigdy o niczym nie dowie.

- Nie liczyłbym na to, że ten plan wypali - odezwał się Maury. - Jakiś prawdziwy osadnik zechciałby na przykład przespać się z panią Edwards i odkryłby prawdę. Wicie, jak wygląda życie w takich osiedlach.

Dave Blunk zarżał krótkim śmiechem.

- Doskonałe!

Barrows odpowiedział ze spokojem:

- Wierzę, że taki plan ma szansę powodzenia.

- Nie ma pan innego wyjścia - powiedział Maury. - Ma pan te wszystkie działki tam, w kosmosie, a tymczasem emigracja napawa ludzi wstrętem... Myślałem, że ludzie domagają się wyjazdu, i że jedyne, co ich powstrzymuje, to ograniczenia prawne.

- Ograniczenia prawne istnieją - przyznał Barrows -ale bądźmy realistami. To

tamtejsze otoczenie powoduje, że jak je raz zobaczysz... Dobra, postawmy sprawę jasno: po dziesięciu minutach większość ludzi ma dosyć. Byłem tam raz i więcej nie wrócę.

- Doceniamy pańską szczerść, panie Barrows - wtrąciłem.

- Wiem, że homunkulusy używane przez rząd dobrze dają sobie radę w warunkach księżycowych - ciągnął Barrows. - Wiem, czym wy dysponujecie: cenną modyfikacją tych homunkulusów. Wiem, w jaki sposób doszliście do tych modyfikacji. Chcę, aby te modyfikacje raz jeszcze zmodyfikować, ale tym razem według moich wytycznych. Żadne inne rozwiązanie nie wchodzi w grę. Poza eksploracją planet wasze homunkulusy nie mają żadnej prawdziwej wartości rynkowej. Głupio się łudzicie, stawiając na tę imprezę z wojną secesyjną. Nie mam zamiaru robić z wami interesu na żadnych innych warunkach niż te, które wyłuszczyłem. I chcę to na piśmie. - Odwrócił się do Blunka, który z powagą skinął głową.

Gapilem się na Barrowsa, nie wiedząc, czy mu wierzyć czy nie. Czy mówił poważnie? Homunkulusy udające osadników, mieszkające na Księżycu, a wszystko po to, aby stworzyć wrażenie szczęśliwego i pomyślnego życia? Homunkulusy - mężczyźni, kobiety i dzieci - siedzące w salonie, jedzące atrapy jedzenia, korzystające z atrapy łazienki... straszne. Sposób na wyciągnięcie faceta z kłopotów, w które się wpakował. Czy chcemy na to postawić naszą dalszą karierę i życie?

Maury siedział ze smutną miną, pykając z cygara. Bez wątpienia myślał to, co ja.

Mimo to potrafiłem się wczuć w sytuację Barrowsa. Musiał w jakiś sposób przekonać ogół ludzi, że emigracja na Księżyc jest czymś pożądanym; zależała od tego cała jego ekonomiczna przyszłość. A poza tym cel uświęca środki. Ludzka rasa musi pokonać swój strach, swoją delikatność i po raz pierwszy w historii wejść w obce sobie środowisko. To pomogłoby ich skusić; solidarność daje pewien komfort. Ponad osiedlami zbuduje się kopuły zatrzymujące ciepło i powietrze... od strony fizycznej życie nie będzie uciążliwe. Jedynie realia psychologiczne, aura roztańczana przez środowisko księżycowe, wzbudzają strach. Żadnego życia, żadnego rozwoju — wieczna martwota. Stojący obok jasno oświetlony dom, a w nim rodzina zasiadająca do obiadu, wesoło rozmawiająca, zadowolona z życia. Barrows był w stanie to zapewnić, podobnie jak powietrze, ciepło, domy i wodę.

Musiałem mu oddać sprawiedliwość. Z mojego punktu widzenia wszystko było w porządku poza jednym wyjątkiem. Zapewne poczynione zostaną wszelkie starania w celu utrzymania wszystkiego w tajemnicy. Ale jeśli się to nie uda, jeśli coś wydostanie się na zewnątrz, Barrows będzie prawdopodobnie zrujnowany, może nawet zostanie oskarżony i trafi do więzienia. A my pójdziemy na dno razem z nim.

Co jeszcze w imperium Barrowsa zostało tak wykoncypowane? Pozory maskujące

oszustwo...

Udało mi się przestawić rozmowę na problemy związane z podróżą powrotną do Seattle. Przekonałem Barrowsa, aby zadzwonił do najbliższego motelu i zarezerwował pokoje. On i jego ekipa zostaliby na noc i wróciliby jutro.

Ta przerwa również mnie dała możliwość załatwienia kilku spraw przez telefon. Zasłaniając się tak, aby nikt nie mógł mnie usłyszeć, zadzwoniłem do ojca do Boise.

- Barrows wciąga nas w coś, co nas przerasta - oświadczyłem ojcu. - Straciliśmy grunt pod nogami i nikt z nas nie wie, co dalej robić. Nie umiemy sobie poradzić z tym facetem.

Mój ojciec, rzecz jasna, leżał już w łóżku. Był lekko zamroczony.

- Ten Barrows jest tam jeszcze?

- Owszem. Na dodatek facet ma nieprzeciętny umysł. Spierał się nawet z Lincolnem i jest przekonany, że wygrał. Może i tak. Cytował Spinozę, że zwierzę jest inteligentną maszyną, a nie żywym stworzeniem. Nie Barrows, Lincoln. Czy Spinoza naprawdę tak powiedział?

- Z żalem muszę przyznać, że tak.

- Kiedy mógłbyś tu wpaść?

- Na pewno nie dzisiaj - powiedział ojciec.

- Zatem jutro. Oni zostają na noc. Kończymy na dziś i zaczynamy jutro od nowa.

Potrzebujemy twojego miękkiego, humanistycznego podejścia, więc, u licha, staw się tu jutro.

Odłożyłem słuchawkę i powróciłem do reszty towarzystwa. Pięć - sześć, jeśli liczyć homunkulusa - osób siedziało w głównym biurze i rozmawiało.

- Chcemy wpaść gdzieś na drinka, zanim zameldujemy się w hotelu — zwrócił się do mnie Barrows. — Oczywiście przyłączysz się do nas. — Kiwnął głową w kierunku homunkulusa. — Chciałbym, żeby on też z nami poszedł.

Zakląłem w duchu, ale głośno wyraziłem zgodę.

No i siedzieliśmy w barze, a barman przyrządzał dla nas drinki.

Lincoln milczał, gdy składaliśmy zamówienie, ale Barrows zamówił dla niego toma collinsa. I podał mu trunek.

- Zdrowie - powiedział Blunk do homunkulusa, wznosząc do góry szklaneczkę whisky.

- Choć nie jestem abstynentem - oświadczył homunkulus swoim osobliwym, wysokim głosem - to pijam rzadko. - Podejrzliwie posmakował napoju, po czym upił odrobinę.

- Moi drodzy, stalibyście na pewniejszym gruncie - zaczął Barrows - gdybyście dokładniej przestudiowali własną pozycję. Ale teraz nie ma już na to czasu. Postawmy sprawę

tak: cokolwiek warta byłaby ta wasza naturalnej wielkości lalka jako produkt rynkowy, tyle samo, a może nawet więcej, jest wart pomysł zastosowania jej w badaniach kosmicznych. A zatem oba te pomysły się równoważą. Zgodzicie się ze mną? - Przyjrzał się nam badawczo.

— Pomysł badań kosmicznych pochodzi od rządu federalnego - sprzeciwiłem się.

- A zatem moja modyfikacja tego pomysłu - powiedział Barrows. - Chodzi mi o to, że są to równe udziały.

- Nie wiem, do czego pan zmierza, panie Barrows - wtrąciła się Pris. - Jakie udziały?

- Wasz pomysł homunkulusów, które wyglądają tak, że nie sposób ich odróżnić od zwykłych ludzi... i nasz, osiedlenia ich w nowoczesnym trzypokojowym domu w stylu kalifornijskiego rancza i nazwania ich rodziną Edwardsów.

- To był pomysł Louisa! - zakrzyknął desperacko Maury. -Z tą rodziną Edwardsów! - Spojrzał na mnie błędnym wzrokiem. - Czyż nie tak, Louis?

- Tak - potwierdziłem. W każdym razie tak sądziłem. Musimy stąd jak najszybciej wyjść, powiedziałem do siebie w duchu. On coraz bardziej przypiera nas do muru.

Lincoln samotnie popijał swojego toma collinsa.

- Jak panu smakuje drink? - zapytał go Barrows.

- Aromatyczny. Ale przytępia zmysły. - Nie przestał jednak popijać.

Tylko tego nam brakowało, pomyślałem. Przytępionych zmysłów!

Rozdział dziesiąty

W tym momencie udało nam się wytargować przerwę na noc.

- Miło mi było pana poznać, panie Barrows - powiedziałem, wyciągając rękę.

- Mnie również. - Uścisnął dłoń mnie, a potem Mauryemu i Pris. Lincoln stał nieco na uboczu, patrząc na to ze smutkiem... Barrows nie wymienił z nim uścisku dłoni ani nie powiedział mu do widzenia.

Wkrótce potem nasza czwórka szła z powrotem ciemną ulicą w stronę budynku spółki WAZA, oddychając głęboko czystym i zimnym nocnym powietrzem. Pachniało wspaniale i rozjaśniło nam w głowach.

Gdy tylko znaleźliśmy się w biurze - bez czającej się za plecami ekipy Barrowsa - wyciągnęliśmy butelkę old crow. Do kubków z flagą Południa nalaliśmy burbon i wodę.

- Mamy kłopoty - powiedział Maury. Wszyscy się z tym zgodziliśmy.

- Co ty na to? - zagadnął Maury homunkulusa. - Jaka jest twoja opinia w tej sprawie?

- On zachowuje się jak krab - odparł Lincoln. - Posuwa się do przodu, idąc bokiem.

- Co to znaczy? - zapytała Pris.

- Chyba wiem, co on chce przez to powiedzieć - oznajmił Maury. - Ten człowiek tak nas przyspilił, że nie wiemy, co robimy. Zachowujemy się jak smarkacze. Tak, smarkacze! I ty, i ja... - Wskazał na mnie. - Nazywamy siebie handlowcami. I proszę, wylano nam kubek zimnej wody na głowę. Gdybyśmy nie odroczyli spotkania, już by był właścicielem tego całego majdanu.

— Mój ojciec... — zacząłem.

- Twój ojciec jest jeszcze głupszy od nas! - krzyknął gorzko Maury. Szkoda, że w ogóle zaczęliśmy się zadawać z tym Barrowsem. Teraz nigdy się go nie pozbędziemy. W każdym razie dopóki nie dostanie tego, czego chce.

— Nie musimy robić z nim interesów — zauważyła Pris.

- Możemy mu powiedzieć, aby wracał do Seattle - dodałem.

- Nie zwracaj mi głowy! Nic mu nie możemy powiedzieć. Jutro bladym świtem, tak jak obiecał, zastuka do drzwi. Zetrze nas w pył, osaczy... - Maury gapił się na mnie pustym wzrokiem.

— Nie pozwól, aby cię nachodził — rzekła Pris.

— Myślę, że Barrows jest zdesperowanym facetem — powiedziałem. - Kolonizacja Księżyca, jego ogromne przedsięwzięcie, chwieje się. Nie czujecie tego? Facet, z którym

mamy do czynienia, nie jest już potężnym człowiekiem sukcesu. Postawił wszystko na handel ziemią na Księżycu, rozparcelował go, pobudował kopuły zatrzymujące ciepło i powietrze, wybudował konwertery zamieniające lód w wodę... I co? I nie może znaleźć ludzi, którzy chcieliby tam polecieć. Współczuję mu.

Wszyscy patrzyli na mnie z uwagą.

— Barrows chwycił się tego oszustwa jak tonący brzytwy — ciągnąłem. - Ten jego pomysł zbudowania osad z homunkulusami udającymi osadników zrodził się z rozpacz. Kiedy po raz pierwszy o nim usłyszałem, pomyślałem, że to przypuszczalnie jeszcze jedna śmiała wizja Barrowsa, na którą nikt z nas nigdy by nie wpadł, gdyż jesteśmy tylko zwykłymi śmiertelnikami. Ale teraz nie jestem tego taki pewny. Myślę, że opętał go strach, strach tak wielki, że postradał zmysły. To nie jest rozsądny pomysł. Nie uda mu się nikogo oszukać. Władze od razu się połapią w czym rzecz.

- W jaki sposób? - zapytał Maury.

- Ministerstwo Zdrowia bada każdego, kto chce emigrować. To prerogatywa rządu. W jaki sposób Barrows zamierza sprawić, aby homunkulusy opuściły Ziemię?

- Posłuchaj - powiedział Maury. - Nie do nas należy zastanawianie się, w jakiej mierze ten pomysł jest realny. Nie nam go osądzać. Tylko czas może dać odpowiedź na to pytanie, ale jeśli nie wejdziemy z nim w spółkę, nawet czas nic tu nie pomoże.

— Zgadzam się — rzekła Pris. — Powinniśmy się ograniczyć do rozważań, co my z tego będziemy mieli.

- Nic nie będziemy z tego mieli, jeśli go złapią i wtrącą do więzienia - powiedziałem. - Co mu się zresztą należy, na co zasługuje. Moim zdaniem powinniśmy się z tego wycofać póki czas i nie robić z tym człowiekiem żadnych interesów. Ten projekt jest niepewny, ryzykowny, nieuczciwy i skrajnie głupi. Nasze własne pomysły są wystarczająco wariackie.

Głos zabrał Lincoln:

- Czy pan Stanton mógłby tu przybyć?

- Co takiego? - zapytał Maury.

- Myślę, że mielibyśmy przewagę, gdyby Stanton był tutaj, a nie w Seattle, gdzie, jak mi powiedziano, obecnie przebywa.

Spojrzeliliśmy po sobie.

— On ma rację - odezwała się Pris. - Musimy sprowadzić tu Edwina M. Stantona. Przyda się nam; jest taki nieugięty.

- Potrzebujemy kogoś ze stali - zgodziłem się. - Ostoi. My jesteśmy zbyt chwiejni.

- Cóż, nic nie stoi na przeszkodzie, aby go tu sprowadzić - powiedział Maury. - Nawet

dziś wieczorem. Możemy wy-czarterować samolot, polecieć na lotnisko Sea-Tac pod Seattle, poszukać go, a gdy już go znajdziemy, wrócimy z nim tutaj. Będzie z nami, gdy jutro rano znów się spotkamy z Barrowsem.

- W najlepszym wypadku padniemy ze zmęczenia - zwróciłem mu uwagę. - Mogą upłynąć dni, nim go odnajdziemy. W tej chwili może go już wcale nie być w Seattle. Mógł polecieć na Alaskę, do Japonii, a nawet na Księżyc, na jedną z działek Barrowsa.

Z markotnymi minami sączyliśmy burbona - wszyscy oprócz Lincolna, który odstawił swój kubek na bok.

- Czy jedliście kiedyś zupę z kangurzych ogonów? - zapytał Maury.

Wszyscy, łącznie z homunkulusem, spojrzeliśmy na niego.

- Mam tu gdzieś jedną puszkę - wyjaśnił. - Możemy ją podgrzać na płycie. Jest doskonała. Przyrządzę ją.

- Mnie z tego wyłącz - zaprotestowałem.

- Ja też dziękuję - rzekła Pris.

Homunkulus posłał nam swój łagodny, nikły uśmiech.

- Opowiem wam, jak doszło do tego, że ją kupiłem - powiedział Maury. - Czekałem w kolejce do kasy w supersamie w Boise. Nagle usłyszałem, jak kasjer mówi do jednego z klientów: „Nie, proszę pana, już nie będziemy sprowadzać zupy z kangurzych ogonów”. W tym momencie zza kartonów z kaszą lub czymś podobnym rozległ się tubalny głos: „Koniec z zupą z kangurzych ogonów? Na zawsze?” I gość przybiegł ze swoim wózkiem, by wykupić resztę puszek. No to i ja wziąłem dwie. Spróbujcie, a zobaczycie, że od razu poczujecie się lepiej.

- Zauważcie, jak Barrows nas rozpracował - rzuciłem. - Najpierw nazwał homunkulusy automatami, potem sztuczką, a w końcu lalkami.

- To technika - powiedziała Pris. - Technika prowadzenia negocjacji. Usuwał nam stopniowo grunt pod nogami.

- Słowa - rzekł homunkulus - są orężem.

- Nie mogłeś mu czegoś powiedzieć? - spytałem go. - Jedyne twój wkład to ta debata, którą z nim odbyłeś.

Homunkulus pokręcił przecząco głową.

- Oczywiście, że nie mógł niczego zrobić - powiedziała Pris - ponieważ dyskutuje uczciwie, tak jak nas uczono w szkole. W ten właśnie sposób prowadzono debaty w połowie ubiegłego stulecia. Barrows używa argumentów poniżej pasa, ale brak widowni, która by go na tym przyłapała. Prawda, panie Lincoln?

Homunkulus nie odpowiedział, ale jego uśmiech wydał mi się jeszcze smutniejszy, a twarz bardziej wydłużona

i zatroskana.

- Sprawy wyglądają gorzej niż kiedykolwiek przedtem -

zauważył Maury.

Ale, pomyślałem, wciąż możemy coś zrobić.

- Z tego, co wiemy, Barrows może Stantona trzymać pod kluczem. Niewykluczone, że rozebrał go na części, a jego inżynierowie budują własnego homunkulusa, nieco zmieniając obwody, aby nie naruszać naszych praw patentowych. - Odwróciłem się w stronę Maur/ego. - Czy faktycznie dysponujemy prawami patentowymi?

- Wystąpiliśmy o nie - odrzekł Maury. - Wiesz, ile to

trwa. — Jego głos nie brzmiał zachęcająco. — Jestem pewny, że może nam ukraść to, co posiadamy, zwłaszcza teraz, kiedy poznał nasz pomysł. To jedna z tych rzeczy, którą, jeśli wiesz, że jest wykonalna, możesz zrobić sam, pod warunkiem, że masz dostatecznie dużo czasu.

- W porządku - powiedziałem. - A więc to tak, jak z silnikiem spalinowym. Ale mamy nad nim przewagę. Niech fabryka Rosena zacznie produkować je najszybciej, jak to tylko możliwe. Niech nasze homunkulusy znajdą się na rynku, zanim Barrows wypuści swoje.

Wszyscy patrzyli na mnie z szeroko otwartymi oczyma.

- Myślę, że jest coś w tym, co mówisz - stwierdził Maury, obgryzając kciuk. - Poza tym co innego możemy zrobić? Myślisz, że twój ojciec będzie gotów natychmiast uruchomić linię produkcyjną? Czy jest dość szybki, aby się przestawić?

- Jest szybki jak wicher - odparłem.

- Nie przesadzaj. Stary Jerome? - odezwała się drwiąco Pris. - Upłynie rok, zanim zrobi farbę do znakowania części, a obwody elektryczne trzeba zamówić w Japonii. Będzie musiał tam pojechać, aby wszystkiego dopilnować, i tak jak poprzednio popłynie statkiem.

- Ach tak - powiedziałem. - Widzę, że wszystko przemyślałaś.

- Pewnie - odparła szyderczo Pris. - Poważnie podeszłam do sprawy.

- Tak czy owak to nasza jedyna nadzieja - uciąłem. - Musimy to cholerstwo rzucić na rynek. Dość już zmarnowaliśmy czasu.

- Zgadza się - rzekł Maury. - Oto, co zrobimy: Jutro pojedziemy do Boise i polecimy staremu Jerome'owi i twemu zabawnemu braciszkiowi Chesterowi, żeby zabrali się do roboty. Przygotowali farbę i polecili do Japonii. Ale co zrobimy z Barrowsem?

- Powiemy mu, że Lincoln wysiadł - oświadczyłem. - Zepsuł się i wycofujemy go z

rynku. Wtedy przestanie mu na nim zależeć i wróci do Seattle.

Maury podszedł do mnie i zapytał cicho:

- Myślisz o zepsuciu wyłącznika? Wyłączeniu go? Skinąłem głową.

— Nienawidzę tego robić — powiedział Maury.

Spojrzelśmy obaj na Lincolna, który przyglądał się nam z melancholijnym wyrazem twarzy.

- Barrows będzie chciał się przekonać na własne oczy -zwróciła nam uwagę Pris. -
Pozwólmy mu go obejrzeć kilka razy, gdyby chciał. Niech trzęsie nim jak gumową lalką.
Wyłączony, homunkulus nie zrobi nic a nic.

- W porządku - zgodził się Maury.

- Dobrze - powiedziałem. - A więc postanowione.

Lincolna wyłączyliśmy bez chwili zwłoki. Zaraz po tym Maury stwierdził, że ma zamiar się przespać. Poszedł na dół, wsiadł do samochodu i pojechał do domu. Pris zaproponowała, że odwiezie mnie chevroletem do motelu, weźmie samochód i przyjedzie po mnie jutro rano. Byłem tak zmęczony, że przyjąłem jej ofertę.

Wioząc mnie opustoszałymi ulicami Ontario, zaczęła rozmowę:

— Zastanawiam się, czy wszyscy bogaci ludzie są tacy.

- Pewnie tak. W każdym razie ci, którzy sami doszli do pieniędzy, a nie odziedziczyli je po przodkach.

- To było okropne - powiedziała. - Wyłączenie Lincolna. Patrzenie, jak zamiera, jak gdybyśmy znów go zabijali. Nie uważasz?

- Tak.

Później, kiedy zajechaliśmy przed motel, gdzie mieszkałem, zapytała:

- Myślisz, że to jedyny sposób, aby dojść do wielkich pieniędzy? Być takim jak on?

Sam K. Barrows bez wątpienia zmienił ją. Zrobiła się z niej rzeczowa kobieta.

- Nie pytaj mnie - powiedziałem. - Wyciągam siedemset pięćdziesiąt dolarów na miesiąc, i to w najlepszym wypadku.

- Jednak należy mu się podziw.

- Wiedziałem, że prędzej czy później to powiesz. Gdy tylko powiedziałaś "jednak", wiedziałem już, co nastąpi.

Pris westchnęła.

- Czytasz więc we mnie jak w otwartej książce.

- Nie, jesteś największą zagadką, na jaką kiedykolwiek się natknąłem. Tylko w tym jedynym wypadku pomyślałem, że powiesz: „Jednak należy mu się podziw”, i właśnie to

powiedziałaś.

- Założę się też, że jesteś przekonany, iż stopniowo wrócę do stanu, kiedy nie było żadnego "jednak" i że po prostu go podziwiałam.

Nic nie powiedziałem, ale miała rację.

- Czy zauważyłaś - ciągnęła - że byłam w stanie znieść wyłączenie Lincolna? Jeśli potrafiłam to wytrzymać, mogę wytrzymać wszystko. Sprawilo mi to nawet radość, choć oczywiście nie pokazałam tego po sobie.

- Kłamiesz jak z nut.

- Doznałam bardzo przyjemnego poczucia władzy, nieograniczonej władzy.

Ofiarowaliśmy mu życie, a później mu je zabraliśmy. Ot tak! Po prostu. Ale moralne brzemie obciąża nie nas; obciąża Sama K Barrowsa, chociaż on nie miałby z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia, a przeciwnie, potrafiłby czerpać z tego wielkie korzyści. Spójrz na tę siłę, Louis. W rzeczywistości chcielibyśmy być tacy sami. Nie żałuję, że wyłączyłam Lincolna. Żałuję swojego emocjonalnego niepokoju. Brzydzę się sobą za to. Nic dziwnego, że wraz z wami jestem na dole, a Sam Barrows jest na samym szczycie. Potrafisz chyba dostrzec różnicę między nim a nami; to takie oczywiste.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, zajęta zapalaniem papierosa.

- A co powiesz o seksie? - odezwała się wreszcie.

- Seks jest jeszcze gorszy od wyłączania miłych homunkulusów.

- Chodzi mi o to, że seks, doświadczenie stosunku płciowego, zmienia cię.

Krew mi zastygła w żyłach, gdy to usłyszałem.

- O co chodzi? - zapytała.

- Budzisz we mnie strach.

- Dlaczego?

- Mówisz, jak gdyby... Dokończyła za mnie:

- Jak gdybym była gdzieś ponad i patrzyła z góry na własne ciało. To prawda. Ono to nie ja; ja jestem duszą.

- Jak mówi Blunk: „Udowodnij to”.

- Nie potrafię, Louis, ale to niczego nie zmienia. Nie jestem fizycznym ciałem istniejącym w czasie i przestrzeni. Platon miał rację. \

— A co z nami, zwykłymi śmiertelnikami?

— To wasz kłopot. Postrzegam was jako ciała, więc może tacy jesteście. Może to wszystko, czym jesteście. Nie sądzisz? Jeśli tego nie wiesz, ja ci nie powiem. - Zgasila papierosa. - Lepiej pojedę do domu, Louis.

- W porządku - zgodziłem się, otwierając drzwiczki samochodu. We wszystkich pokojach motelu było ciemno. Nawet wielki neon został zgaszony na noc. Starsze małżeństwo, które prowadziło motel, bez wątpienia smacznie już spało otulone pościelą.

- Louis - powiedziała Pris - mam w torebce diafragmę.

- Tę, którą wkładasz sobie do środka, czy tę z klatki piersiowej, która umożliwia ci oddychanie?

- Nie kpij. Dla mnie to poważna sprawa, Louis. To znaczy seks.

- W takim razie ofiaruj mi trochę radosnego seksu - zaproponowałem.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic. Zupełnie nic. - Zacząłem zamykać za sobą drzwiczki samochodu.

- Mam zamiar powiedzieć coś, co cię wzruszy - oznajmiła, opuszczając szybę od mojej strony.

1 - Nie, niczego takiego nie powiesz, ponieważ ja nie mam zamiaru tego słuchać. Nienawidzę wzruszających wyznań wygłaszanych przez śmiertelnie poważnych ludzi. Lepiej pozostań daleką duszą, która szydzi z cierpiących zwierząt. Przynajmniej... - Zawahałem się. Ale co tam, do diabła. -Przynajmniej mogę się ciebie bać i nienawidzić z czystym sumieniem.

- Jakbyś się czuł, gdybyś wysłuchał wzruszającego wyznania?

- Zaraz jutro z rana umówiłbym się na wizytę w szpitalu i dał się wykastrować, czy jak to się tam teraz nazywa.

- Chcesz powiedzieć - mówiła powoli - że jestem pociągająca seksualnie, kiedy jestem okrutną psychopatką, natomiast kiedy staję się sentymentalna, to wtedy nie jestem nawet pociągająca.

- Nie używaj słowa „nawet”. To piekielnie za mocne.

- Zaproś mnie do swego pokoju - rzekła Pris - i przerznij mnie.

- Nie wiem dlaczego, ale jest w twoim języku coś, czego nie mogę tknąć, co jakoś pozostawia wiele do życzenia.

— Jesteś po prostu prawiczkim.

-Nie.

-Tak.

- Nie, i nie mam zamiaru tego udowadniać czynem. Naprawdę nie jestem prawiczkim. W swoim czasie spałem z kobietami różnego pokroju. Mówię prawdę. Nie ma w seksie takiej rzeczy, która mogłaby mnie wystraszyć. Jestem na to za stary. Ty zaś mówisz o nastolatku, o jego pierwszej paczce prezerwatyw.

- Nie przerzniesz mnie jednak.

- Nie - powiedziałem - ponieważ jesteś nie tylko obojętna, ale i brutalna. I nie tylko wobec mnie, ale wobec siebie, wobec własnego ciała, którym gardzisz i które, jak twierdzisz, nie jest tobą. Czy pamiętasz dyskusję między Lincolnem, znaczy się homunkulusem, a Barrowsem i Blunkiem? Zwierzęciu niewiele brakuje do stania się człowiekiem, bo i jedno, i drugie jest istotą z krwi i kości. Tego właśnie próbujesz się wyprzeć.

- Nie próbuję. Jestem inna.

- Czym w takim razie jesteś? Maszyną?

- Maszyna ma w środku druty, a ja nie.

- W takim razie czym? - pytałem. - Czym myślisz, że jesteś?

- Wiem, kim jestem - rzekła Pris. - Schizofrenia jest bardzo rozpowszechniona w naszym stuleciu, tak jak histeria w wieku dziewiętnastym. Schizofrenia jest formą głębokiej, postępującej, subtelnej alienacji psychicznej. Chciałabym nie być schizofreniczką, ale jestem... Szczęściarzem z ciebie, Louisie Rosen, jesteś taki staromodny. Zamieniłabym się z tobą. Martwi mnie, że mój język w sprawach seksu jest taki toporny. Odstraszył cię. Bardzo mi przykro z tego powodu.

- Nie toporny, gorzej, odczłowieczony. Ty... ja wiem, co by było, gdybyś miała, gdybyś mogła mieć stosunek płciowy z mężczyzną. - Poczulem się zagubiony i zmęczony. - Przez cały cholerny czas byś obserwowała: umysłem, duchem, jak się tylko da. Zawsze czujna, oto twoja dewiza.

- Czy to źle? Myślałam, że każdy tak robi.

- Dobranoc. - Zacząłem odchodzić od samochodu.

- Dobranoc, tchórze.

- Pierdol się - rzuciłem.

- Och, Louis - wyszeptała z udręką w głosie.

- Przepraszam. Pociągając nosem, rzekła:

— To okropne, co powiedziałeś.

- Na Boga, przepraszam - powtórzyłem. - Musisz mi przebaczyć. Czuję się obrzydliwie, że to powiedziałem. Coś jakby ciągnęło mnie za język.

Wciąż pociągając nosem, skinęła głową w milczeniu. Uruchomiła silnik i zapaliła światła.

- Nie odjeżdżaj - powiedziałem. - Posłuchaj, możesz to zapisać na konto obłąkanej, irracjonalnej próby dotarcia do ciebie. Nie widzisz tego? Całe twoje gadanie, twój stale rosnący podziw dla Sama Barrowsa doprowadza mnie do szału. Bardzo cię lubię. Naprawdę. Patrzeć, jak na minutę ukazujesz bardziej ludzkie oblicze, by po chwili znów powrócić do...

— Dziękuję — szepnęła — za próbę pocieszenia. — Posłała mi nikły uśmiech.

— Nie pozwól, by cię to gnębiło — powiedziałem, czepiając się drzwiczek samochodu, przestraszony, że mogłaby odjechać.

- Nie będzie. Tak naprawdę, to ledwo mnie to dotknęło.

- Chodź ze mną. Posiedzisz przez chwilę. Dobrze? - zaproponowałem.

— Nie. Nie martw się. Wszystko przez ten stres, w którym ostatnio żyjemy. Wiem, że cię to przygnębia. Powodem, dla którego użyłam takich topornych słów, jest to, że po prostu nie znam lepszych. Nikt mnie nie nauczył, jak rozmawiać

. o czymś, czego nie sposób wyrazić słowami.

- To wymaga praktyki. Ale posłuchaj, Pris. Obiecuj mi, że nie będziesz sobie wmawiała, iż cię nie zraniłem. To dobrze, jeśli potrafisz czuć to, co teraz odczuwasz, dobrze...

- Dobrze być zranioną?

- Nie, nie to chciałem powiedzieć. Chodzi mi o to, że to zachęcający objaw. Nie próbuję zatuszować swojego błędu. Słuchaj, Pris, fakt, że tak mocno cierpiałaś z powodu tego, co zrobiłem...

- Diabła tam cierpiałam.

- Cierpiałaś - upierałem się. - Nie kłam.

- W porządku, Louis. Cierpiałam. Nie będę kłamać. -Zwiesiła głowę.

Otwarłem drzwiczki samochodu.

- Chodź ze mną, Pris.

Wyłączyła silnik, zgasiła światła i wysiadła z auta. Objąłem ją ramieniem.

- Czy to pierwszy krok ku bliższej zażyłości? - zapytała.

— Zapoznaję cię z tym, czego nie sposób wyrazić słowami.

- Wystarczy mi, że będę potrafiła o tym rozmawiać, nie chcę się do niczego zmuszać.

Ty oczywiście żartujesz; po prostu posiedzimy obok siebie, a potem pojedę do domu. Tak będzie najlepiej dla nas obojga; w istocie to jedyny kurs, jaki możemy obrać.

Weszliśmy do małego, pograżonego w ciemnościach pokoju. Włączyłem po kolei światła, ogrzewanie i telewizor.

- Czy to po to, aby nie było słyhać, jak dyszymy? - Zgasiła telewizor. - Ja dyszę bardzo cicho. To naprawdę nie jest konieczne. - Zdjęła płaszcz i zaczęła, aż odbiorę go od niej i powieszę w szafie. - Powiedz mi teraz, gdzie i jak mam usiąść. Na tym? - Usiadła na krześle, położyła ręce na kolanach i zmierzyła mnie poważnym spojrzeniem. -Czy tak dobrze? Co jeszcze powinnam zdjąć? Buty? Wszystko? A może sam chciałbyś mnie

rozebrać? Jeśli tak, to moja spódnica zapina się na guziki, a nie na zamek. Bądź jednak ostrożny i nie szarp ich za mocno, gdyż ten górny urwie się i będę musiała go przyszywać. — Obróciła się, aby pokazać mi bok spódnicy. - Tu są guziki, po tej stronie.

- Wszystko to ma pewien walor edukacyjny - powiedziałem - ale w sumie jest niezbyt kształcące.

- Wiesz, na co mam ochotę? - Oczywiście jej zabłyśły. - Chcę, żebyś gdzieś pojechał i przywiózł koszernej konserwowanej wołowiny, żydowskiego chleba i trochę chałwy na deser. Tej wspaniałej, cienko krojonej wołowiny po dwa dolary pięćdziesiąt za funt.

- Chciałbym, ale nie dostanę jej nigdzie w promieniu stu mil.

- Nie mają jej w Boise?

— Nie. — Powiesiłem swój płaszcz w szafie. — Poza tym jest za późno na wołowinę. Nie chodzi tu o porę dnia, ale o to, że za późno w naszym życiu. - Usiadłem naprzeciw niej, przysunąłem bliżej krzesło i ująłem jej dłonie. Były wysuszone, małe i całkiem twarde. Od cięcia kafelków wyrobiła sobie muskularne ramiona i silne palce. - Ucieknijmy stąd.

Jedźmy na południe i nigdy nie wracajmy do homunkulusów, Sama Barrowsa czy Ontario w Oregonie.

- Nie - powiedziała. - Jesteśmy skazani na Sama. Nie czujesz tego wokół siebie, w powietrzu? Dziwi mnie, że sobie wyobrażasz, iż można wskoczyć w samochód i tak sobie odjechać. Nie da się od tego uciec.

- Przebacz mi - poprosiłem.

- Przebaczam ci, ale nie potrafię cię zrozumieć. Czasem zachowujesz się jak dziecko, które nie zaznało jeszcze życia.

— Po prostu wyciąłem sobie mały kawałek rzeczywistości i dobrze go poznałem, trochę jak ta owca, która wydeptała jedną drogę przez pastwisko i nigdy z niej nie zbacza.

- Czy dzięki temu czujesz się bezpieczny?

- Zazwyczaj czuję się bezpiecznie, ale nigdy w twoim towarzystwie.

Skinęła głową.

- Jestem więc dla ciebie pastwiskiem.

— Na to wychodzi.

Z nagłym śmiechem powiedziała:

- Zupełnie jakbyśmy uprawiali miłość po szekspirowsku. Chcesz powiedzieć, Louis, że będziesz hasał, buszował, pasł się między moimi ponętymi wzgórkami i dolinami, a w szczególności na mojej boskiej łączce, tam gdzie, wiesz, bujnie pienią się pachnące dzikie trawy i paprocie. Nie muszę chyba tego mówić wprost? - Oczywiście jej zabłyśły. - A teraz, na

Boga, zdejmij ze mnie ubranie lub choćby spróbuj to zrobić. -Zaczęła ściągać buty.

- Nie - zaprotestowałem.

- Czyż nie przeszliśmy już dawno przez grę wstępną? Nie możemy sobie reszty odpuścić i zabrać się do rzeczy? -Zaczęła rozpinąć pasek spódnicy, ale złapałem ją za rękę i powstrzymałem.

- Jestem zbyt głupi, Pris, by to dalej ciągnąć. Po prostu nie wiem. Jestem zbyt głupi, zbyt niezdarny i zbyt tchórzliwy. Sprawy już dawno przekroczyły moją ograniczoną zdolność pojmowania. Zagubiłem się w świecie, którego nie rozumiem. - Przytrzymałem mocno jej rękę. - Najlepsze, co przychodzi mi na myśl, najlepsze, co mógłbym teraz zrobić, to pocałować cię. Może w policzek, jeśli się zgadzasz.

- Jesteś stary - powiedziała Pris. - To wszystko. Jesteś częścią umierającego świata. - Odwróciła głowę i pochyliła

ją w moim kierunku. - Wyświadczę ci tę przysługę i dam się pocałować.

Pocałowałem ją w policzek.

- Jeśli chcesz znać fakty - ciągnęła - to pachnące dzikie trawy i paprocie nie pienią się bujnie. Są tylko dwie dzikie paprotki i jakieś cztery kępki traw, to wszystko. Jestem ledwie dojrzała. Dopiero rok temu, Louis, zaczęłam nosić stanik i czasem jeszcze o nim zapominam. Właściwie to go nie potrzebuję.

- Czy mogę cię pocałować w usta?

- Nie - odparła. - To zbyt intymne. — Możesz zamknąć oczy.

- Zamiast tego zgaś lepiej światło. - Zabrała rękę, wstała i podeszła do wyłącznika na ścianie. — Ja to zrobię.

- Stop - powiedziałem. - Mam nieodparte uczucie, że wkraczamy na teren zakazany. Zawahała się przy wyłączniku.

- Takie niezdecydowanie nie jest w moim stylu. Zbijasz mnie z tropu, Louis.

Przepraszam cię, ale muszę brnąć dalej. - Zgasła światło i pokój pogrążył się w ciemnościach. Nic a nic nie widziałem.

- Pris - odezwałem się - pojedę do Portland w Oregonie i kupię tę koszeroną konserwowaną wołowinę.

- Gdzie mogę położyć spódnice? - usłyszałem dobiegający z ciemności głos Pris. - Nie chcę, aby się pogniotła.

- To jakiś koszmarny sen.

- Nie - zaprzeczyła - to rozkosz. Czy nie potrafisz rozpoznać rozkoszy, gdy wpada na ciebie i wali cię obuchem w głowę? Pomóż mi powiesić ubranie. Za piętnaście minut muszę

iść. Czy potrafisz jednocześnie rozmawiać i kochać się, czy też może cofnąłeś się do poziomu pochrząkującego zwierzęcia? - Słyszałem, jak krząta się w ciemnościach, układając ubranie i szukając po omacku łóżka.

- Tu nie ma łóżka - powiedziałem.

- No to na podłodze.

- Podrapiesz sobie kolana.

- Nie ja, ty.

- Mam fobię - ciągnąłem. - Muszę mieć zapalone światło, bo inaczej będę się bał, że odbywam stosunek z przedmiotem zrobionym ze strun od fortepianu i starego pomarańczowego kiltu mojej babki.

Pris roześmiała się.

- To ja - odezwała się z bliskiej odległości. - To idealny opis mej natury. Prawie cię dopadłam. - Usłyszałem, jak o coś uderzyła. - Nie uciekniesz.

- Daj spokój. Włączam światło. - Udało mi się znaleźć wyłącznik. Nacisnąłem przycisk i pokój gwałtownie wrócił do istnienia, oślepiając mnie. Ujrzałem kompletnie ubraną dziewczynę. Nie zdjęła ani jednej sztuki odzieży. Spoglądałem na nią ze zdumieniem, podczas gdy ona zaśmiewała się cichutko na widok wyrazu mojej twarzy.

- Wszystko jest złudzeniem - rzekła. - Miałam zamiar się wycofać w ostatniej chwili. Chciałam cię tylko doprowadzić do szczytu seksualnego pożądania, a potem... - Pstryknęła palcami. - Dooobraaanoc.

Próbowałem się uśmiechnąć.

- Nie traktuj mnie zbyt poważnie - powiedziała. - Nie angażuj się emocjonalnie w związek ze mną. Złamię ci serce.

- Kto się angażuje? - zapytałem, czując, że głos więźnie mi w gardle. - To tylko taka gra, w którą ludzie zabawiają się w ciemnościach. Baba z wozu, koniom lżej, jak mówią.

- Nie znam tego powiedzenia. - Już się nie śmiała. Oczy jej przygasły. Patrzyła na mnie zimno. - Ale chwytam jego sens.

- Powiem ci coś jeszcze. Przygotuj się. W Boise można dostać koszerną wołowinę konserwową. W każdej chwili bez trudu mogłem ją zdobyć.

- Ty sukinsynu - rzuciła. Usiadła, wzięła buty i założyła je na nogi.

- Piach sypie się pod drzwi.

- Co? - Rozejrzała się dookoła. - O czym ty mówisz?

- Jesteśmy uwięzieni. Ktoś usypał nad nami górę piachu. Nigdy się stąd nie wydostaniemy.

- Przestań - powiedziała ostro.

- Nie powinnaś była mi się zwierzać.

- Owszem, używasz tego przeciwko mnie, aby mnie dręczyć. - Podeszła do szafy, aby wziąć płaszcz.

- A ja? Czy ja nie byłem dręczony? - zapytałem, podążając za nią.

- Chodzi ci o to przed chwilą? Do diaska, nie musiałam uciekać; mogłam zostać.

- Gdybym się właściwie zachował.

- Niczego wcześniej nie postanowiłam. Wszystko zależało od ciebie, od twych możliwości. Przyznaję, że wymagam bardzo wiele. Jestem idealistką. - Znalazła płaszcz i zaczęła go wkładać. Stałem przy niej zamyślony.

- Zakładamy ubranie - powiedziałem - nie zdjawszy go.

- Teraz żałujesz - stwierdziła Pris. - Żale, oto w czym jesteś dobry. - Posłała mi tak nienawistne spojrzenie, że aż się skurczyłem.

- Mógłbym i o tobie powiedzieć parę przykrych słów.

- Ale nie powiesz, ponieważ wiesz, że gdybyś to zrobił, taką byś usłyszał ripostę, iż padłbyś trupem na miejscu.

Wzruszyłem ramionami, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

- To był strach - rzekła Pris. Ruszyła wolno ścieżką w kierunku zaparkowanego samochodu.

- Strach, zgoda - powiedziałem, idąc obok niej. - Strach oparty na wiedzy, że do tego musi dojść w wyniku wzajemnego zrozumienia i zgody dwojga ludzi. Jedna strona nie może jej wymuszać na drugiej.

- Masz na myśli strach przed więzieniem. - Otworzyła drzwi do samochodu i usiadła za kierownicą. — To, co powinienesz zrobić, co zrobiłby każdy prawdziwy mężczyzna na twoim miejscu, to złapać mnie za rękę i zaciągnąć do łóżka, nie zważając na to, co mówię...

- Gdybym to zrobił, nigdy nie przestałabyś się skarżyć, najpierw mnie, potem Maury'emu, adwokatowi, policji, a w końcu sądom jak świat długi i szeroki.

Wreszcie oboje umilkliśmy.

- Tak czy owak - odezwałem się w końcu - pocałowałem cię.

- Tylko w policzek.

- W usta - poprawiłem ją.

- To kłamstwo.

- Zapamiętałem to jako pocałunek w usta - powiedziałem i zamknąłem za nią drzwi od samochodu.

Opuściła szybę.

- A więc tak będzie brzmieć twoja wersja: że pozwoliłeś sobie na swawole ze mną.

- Będę ją pamiętał i strzegł jak skarbu - powiedziałem. -Tu, w sercu. - Przyłożyłem rękę do piersi.

Pris zapuściła silnik, zapaliła światła i odjechała.

Chwilę postąłem, a potem ruszyłem ścieżką do swojego pokoju. Pękamy, powiedziałem do siebie. Jesteśmy tak zmęczeni, tak zdemoralizowani, że znaleźliśmy się u kresu sił. Jutro musimy się pozbyć Barrowsa. Pris, biedna Pris, najgorzej to znosi. To wyłączenie Lincolna tak na nią podziałało. To był punkt zwrotny.

Z rękami w kieszeniach powlokłem się w kierunku otwartych drzwi.

Nazajutrz ciepły poranek sprawił, że jeszcze przed wstaniem z łóżka poczułem się o niebo lepiej. A potem - gdy się ogoliłem, zjadłem w hotelowym barze na śniadanie omlet i bekon, wypilem kawę i sok pomarańczowy oraz przeczytałem gazetę - poczułem się jak nowo narodzony. Naprawdę ozdrowiałem.

Oto, co może zdziałać dobre śniadanie, pomyślałem. Czyżbym został wyleczony? Czyżbym z powrotem poskładał się do kupy, z powrotem stał się pełnowartościowym człowiekiem?

Nie, czujemy się lepiej, ale nie jesteśmy wyleczeni. Przede wszystkim dlatego, że wcześniej nie byliśmy zdrowi, a nie można wrócić do zdrowia, jeśli się nie było zdrowym. Co to za choroba? Zaprowadziła Pris prawie na skraj śmierci. Dotknęła również mnie, weszła we mnie i tam się ulokowała. Dopadła też Maury'ego, Barrowsa, a po nim całą resztę, łącznie z moim ojcem, choć ojca opanowała w stopniu minimalnym.

Ojciec! Zapomniałem, że przyjeżdża.

Szybko wyszedłem z pokoju i skinąłem na taksówkę.

Do biura spółki WAZA dotarłem pierwszy. Chwilę potem dojrzałem przez okno, jak parkuje mój Chevrolet magic fire. Wsiadła z niego Pris. Dziś miała na sobie bawełnianą niebieską suknię i sweter z długimi rękawami. Włosy zaczesła do tyłu, twarz wyszorowała i nakremowała.

Wchodząc do biura, posłała mi uśmiech.

- Przykro mi, że wczoraj użyłam niewłaściwych słów. Może następnym razem. Nic się nie stało.

- Nic się nie stało - potwierdziłem.

- Naprawdę tak myślisz, Louis?

- Nie - powiedziałem, odwzajemniając uśmiech. Otworzyły się drzwi i do środka

wkroczył Maury.

- Ale dobrze się wyspałem. Na Boga, oskubiemy, bracie, tego nicponia Barrowsa do ostatniego centa.

Za nim do biura wszedł mój ojciec, ubrany w swój ciemny prążkowany garnitur przypominający mundur konduktora. Uroczyście przywitał się z Pris, a potem odwrócił się do mnie i Maury'ego.

- Przyszedł już?

- Jeszcze nie, tato - odparłem. - Spodziewamy się go w każdej chwili.

- Uważam, że powinniśmy z powrotem uruchomić Lincolna - odezwała się Pris. -

Myślę, że nie musimy się obawiać Barrowsa.

- Zgadzam się - powiedziałem.

- Nie - zaprotestował Maury. - Powiem wam, dlaczego. To zaostry apetyt Barrowsa.

Nie sądzicie? Przemyślcie to.

- Maury ma rację - odezwałem się po chwili. - Zostawmy go tak, jak jest. Niech go sobie Barrows kopie i okłada pięściami, ale nie włączajmy go. Postępowaniem Barrowsa kieruje chciwość.

Nami za to kieruje strach, pomyślałem. Większość z tego, co ostatnio zrobiliśmy, była podyktowana strachem, a nie zdrowym rozsądkiem... Od drzwi dobiegło nas pukanie.

- To on - powiedział Maury i mrugnął do mnie. Drzwi się otworzyły. W progu stali Sam K. Barrows,

David Blunk oraz pani Nild, a obok nich ciemna i posępna postać Edwina M. Stantona.

- Spotkaliśmy się na ulicy - rzekł Blunk, wybuchając śmiechem. - Szedł ulicą, więc podwieźliśmy go naszą taksówką.

Homunkulus przyglądał się nam z kwaśną miną.

Dobry Boże, pomyślałem. Tego nie przewidzieliśmy... Czy to jakaś różnica? Czy zaszkodziłoby sobie, a jeśli tak, to jak bardzo?

Nie wiedziałem. Tak czy inaczej, musieliśmy brnąć dalej, tym razem do ostatecznego rozstrzygnięcia. Wóz albo przewóz.

Rozdział jedenasty

- Zaparkowaliśmy kilka kroków stąd i ucieliśmy sobie ze Stantonem pogawędkę - przyjaźnie oznajmił Barrows. - Zdaje mi się, że osiągnęliśmy pewien rodzaj porozumienia.

- Ach tak? - zdziwiłem się. Stojący za mną Maury przyjął zacięty, twardy wyraz twarzy.

Ojciec wyciągnął rękę i przedstawił się:

— Jerome Rosen, właściciel fabryki klawikordów i organów elektronicznych Rosena w Boise, Idaho. Czy mam przyjemność z panem Samuelem Barrowsem?

A więc każda strona przygotowała dla drugiej niespodziankę, pomyślałem sobie. Tobie udało się w nocy jakimś sposobem dopaść Stantoną, a nam z kolei — choć trudno było to uznać za równie wielkie osiągnięcie - sprowadzić mojego ojca.

Ten Stanton. Jak podawała Encyklopedia Britannica, dla osiągnięcia osobistych korzyści gotów był się dogadać z wrogami. Skunks! Nagle naszła mnie myśl: prawdopodobnie przez cały czas był z Barrowsem w Seattle. Wcale nie poszedł szukać biura na kancelarię adwokacką ani zwiedzać miasta. Bez wątpienia od początku omawiali warunki umowy.

Zostaliśmy sprzedani... przez naszego pierwszego homunkulusa.

Był to złowieszczy omen.

Lincoln w żadnym razie by tak nie postąpił. Uzmysłowiwszy to sobie, poczułem się o niebo lepiej.

Trzeba sprowadzić Lincolna, pomyślałem. Głośno zaś powiedziałem do Maury'ego:

- Poproś Lincolna, aby tu przyszedł, dobrze? Maury uniósł brwi ze zdziwienia.

- Jest nam potrzebny - wyjaśniłem.

- Słusznie - zgodziła się Pris.

- W porządku. - Maury skinął głową i wyszedł. Rozpoczęliśmy. Ale co rozpoczęliśmy?

Głos zabrał Barrows:

- Podczas pierwszego spotkania ze Stantonem traktowaliśmy go jak mechaniczne urządzenie, ale później pan Blunk przypomniał nam, że twierdził pan, iż to żywa istota. Ciekawi mnie, w jaki sposób płaci pan Stantonowi.

Płaci, pomyślałem w popłochu.

- Istnieje prawo nakazujące wypłacanie wynagrodzenia za pracę - oświadczył Blunk.

Popatrzyłem na niego z rozdziawionymi ustami.

— Czy zawarliście ze Stantonem umowę o pracę? — ciągnął Blunk. - A jeśli tak, to mam nadzieję, że jest zgodna z ustawą o wynagrodzeniu minimalnym. Nawiasem mówiąc, omawialiśmy ten problem ze Stantonem i on nie przypomina sobie, żeby podpisywał jakąś umowę. Zatem nie widzę przeszkód, aby zatrudnił go pan Barrows z pensją sześciu dolarów za godzinę. To z pewnością godziwa płaca, zgodzicie się chyba ze mną? Na tych warunkach pan Stanton zgodził się wrócić razem z nami do Seattle.

Zachowaliśmy milczenie.

Otworzyły się drzwi i do środka wkroczył Maury. Za nim, powłócząc nogami, wszedł wysoki, przygarbiony, brodaty Homunkulus Lincoln.

- Uważam, że powinniśmy przyjąć jego ofertę - oznajmiła Pris.

- Jaką ofertę? - zapytał Maury. - Nie słyszałem żadnej oferty. - Zwracając się do mnie, powiedział: - Czy ty słyszałeś o jakiejś ofercie?

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Pris — pytał wciąż Maury — czy rozmawiałaś wcześniej z Barrowsem?

- Oto moja oferta - oznajmił Barrows. - Szacujemy wartość spółki WAZA na siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Jestem gotowy dać...

— Czy wy dwoje rozmawialiście wcześniej? — przerwał Maury.

Ani Pris, ani Barrows nie odpowiedzieli. Ale było to dla mnie oczywiste, oczywiste dla Maury'ego, oczywiste dla każdego z nas.

- Jestem gotowy dać sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów -kontynuował Barrows - ale naturalnie będę miał pakiet kontrolny.

Maury przecząco potrząsnął głową.

- Czy możemy to przedyskutować we własnym gronie? -spytała Pris Barrowsa.

- Oczywiście - odpowiedział.

Wycofaliśmy się do małego magazynu po drugiej stronie korytarza.

- Jesteśmy zgubieni - zakrakał Maury z poszarzałą twarzą. - Zrujnowani.

Pris nie powiedziała ani słowa, ale twarz miała zaciętą.

Po dłuższej chwili milczenia głos zabrał mój ojciec.

— Unikajcie tego Barrowsa. Nie bądźcie częścią korporacji, nad którą on sprawuje kontrolę. Dobrze wam radzę.

Odwrociłem się do Lincolna. Stał spokojnie, słuchając tego, co mówimy.

- Jest pan adwokatem. Na Boga, niech pan nam pomoże.

- Pan Barrows, Louis, i jego ziomkowie negocjują z pozycji siły — powiedział

Lincoln. — Za jego czynami nie kryje się żadne oszustwo... jest po prostu silniejszą stroną. - Homunkulus zamyślił się, następnie odwrócił i podszedł do okna, by wyrzec na ulicę. Nagle znów zwrócił się w naszą stronę. Wykrzywił mięsiste wargi i przemówił z bólem w głosie, lecz z błyskiem w oku: - Pan Barrows jest biznesmenem, ale wy także. Sprzedajcie spółkę WAZA, waszą małą firmę, obecnemu tu panu Rosenowi za jednego dolara. W ten sposób stanie się ona własnością fabryki klawi-kordów i organów Rosena, która ma wielkie aktywa. Aby kupić spółkę, Sam Barrows będzie musiał nabyć całe przedsiębiorstwo, łącznie z fabryką, a na to nie jest przygotowany. A co do Stanton, powiem wam rzecz następującą: Stanton nie będzie dłużej z nimi współpracował. Porozmawiam z nim i przekonam go, żeby wrócił. Stanton jest gwałtownym, ale w istocie dobrym człowiekiem. Znam go od wielu lat. Był w administracji Buchanana i wbrew silnym protestom zdecydowałem się go zatrzymać, pomimo różnych jego machinacji. Choć wybuchowy i dbający głównie

o swoją pozycję, jest człowiekiem uczciwym. Nie będzie chciał, w ostatecznym rachunku, zadawać się z łotrami.

On wcale nie chce otworzyć kancelarii i powrócić do praktyki adwokackiej. Chce posady, która da mu władzę, i na

takim stanowisku będzie osobą odpowiedzialną. Czyni to z niego idealnego urzędnika państwowego. Powiem mu, że chcecie go zrobić prezesem zarządu i wtedy zgodzi się pozostać z wami.

- Nigdy by mi to nie przyszło do głowy - powiedział cicho Maury.

- Nie zgadzam się - zaprotestowała Pris. - Nie należy przekazywać spółki WAZA rodzinie Rosenów. To wykluczone. A co do Stanton, to nie kupi on takiej oferty.

- Kupi - rzekł Maury. Ojciec kiwnął głową; ja także. -Zrobimy go wielką szychą w naszej organizacji. Czemu nie? Ma talent. Dobry Boże, kto wie, może przez rok wkręci nas w interes wart milion dolarów.

- Nie pożałujecie, pokładając zaufanie w Stantonie i powierzając mu waszą firmę — odezwał się łagodnie Lincoln.

Gęsiego pomaszzerowaliśmy z powrotem do biura. Barrows i jego ludzie oczekiwali nas z nadzieją.

- Oto, co mamy do powiedzenia - rzekł Maury i odchrząknął. - A więc tak, sprzedaliśmy spółkę WAZA panu Jerome'owi Rosenowi. - Wskazał na mojego ojca. - Za jednego dolara.

Barrows zamrugnął oczami.

- Naprawdę? Interesujące. - Spojrzał na Blunka, który uniósł ręce w smętnym geście

rezygnacji.

- Edwin, pan Rock i dwaj panowie Rosenowie chcą, abyś przeszedł do ich nowo utworzonej korporacji jako prezes zarządu — powiedział Lincoln do Stanton.

Zgorzkniałe i twarde rysy Stanton złagodniały. Jego twarz ulegała zmianie pod wpływem emocji.

- Czy naprawdę tak to wygląda? - zapytał, spoglądając na naszą grupkę.

- Tak, drogi panie - potwierdził Maury. - To solidna oferta. Chcemy zrobić właściwy użytek z człowieka z pańskimi zdolnościami. Zamierzamy ustąpić panu pola.

— To prawda — przyznałem.

Ojciec rzekł:

- Ja się zgadzam, panie Stanton, i mogę także mówić w imieniu mojego syna Chestera.

Maury zasiadł przy starej maszynie do pisania firmy Underwood, wkręcił kartkę papieru i zaczął pisać.

- Sporządzimy umowę na piśmie, którą od razu podpiszemy, i będziemy mieli sprawę z głowy.

- Uważam to za nikczemną zdradę - oznajmiła chłodno i spokojnie Pris - nie tylko pana Barrowsa, ale także wszystkiego, o co walczyliśmy.

Gapiąc się na nią, Maury powiedział drżącym głosem:

- Zamknij się.

- Nie zgadzam się, bo uważam to za złe rozwiązanie -dodała Pris.

Doskonale panowała nad swoim głosem. Równie dobrze mogła przez telefon zamawiać ubrania w sklepie Macy'ego.

- Panie Barrows i panie Blunk, jeśli chcecie, abym do was przystała, to jestem do waszej dyspozycji.

Wszyscy — łącznie z Barrowsem i Blunkiem - nie mogliśmy uwierzyć własnym uszom. Barrows jednak szybko odzyskał równowagę.

- Ach, to zdaje się pani pomogła zbudować oba homunkulusy. Mogłaby więc pani zbudować następne, prawda? -Zerknął na nią.

- Nie, nie mogłaby - zaprzeczył Maury. - Jedyne, co zrobiła, to uformowała twarz. Cóż ona wie o układach elektronicznych? Nic! - Nie odrywał wzroku od córki.

— Bob Bundy pójdzie ze mną — powiedziała Pris.

- Dlaczego? - zapytałem. Głos mi się załamał. - On też? Ty i Bundy byliście... - Nie mogłem dokończyć zdania.

— Bob podkochuje się we mnie — wyjaśniła cicho. Barrows sięgnął do kieszeni

płaszczka i wyjął zwitek banknotów.

- Dam pani pieniądze na samolot - oznajmił. - Może pani do nas przylecieć. Nie będzie żadnych prawnych komplikacji... będziemy podróżować oddzielnie.

- Bardzo dobrze - rzekła Pris. - Za parę dni będę w Seattle. Ale proszę zatrzymać pieniądze. Mam własne.

Barrows skinął na Dave'a Blunka.

- Zakończyliśmy tutaj nasze sprawy. Równie dobrze możemy się szykować do powrotu - powiedział i zwrócił się do

Stantona. — Zostawiamy pana tutaj, Stanton. Czy taka jest pańska decyzja?

- Tak, proszę pana - zazgrzytał w odpowiedzi homunkulus.

- Do widzenia - pożegnał się z nami, a Blunk skłonił się kordialnie. Pani Nild podążyła za Barrowsem i po chwili już ich nie było.

- Pris - odezwałem się. - Jesteś nienormalna.

- To sąd wartościujący - powiedziała nieobecny głosem.

- Czy mówiłaś poważnie? - zapytał ją Maury. Twarz mu poszarzała. - O odejściu do Barrowsa? O locie do Seattle, by się do niego przyłączyć?

-Tak.

— Wezwę policję i powstrzymam cię! — krzyknął Maury. — Jesteś niepełnoletnia. Jesteś tylko dzieckiem. Poinformuję o wszystkim ludzi od zdrowia psychicznego. Sprawię, że z powrotem wylądujesz w Klinice Kasanina.

- Nie, nie zrobisz tego - powiedziała Pris. - Zrobię to, co postanowiłam. Nie przeszkodzisz mi, a organizacja Barrowsa mi pomoże. Faceci od zdrowia psychicznego mogliby mnie zatrzymać tylko wtedy, gdybym wróciła do kliniki z własnej woli, czego oczywiście nie zrobię, albo gdybym była psychotykiem, a nie jestem. Dobrze sobie radzę ze swoimi sprawami. Dajże więc spokój z tym twoim napadem złości, bo i tak ci to nic nie pomoże.

Maury oblizwał wargi, zająknął się i umilkł. Niewątpliwie miała rację. Wszystko to można było z powodzeniem załatwić. Już ludzie Barrowsa zadbają o to, aby nie pozostawić żadnych luk prawnych. Wiedzą, jak to zrobić, a mają wiele do zyskania.

- Nie wierzę, że Bob Bundy opuści nas z twego powodu - powiedziałem do niej. Ale po wyrazie jej twarzy zorientowałem się, że się mylę. Ona o tym wiedziała. To była jedna z tych rzeczy. Od jak dawna to między nimi trwało? Nie było sposobu, aby się tego dowiedzieć. To tajemnica Pris. Musieliśmy wierzyć, że to prawda. Zwróciłem się do Lincolna.

- Nie spodziewałaś się tego, prawda? Potrząsnął przecząco głową. Maury oznajmił

złamanym głosem:

- Tak czy owak, pozbyliśmy się ich. Zachowaliśmy spółkę WAZA. Zachowaliśmy Stantona. Oni już nie wrócą. Guzik mnie obchodzi Pris i Bob Bundy. Jeśli tych dwoje chce do nich dołączyć, to droga wolna. - Spojrzał żałośnie na córkę. Pris odwzajemniła spojrzenie z taką samą obojętnością jak poprzednio. Nic nie mogło zburzyć jej spokoju. W chwilach kryzysu stawała się jeszcze bardziej niż zwykle opanowana, skuteczna i władcza.

Może, pomyślałem gorzko, powinniśmy się cieszyć, że nas opuszcza. Nie potrafiliśmy sobie z nią poradzić, a w każdym razie ja nie potrafiłem. Czy Barrows będzie umiał? Może zdołają wykorzystać, wyzyskać... albo to ona zaszkodzi jemu, a może nawet go zniszczy. Albo jedno i drugie. Ale mają też Bundy'ego. A z Pris i Bundym mogą bez kłopotu zbudować homunkulusa. Nie potrzebują do tego Maury'ego, a już z pewnością nie potrzebują mnie.

Pochylając się w moim kierunku, Lincoln powiedział pocieszająco:

— Umiejętność pana Stantona do podejmowania szybkich decyzji przyniesie wam wiele korzyści. On, ze swoją energią, prawie natychmiast pomoże waszemu przedsiębiorstwu.

— Moje zdrowie nie służy mi już, tak jak dawniej - mruknął Stanton. Niemniej jednak wyglądał na pewnego siebie i zadowolonego. - Ale zrobię, co będę mógł.

- Przykro mi z powodu twojej córki - powiedziałem do swojego współnika.

- Na Boga - wymamrotał - jak ona mogła to zrobić?

- Wróci - oświadczył mój ojciec, głaszcząc go po ramieniu. - Zawsze tak robią,

Kindern zawsze wracają.

- Nie zależy mi na tym, aby wróciła - rzekł Maury. Ale była to oczywista nieprawda.

— Chodźmy naprzeciwko na filiżankę kawy — zaproponowałem. Znajdowała się tam bardzo miła kafejka, w której można było zjeść śniadanie.

- Idźcie sami - rzekła Pris. - Ja chyba pojedę do domu. Mam bardzo wiele do zrobienia. Mogę wziąć jaguara?

- Nie - powiedział Maury.

Pris wzruszyła ramionami, wzięła swoją torebkę i opuściła biuro. Zamknęły się za nią drzwi. Odeszła nieodwołalnie.

Gdy siedzieliśmy w kafejce, pijąc kawę, pomyślałem, że Lincoln wykonał dla nas świetną robotę z Barrowsem. Znalazł sposób, aby uchronić nas od stryczka. W każdym razie to nie jego wina, że sprawy tak się potoczyły... nie mógł przewidzieć, z czym wyskoczy Pris. Nie mógł też wiedzieć o niej i o Bundym - że owinęła sobie naszego inżynierka wokół palca starymi jak świat babskimi sposobami. Ani ja, ani Maury niczego się nie domyślaliśmy.

Kelnerka nie przestawała zerkać w naszym kierunku, aż w końcu nie wytrzymała i

podeszła.

— Czy to jest Abraham Lincoln, ten manekin z wystawy?

- Nie, tak naprawdę to jest to kukła W. C. Fieldsa - powiedziałem. - Ale przywdziała kostium, kostium Lincolna.

- Ja i mój chłopak oglądaliśmy przedwczoraj jego wystąpienie. Wygląda tak realistycznie. Czy mogę go dotknąć?

— Proszę bardzo — pozwoliłem.

Ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Lincolna.

— Och, jest nawet ciepła! - krzyknęła. — I, Jezu, on pije kawę!

W końcu pozbyliśmy się jej i mogliśmy na nowo podjąć naszą przygnębiającą dyskusję. Zwróciłem się do homunkulusa:

- Doskonale udało się panu przystosować do życia w naszym społeczeństwie. Lepiej niż niektórym z nas.

Szorstkim głosem odezwał się Stanton:

- Pan Lincoln zawsze potrafił dogadać się z każdym i na każdy temat, wykorzystując w tym celu oklepaną metodę opowiadania dowcipów.

Lincoln uśmiechał się, popijając kawę.

— Ciekawy jestem, co teraz porabia Pris — powiedział Maury. - Chyba się pakuje. To okropne, że nie ma jej tu z nami. Jest przecież częścią drużyny.

Uzmysłowiłem sobie, że z naszego biura ubyło wiele osób: Barrows, Dave Blunk, pani Nild i, ku naszemu zaskoczeniu, Pris Frauenzimmer oraz nasz niezastąpiony inżynier Bob Bundy. Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczymy Barrowsa. Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczymy Pris, a jeśli tak, to czy będzie to ta sama Pris?

— Jak ona mogła, tak nas sprzedać? — zastanawiał się głośno Maury. - Przejść na drugą stronę? Ani klinika, ani

doktor Horstowski nie zrobili nic, zupełnie nic, zmarnowali tylko czas i pieniądze. Gdzie się podziała jej lojalność? Chcę z powrotem dostać pieniądze, które władowałem w jej leczenie. A co do niej: nic mnie nie obchodzi, czy ją jeszcze kiedykolwiek zobaczę. Skończyłem z nią. Koniec, kropka. Zmieniając temat, zapytałem Lincolna:

- Czy ma pan dla nas jeszcze jakąś radę? Odnosnie do tego, co powinniśmy zrobić.

- Obawiam się, że nie pomogłem wam tak, jak to miałem nadzieję uczynić - odparł. - Kobiety są nieprzewidywalne. Fortuna kołem się toczy... Jednakże sugeruję wam zaangażowanie mnie w charakterze waszego doradcy prawnego. Takiego jak pan Blunk.

- Wspaniały pomysł - rzekłem, wyciągając książeczkę czekową. - Ile życzy pan sobie w ramach zaliczki?

- Wystarczy dziesięć dolarów - powiedział Lincoln. Wypisałem czek na taką sumę; przyjął go z podziękowaniem.

Pograżony w rozmyślaniach Maury uniósł głowę.

- Obecnie wysokość zaliczki wynosi co najmniej dwieście dolarów; dolar nie jest dziś wart tyle co kiedyś.

- Wystarczy dziesięć - powtórzył Lincoln. - Zaraz zabieram się do sporządzenia dokumentów sprzedaży spółki WAZA waszej fabryce fortepianów w Boise. Co do formy własności, to sugeruję towarzystwo akcyjne z ograniczoną odpowiedzialnością, podobnie jak to proponował pan Barrows. Będę się musiał zapoznać z dzisiejszymi przepisami dotyczącymi sposobu rozprawiania akcji. Obawiam się, że zajmie mi to trochę czasu, więc musicie się uzbroić w cierpliwość.

- W porządku - powiedziałem. Rzecz jasna strata Pris głęboko nas dotknęła, szczególnie Maury'ego. Strata zamiast zysku, oto jak wyszliśmy na interesie z Barrowsem. Ale czy był sposób, aby tego uniknąć? Lincoln miał rację. To był ten nieprzewidywalny czynnik w naszym życiu. Barrows był równie zaskoczony jak my.

- Czy możemy zbudować bez Pris kolejne homunkulusy? - zapytałem Maury'ego

- Bez niej tak, ale nie bez Boba Bundy'ego.

- Możesz zatrudnić kogoś innego na jego miejsce - zasugerowałem.

Ale Maury miał gdzieś Boba Bundy'ego. Myślał tylko o swojej córce.

- Wiem, co ją zniszczyło - powiedział. - To ta cholerna książka Marjorie Morningstar.

— Dlaczego tak sądzisz? — zapytałem. Przykro było patrzeć, jak Maury pogrąża się w tym stanie, jak robi sobie bezcelowe wymówki. Przypominało to starcze gderanie. Przeżył doprawdy wielki szok.

- Ta książka - ciągnął Maury - nasunęła jej myśl, że może spotkać kogoś bogatego, sławnego i przystojnego. Wiesz kogo. Kogoś takiego jak Sam K. Barrows. To tradycyjny w starym kraju ideał małżeństwa. Zawrzeć dla własnego dobra małżeństwo z rozsądku. U nas dzieciaki żenią się z miłości i choć czasem miewa to opłakane skutki, to przynajmniej nie jest wyrachowane. Kiedy przeczytała tę książkę, zaczęła podchodzić do miłości z wyrachowaniem. Jedyne, co mogło ją uratować, to zakochanie się bez pamięci w jakimś chłopcu. A teraz odeszła. - Głos mu się załamał. - Spójrzmy prawdzie w oczy. To nie tylko biznes. Znaczący się to jest biznes, w porządku, ale nie biznes związany z homunkulusami. Pris

zamierza mu się sprzedać i uzyskać coś w zamian. Wiesz, o co mi chodzi, Louis. - Potrząsnął głową, patrząc na mnie bezradnie. - Może dostać to, na czym jej zależy. I ona o tym wie.

- Taak - powiedziałem.

- Nigdy nie powinienem był mu pozwolić zbliżyć się do niej. Ale nie mam o to do niego pretensji. To jej wina. Wszystko, co odtąd może się jej przydarzyć, pójdzie na jej konto. Musimy przeglądać gazety, Louis. Wiesz, jak dziennikarze lubią pisać o wszystkim, co dotyczy Barrowsa. Możemy się z tych cholernych gazet dowiedzieć czegoś o Pris. - Odwrócił głowę i wypił resztę kawy ze swej filiżanki, głośno siorbiąc. Nie chciał, abyśmy zobaczyli jego twarz.

Wszyscy poczuliśmy się zakłopotani. Zwiesiliśmy głowy. Po chwili milczenia odezwał się Stanton:

- Kiedy mam podjąć swoje obowiązki prezesa zarządu?

- Kiedy tylko pan zechce - powiedział Maury.

— Czy reszta panów wyraża na to zgodę? — spytał nas Stanton.

Ojciec i ja skinęliśmy potwierdzająco głowami. To samo uczynił Lincoln. Stanton odchrząknął, wydmuchał nos i przez chwilę gładził wąsy.

— Musimy się ostro zabrać do pracy — oznajmił. — Fuzja obu firm oznacza dla nas nowy rodzaj działalności. Przemyślałem kwestię towaru, jaki powinniśmy produkować. Myślę, że powoływanie do istnienia większej liczby homunkulusów w postaci Lincolna nie byłoby zbyt dobrym pomysłem, ani też... - zamyślił się i złośliwy, sardoniczny grymas wykrzywił mu twarz - większej liczby Stantonów, jeśli już o to chodzi. Po jednym z każdego w zupełności wystarczy. W przyszłości powołajmy do życia coś prostszego. To także złagodzi nasze problemy techniczne, zgodzicie się, panowie? Muszę poznać siłę roboczą i sprzęt, jakim dysponujemy, i przekonać się, czy wszystko jest tak, jak powinno... Tak czy owak, jestem pewny, że nasze przedsiębiorstwo może produkować jakiś prosty, wartościowy produkt pożądaný przez ogół klientów, jakiegoś homunkulusa, nie unikatowego ani złożonego, a mimo to potrzebnego. Być może robotników, którzy sami mogą produkować więcej homunkulusów.

To dobry, choć nieco upiorny pomysł, pomyślałem.

- Moim zdaniem - oświadczył Stanton - powinniśmy zaprojektować, przetestować i natychmiast zacząć produkować jakiś standardowy, ujednolicony model. Będzie to pierwszy oficjalny homunkulus wytwarzany przez nasze przedsiębiorstwo i na długo przedtem, nim pan Barrows zdoła wykorzystać wiedzę i talenty panny Frauenzimmer, my będziemy obecni

na rynku z rozkręconą kampanią reklamową.

Wszyscy skinęliśmy głowami.

- Przechodząc do szczegółów - podjął Stanton - sugeruję zbudowanie homunkulusa, który wykonuje w domu jedną prostą czynność: opiekuje się dziećmi. Powinniśmy maksymalnie uprościć konstrukcję, aby jak najmniej kosztował. Dajmy na to czterdzieści dolarów.

Spojrzeliliśmy po sobie. To wcale nie był zły pomysł.

- Miałem okazję przekonać się o istnieniu takiej potrzeby - ciągnął Stanton - i wiem, że jeśli nasz model będzie umiał w każdej sytuacji odpowiednio zadbać o dzieci, to stanie się od razu towarem rynkowym, a my nie będziemy mieli w przyszłości problemów finansowych. Proszę zatem o przegłosowanie mojej propozycji. Kto jest za, niech powie „tak”.

— Tak - powiedziałem.

- Tak - zgodził się Maury.

Mój ojciec po chwili zastanowienia rzekł: - Tak.

- A więc wykonaliśmy ruch - oznajmił Stanton. Szybko wypił kawę, a potem, stawiając filiżankę na barze, powiedział surowym i pewnym głosem: - Nasze przedsiębiorstwo potrzebuje nazwy, nowej nazwy. Proponuję, abyśmy nazwali je spółka R & R w Boise, Idaho. Czy odpowiada wam ta nazwa, panowie? - Spojrzał na nas. Skinęliśmy głowami. -Dobrze. - Osuszył usta papierową serwetką. - Zatem od razu przystąpmy do dzieła. Panie Lincoln, jako prawnik będzie pan tak dobry i sprawdzi, czy nasze dokumenty są w porządku? W razie potrzeby może pan wziąć do pomocy młodszego prawnika, bardziej biegłego w obecnych przepisach. Upoważniam pana do tego. Powinniśmy natychmiast przystąpić do pracy. Czeka nas mnóstwo solidnych zajęć w przyszłości i nie byłoby dobrze, gdybyśmy rozpamiętywali przeszłość. To bardzo ważne, panowie, abyśmy spoglądali w przód, a nie w tył, pomimo różnych niepowodzeń, jakie ostatnio nas spotkały. Czy możemy to zrobić, panie Rock? Pomimo różnych pokus?

— Tak — powiedział Maury. — Ma pan rację, Stanton. — Z kieszeni wyjął pudełko zapalek. Wstał ze stołka, podszedł do kasy i pogrzebał w leżącym obok pudełku cygar. Powrócił z dwoma długimi cygarami w połocistym opakowaniu i jedno wręczył memu ojcu. - Elconde de Guell. Wyprodukowane na Filipinach. - Odwinął swoje i zapalił. Mój ojciec zrobił to samo.

- Będzie dobrze - orzekł ojciec, wydmuchując kłęby dymu.

- Słusznie - potwierdził Maury, również puszczając dym. Reszta z nas wypięła do

końca kawę.

Rozdział dwunasty

Obawiałem się, że wyjazd Pris do Barrowsa tak przytłoczy Maury'ego, iż nie będzie wiele wart jako współnik. Myliłem się jednak. Maury zaczął pracować za dwóch. Odpowiadał na listy w sprawach organów i klawikordów, organizował wysyłkę towaru z fabryki do każdego miejsca na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku aż do Kalifornii, a także do Newady, Nowego Meksyku i Arizony. W dodatku podjął się zaprojektowania i rozpoczęcia produkcji homunkulusa-opiekunki do dzieci.

Bez Boba Bundy'ego nie mogliśmy zaprojektować nowych obwodów elektrycznych, więc Maury stanął przed koniecznością zmodyfikowania starych. Nasza opiekunka miała być ewolucyjnym rozwinięciem - potomkiem, by się tak wyrazić - Lincolna.

Wiele lat temu Maury znalazł w autobusie czasopismo science fiction zatytułowane „Tajemnicze historie z dreszczykiem”, a w nim opowiadanie o robotach, które strzegły dzieci niczym mechaniczne psy. Nazwano je „Nańkami”, bez wątpienia za Naną - kundelkiem z Piotrusia Pana. Maury'emu spodobała się ta nazwa, więc podczas zebrania zarządu w składzie: Stanton jako przewodniczący, ja, Maury, Jerome i Chester, a także Abraham Lincoln w charakterze naszego prawnika, podsunął pomysł jej wykorzystania.

- Przypuśćmy, że czasopismo albo autor pozwie nas do sądu - powiedziałem.

- To było bardzo dawno temu - rzekł Maury. - Czasopismo już nie istnieje, autor zaś prawdopodobnie nie żyje.

- Zasięgnijmy rady naszego prawnika.

Po dokładnym przestudiowaniu sprawy pan Lincoln postanowił, że nazwa „Nania” użyta na określenie mechanicznych opiekunek dzieci jest obecnie własnością publiczną.

- Zauważam bowiem - wskazał - iż bez czytania opowiadania wszyscy wiecie, skąd wywodzi się ta nazwa.

Nazwaliśmy więc nasze homunkulusy do opieki nad dziećmi Nańkami. Wybór ten kosztował nas jednak kilka cennych tygodni, gdyż Lincoln przed podjęciem decyzji musiał przeczytać Piotrusia Pana. Książka tak mu się spodobała, że przynosił ją na posiedzenia zarządu i czytał na głos, często parszkając śmiechem, szczególnie przy swoich ulubionych fragmentach. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko cierpliwie znosić to czytanie.

- Ostrzegalem was - przypomniał nam Stanton, kiedy jedna szczególnie długa sesja lektorska wygnała nas do toalety na papierosa.

- Wkurza mnie to - powiedział Maury - że czyta nam jakąś cholerną książkę dla

dzieci. Jeśli już musi coś czytać na głos, to czemu nie przeczyta czegoś pożytecznego, na przykład „New York Timesa”?

Tymczasem Maury, w nadziei, że znajdzie coś na temat Pris, zaprenumerował gazety wychodzące w Seattle. Był pewny, że wkrótce ukaże się tam jakaś notatka. Wiedzieliśmy, że Pris zamieszkała w Seattle, ponieważ przed dom zajechał kiedyś wóz meblowy, aby zabrać resztę jej rzeczy. Kierowca powiedział Maury'emu, że polecono mu przewieźć ładunek do Seattle. Rachunek pokrywał, rzecz jasna, Sam K. Barrows. Pris nie miała tyle pieniędzy.

- Wciąż możesz zawiadomić policję - zasugerowałem Maury'emu.

- Ufam Pris - oświadczył z chmurną miną. - Wiem, że sama odnajdzie właściwą drogę i wróci do mnie i do matki. A poza tym spójrzmy prawdzie w oczy: ja już nie jestem jej prawnym opiekunem. Pris znajduje się obecnie pod kuratelą rządu Stanów Zjednoczonych.

Ze swej strony żywiłem nadzieję, że jednak nie wróci. Pod jej nieobecność czułem się znacznie bardziej zrelaksowany i pogodzony ze światem. Wydawało mi się też, że pomimo chmurnej miny Maury pracował o wiele wydajniej. Zniknęły kłopoty, które dręczyły go w domu. A poza tym

koniec z wygórowanymi rachunkami, które każdego miesiąca przysyłał mu doktor Horstowski.

- Jak myślisz, czy Sam Barrows znalazł dla niej lepszego psychiatrę? - zapytał mnie jednego wieczora. - Ciekaw jestem, ile go to kosztuje. Trzy dni w tygodniu po czterdzieści dolarów za wizytę daje sto dwadzieścia dolarów na tydzień. Prawie pięćset na miesiąc. Tylko po to, aby wyleczyć jej zdegenerowaną psyche! - Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

Przypomniał mi się plakat agitacyjny, który jakiś rok temu władze nalepiły w każdym urzędzie pocztowym w USA.

UTORUJ DROGĘ ZDROWIU PSYCHICZNEMU BĄDŹ PIERWSZYM W SWOJEJ RODZINIE,

KTÓRY ODWIEDZI KLINIKĘ PSYCHIATRYCZNĄ!

A dzieciaki w wieku szkolnym z jaskrawymi odznakami dzwoniły wieczorami do drzwi, aby prosić o wsparcie funduszu na rzecz badań psychiatrycznych. Podbiły opinię publiczną, wydusiły z ludzi ostatni grosz, a wszystko to dla naszego dobra.

— Żal mi Barrowsa — powiedział Maury. — Przez wzgląd na niego mam nadzieję, że przynajmniej Pris odpowiednio mu się zrewanżuje i zaprojektuje powłoki cielesne dla jego homunkulusów, choć prawdę mówiąc, wątpię w to. Beze mnie Pris jest tylko amatorką; będzie cudowała, rysowała piękne szkice. Ten fresk w łazience... to była jedna z niewielu rzeczy, które doprowadziła do końca. A w nie wykorzystanym materiale ma ulokowane setki

dolców.

- Ho, ho - odezwałem się, raz jeszcze gratulując sobie i reszcie naszej grupy szczęścia, czyli tego, że Pris odeszła od nas.

- Prawda - ciągnął Maury - że silnie angażowała się w te swoje artystyczne projekty, w każdym razie na początku. Nie lekceważ jej jednak, bracie - ostrzegł mnie. - Przypomnij sobie, jak doskonale zaprojektowała ciała Stantona i Lincolna. Musisz przyznać, że jest dobra.

- Przyznaję - zgodziłem się.

— I kto teraz zaprojektuje powłokę cielesną dla naszej

Nańki, gdy Pris odeszła? Przecież nie ty; nie masz za grosz zdolności artystycznych. Ja także nie. Też nie ten stwór z piekła rodem, którego nazywasz bratem. Nie odpowiedziałem, zajęty swoimi myślami.

- Posłuchaj, Maury - rzekłem nagle. - A co powiesz na mechaniczne opiekunki do dzieci z okresu wojny secesyjnej?

Popatrzył na mnie niepewnie.

- Projekt mamy - ciągnąłem. - Zrobimy dwa modele, jedna opiekunka ubrana po jankesku na niebiesko, a druga po konfederacku na szaro. Cerber na służbie. Co na to powiesz?

- Zapytam, co to jest cerber.

- Strażnik.

Maury odezwał się po długiej chwili milczenia:

- Tak, żołnierz gwarantuje odpowiedzialne wypełnianie obowiązków. A poza tym przemówi do wyobraźni dzieciaków. Będzie odbiegał wyglądem od typowego robota. Nie będzie ani zimny, ani bezosobowy. - Skinął głową. - To dobry pomysł, Louis. Zwołajmy natychmiast posiedzenie zarządu i wyłóżmy nasz, a raczej twój pomysł, aby można było od razu przystąpić do dzieła. Dobrze? - Pełen zapału podszedł do drzwi. - Zadzwoń do Jerome'a i Chestera, a potem zejść na dół po Stantona i Lincolna. - Obaj zajmowali oddzielne apartamenty na parterze domu Maury'ego. Zwykle Maury wynajmował je, ale obecnie ulokował w nich homunkulusy. - Jak myślisz, czy będą mieli coś przeciwko temu? Szczególnie Stanton. Jest taki konserwatywny. Przypuśćmy, że uzna to za rodzaj bluźnierstwa. Nic to, musimy tylko rzucić pomysł, a potem wcielić go w życie.

- Jeśli się sprzeciwią - powiedziałem - będziemy ich tak długo molestować, aż w końcu dopniemy swego, bo któż mógłby coś zarzucić temu pomysłowi? Chyba tylko Stanton, który ma fioła na punkcie czystości tradycji.

Jednakże, choć był to mój pomysł, poczułem osobliwe znużenie, jakbym w chwili

natchnienia, w jego ostatnim przebłytku, doprowadził nas do zguby i udaremnił wszystko, o co zabiegaliśmy. Dlaczego? Czyżby ten pomysł był za prosty? Koniec końców była to jedynie adaptacja tego, z czym wszyscy - a raczej Maury i jego córka - pierwotnie wystąpiliśmy. Na początku mieliśmy wizję rozegrania na

nowo wojny secesyjnej z udziałem milionów homunkulusów. Teraz entuzjasmowaliśmy się mechanicznymi niańkami zaprojektowanymi na wzór uczestników wojny secesyjnej; którzy mieliby uwolnić gospodynie domowe od codziennego morderczego jazgotu. Gdzieś po drodze zatracił się najcenniejszy element naszego pomysłu.

Raz jeszcze staliśmy się tylko małą firmą zabiegającą o pieniądze. Brak nam było wielkiej wizji, mieliśmy jedynie pomysł na zrobienie majątku. Byliśmy jeszcze jednym Barrowsem, ale Barrowsem na żałośnie małą skalę. Mieliśmy jego chciwość, ale brak nam było jego rozmachu. Wkrótce, jeśli będzie to tylko możliwe, rozpoczniemy naszą skromną operację „Nańka”; pewnie będziemy reklamować nasz produkt za pomocą lipnego chwytu, czegoś na kształt naszych dotychczasowych ogłoszeń.

- Nie - powiedziałem Maury'emu. - To okropny pomysł. Zapomnij o nim.

Stając w drzwiach, rozdarł się na całe gardło:

- DLACZEGO?! Jest wspaniały.

— Ponieważ — zacząłem — jest on... — Trudno mi to było wyrazić. Czułem się znużony i zdruzgotany, a także — nawet bardziej - samotny. Kogo albo czego było mi brak? Pris Frauenzimmer? Barrowsa... czy całej ich paczki: Barrowsa, Blunka, Colleen Nild, Boba Bundy'ego i Pris. Co teraz porabiają? Jakież to znowu szalone, ekstrawagancki, niepraktyczny plan obmyślają? Chciałbym to wiedzieć. My -to znaczy ja, Maury, Jerome i mój brat Chester - zostaliśmy z tyłu.

- Wyduś to wreszcie z siebie - naciskał Maury, podskakując z irytacji. - Dlaczego?

- Ponieważ jest naiwny.

- Naiwny! Diabła tam naiwny. - Popatrzył na mnie zdezorientowany.

- Zapomnij o tym pomysle. Co według ciebie robi w tej chwili Barrows? Myślisz, że buduje rodzinę Edwardsów? Albo że kradnie nasz pomysł obchodów stulecia wojny secesyjnej? Czy też obmyśla coś zupełnie nowego? Maury, my nie mamy żadnej wizji. Brak wizji, oto nasz błąd.

- Oczywiście, że mamy wizję.

- Nie mamy - powiedziałem - ponieważ nie jesteśmy szaleni. Jesteśmy trzeźwi i rozsądni. Nie jesteśmy

Barrowsem, nie jesteś twoją córką. Takie są fakty. Chcesz powiedzieć, że tego nie

odczuwasz? Nie czujesz, że czegoś brak w tym domu? Obląkańca, który dzień i noc hałasuje, pracując nad jakimś zwariowanym projektem, który może w każdej chwili porzucić rozgrzebany w połowie i zabrać się do pracy nad czymś nowym, równie zwariowanym?

- Może masz rację - przyznał Maury - ale na Boga, Louis, nie możemy się położyć i umrzeć tylko dlatego, że Pris przeszła do konkurencji. Nie wyobrażasz sobie, jak często miałem podobne myśli. Znam ją lepiej od ciebie, bracie, o niebo lepiej. Każdej nocy dręczy mnie myśl, że Pris i Barrows są razem, ale musimy się wziąć do roboty i dać z siebie wszystko. Na przykład ten twój pomysł: zgoda, trudno go porównać z wynalezieniem żarówki lub zapalek, niemniej nie jest to zły pomysł. Jest skromny, ale da się sprzedać. Sprawdzi się. A poza tym, czy mamy lepsze wyjście? Przynajmniej oszczędzimy pieniądze, oszczędzimy sobie kosztów z angażowaniem człowieka z zewnątrz, który musiałby tu przylecieć i zaprojektować ciało naszej nańki, oraz inżyniera w miejsce Bundy'ego, jeśli oczywiście udałoby się nam kogoś takiego znaleźć. Prawda, chłopie?

Oszczędzimy pieniądze, pomyślałem. Pris i Barrows na pewno by się tym nie przejmowali. Gotowi byli wysłać ciężarówkę taki szmat drogi z Boise do Seattle po to tylko, aby przewieźć jej rzeczy. Nic przy nich nie znaczymy. Jesteśmy maluczcy.

Jesteśmy nędznymi robakami.

Bez Pris... bez niej.

Co się ze mną stało? Zakochałem się w niej, czy co? W kobiecie o lodowatych oczach, wyrachowanej, ambitnej schizofreniczce znajdującej się pod kuratelą Federalnego Biura Zdrowia Psychicznego, na resztę życia skazaną na terapię psychiatryczną, kobiecie, która z katatonicznym podnieceniem angażuje się w szalone projekty oraz atakuje i wiesza psy na każdym, kto nie zaspokoi jej zachcianki dokładnie wtedy, kiedy przyjdzie jej na to ochota. Cóż to za kobieta, cóż to za pomysł, aby się w niej zakochać? Jaki okropny los gotuje mi przyszłość?

Wyglądało to tak, jakby Pris była dla mnie zarówno życiem, jak i antyzyciem. Była zabójcza, okrutna, krwiożercza, a mimo to stanowiła kwintesencję mego istnienia. Była

ruchem. Samym życiem - wyrachowaną, surową, bezmyślną rzeczywistością. Nie zniósłbym jej obecności obok siebie. Nie zniósłbym jej braku. Bez Pris powoli bym zniknął, aż stałbym się niczym i w końcu zdechł jak pies pod płotem — niezauważony, nieważny. Będąc przy niej, byłem chłostany, poganiany, rozrywany na strzępy, popędzany, a mimo to jakoś żyłem. W tym sensie byłem prawdziwy. Czyżby cierpienie sprawiało mi przyjemność? Nie, wyglądało na to, że było ono częścią życia, częścią obcowania z Pris. Bez niej nie było cierpienia, żadnych błędów, niesprawiedliwości, braku równowagi. Ale nie było też niczego

tętniącego życiem, a jedynie drobne, nieistotne projekty, zakurzone małe biuro i dwóch lub trzech facetów grzebiących w piasku...

Bóg mi świadkiem, że nie chcę cierpieć z powodu Pris ani nikogo innego. Ale cierpienie wskazuje na bliskość rzeczywistości. W snach przeżywamy strach, ale nie jest to dosłowny, powolny, fizyczny ból, wieczne tortury, na jakie skazywała nas Pris samą swoją obecnością. Nie robiła tego z premedytacją. Było to nieodłączną częścią jej natury.

Jedynym sposobem, aby tego uniknąć, było pozbycie się jej. I tak też zrobiliśmy: straciliśmy ją. A wraz z nią odeszła rzeczywistość jako taka, ze wszystkimi swoimi sprzecznościami i osobliwościami. Odtąd życie będzie przewidywalne: wyprodukujemy naszą nańkę w postaci żołnierza wojny secesyjnej, zarobimy trochę forsy i tym podobne. Ale co z tego? Co to ma za znaczenie?

- Posłuchaj - powiedział do mnie Maury. - Musimy to ciągnąć.

Skinąłem głową.

- Znaczy to - krzyknął mi prosto do ucha - że nie możemy się poddać! Zwołamy posiedzenie zarządu, tak jak zamierzaliśmy. Przedstawisz swój pomysł i będziesz o niego walczył, jakbyś był święcie przekonany o jego słuszności. Dobrze? Obiecujesz? - Klepnął mnie w plecy. - No chodź, do cholery, albo tak cię palnę w ucho, że znajdziesz się w szpitalu. No chodź, bracie!

- Dobrze - zgodziłem się - ale mam wrażenie, że rozmawiasz z kimś, kto stoi jedną nogą w grobie.

- Taak, nawet tak wyglądasz. No, chodź i niech sprawa wreszcie ruszy z miejsca. Zejdź na dół i porozmawiaj ze

Stantonem. O ile wiem, z Lincolnem nie powinno być kłopotów. Siedzi pewnie teraz w swoim pokoju i rechocze ze śmiechu przy lekturze Kubusia Puchatka.

- Co to jest, u diabła? Jeszcze jedna książka dla dzieci?

- Trafiałeś, bracie - powiedział Maury. - Schodź wreszcie na dół.

Tak też zrobiłem, podniesiony nieco na duchu. Jednak nic poza Pris nie mogło mnie przywrócić z powrotem do życia. Musiałem spojrzeć prawdzie w oczy i stawić jej czoło, z każdym dniem wkładając w to więcej siły.

O mało nie przeoczyliśmy pierwszej notatki poświęconej Pris, jaka ukazała się w gazecie z Seattle, ponieważ na pierwszy rzut oka zdawała się ona wcale nie dotyczyć Pris. Musieliśmy ją przeczytać kilka razy, nim się upewniliśmy.

Była w niej mowa o Samie K. Barrowsie, i to przykuło naszą uwagę. Odnotowano jego obecność w klubie nocnym w towarzystwie szałowej młodej artystki. Według

dziennikarza dziewczyna nazywała się Pristine Dworka.

- Jeezu - wychrypiął Maury z poszarzałą twarzą. - To ona. Dworka jest tłumaczeniem nazwiska Frauenzimmer. Ale to nie jest poprawne tłumaczenie. Posłuchaj, bracie.

Wyjaśniałem to każdemu: tobie, Pris, mojej byłej żonie. Frauenzimmer wcale nie znaczy dworka, ale kurtyzana. Wiesz, dziwka. - Z niedowierzaniem przeczytał notatkę raz jeszcze. - Zmieniła nazwisko, nie zdając sobie z tego sprawy. Do licha, powinna się nazywać Pristine Dziwka. Cóż za farsa. Znaczą się szaleństwo. Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? Ta Marjorie Morningstar naprawdę nazywała się Morgenstern, a to znaczy Morningstar. To stąd wziął się pomysł Pris. A do tego Priscilla na Pristine. Trzymaj mnie, bo nie wytrzymam. - Kręcił się nerwowo po biurze, wciąż od nowa czytając notatkę. - Wiem, że to Pris. To musi być ona. Posłuchaj tego opisu. Powiedz mi, czy to nie Pris:

Widziany u Swamiego: nie kto inny jak Sam (Wielki Człowiek) Barrows eskortowany przez kogoś, kogo w trosce o dzieciaki, które być może jeszcze nie poszły spać, nazwiemy jego „nową protegowaną”: wdechowy kociak, nazywający się -jeśli potraficie to przełknąć - Pristine Dwórka, istota o nieziemskiej twarzy, której uroda powala nas, zwykłych śmiertelników, bożyszcze o czarnych włosach i ciele, na którego widok stare drewniane figury dziobowe (znacie je?) pozieleniałyby z zazdrości. Drugi jej kompan, adwokat Dave Blunk, powiedział nam, że Pris jest artystką, posiadającą także inne walory, których NIE MOŻECIE zobaczyć... ale, uśmiecha się Dave, które być może artystka pokaże w najbliższych latach w telewizji jako aktorka. Wyobrażacie to sobie!

- Boże, cóż za bzdury - powiedział Maury i cisnął gazetę na podłogę. - Jak te pismaki z kolumny plotkarskiej mogą tak pisać? Są chyba niedorozwinięci. Tak czy owak przyznasz, że to Pris. Co to znaczy, że ona zamierza wystąpić w telewizji jako aktorka?

— Barrows musi być właścicielem stacji telewizyjnej lub przynajmniej ma w niej udział - odparłem.

- Ma produkującą jedzenie dla psów fabrykę, która ładuje w puszki tran wielorybi - rzekł Maury. - Raz w tygodniu sponsoruje ona show w telewizji, taki rodzaj cyrku z różnymi różnościami. Prawdopodobnie Barrows naciska na nich, aby dali Pris kilka minut. Ale co ona miałaby robić? Przecież nie potrafi grać! Nie ma za grosz talentu! Chyba zawołam policję. Sprowadź tu Lincolna; chcę porady adwokata.

Próbowałem go uspokoić. Był głęboko poruszony.

- On z nią śpi! Ta bestia śpi z moją córką! To istny zgnilec moralny! - Maury zaczął wykręcać numer lotniska w Boise. Próbował zarezerwować miejsce na lot rakieta do Seattle. - Pojadę tam i wpakuję go do aresztu - wyjaśnił mi w przerwie pomiędzy telefonami. - Wezmę

ze sobą broń. Po diabła mi policja. Dziewczyna ma dopiero osiemnaście lat; mamy do czynienia z przestępstwem. Sprawa przeciwko niemu będzie przypadkiem prima facie. Zruję mu życie. Pójdzie do paki na dwadzieścia lat.

- Posłuchaj - odezwał się. - Barrows na pewno wszystko na wskroś przemyślał, wałkowaliśmy to już wiele razy. Wszędzie ciągnie ze sobą tego prawnika, Blunka. Są kryci. Nie pytaj mnie, w jaki sposób, ale na pewno o wszystkim pomyśleli. Tylko dlatego, że jakiemuś pismakowi zachciało się napisać, iż twoja córka...

- W takim razie zabiję Pris.

- Zaczekaj, na Boga. Zamknij się i posłuchaj. Nie wiem, czy ona śpi z nim, jak to określiłeś, czy nie. Pewnie jest jego kochanką. Myślę, że masz rację. Ale udowodnienie tego to zupełnie inna sprawa. Być może potrafisz ją zmusić do powrotu do Ontario, ale jest też sposób, w jaki on może ostatecznie dopiąć swego.

- Szkoda, że nie wróciła do Kansas City, szkoda, że kiedykolwiek opuściła klinikę psychiatryczną. To tylko biedne dziecko z psychotyczną przeszłością! - Uspokoił się nieco. - W jaki sposób może ją do siebie ściągnąć?

- Może namówić jakiegoś gnojka ze swej organizacji do poślubienia jej. A gdy to się stanie, nikt nie będzie mógł jej niczego nakazać. Czy tego chcesz? - Rozmawiałem z Lincolnem i dowiedziałem się o wszystkim. Lincoln udowodnił mi, jak trudno jest zmusić człowieka pokroju Barrowsa, który doskonale orientuje się w przepisach prawa, do zrobienia czegokolwiek. Barrows mógł kręcić prawem jak szczotką do czyszczenia kominów. Nie uznawał żadnych reguł, nie istniały dla niego żadne przeszkody. Liczyła się tylko jego wygoda.

- To byłoby okropne - przyznał Maury. - Rozumiem, co masz na myśli. Oto prawny kruczek, który pozwoliłby mu zatrzymać ją w Seattle. - Twarz mu poszarzała.

- W takim wypadku nigdy już byś jej nie sprowadził z powrotem do domu.

- A ponadto będzie wtedy spała z dwoma facetami, tym gnojkiem, swoim mężem, jakimś pieprzonym chłopcem na posyłki z którejś fabryki Barrowsa, a także z Barrowsem. - Patrzył na mnie dzikim wzrokiem.

- Maury - powiedziałem - musimy stawić czoło faktom. Pris prawdopodobnie już wcześniej spała z chłopcami, na przykład w szkole.

Jeszcze bardziej wykrzywił twarz.

- Czuję się obrzydliwie, że muszę ci to powiedzieć - rzekłem - ale po sposobie, w jaki ze mną rozmawiała jednej nocy...

- W porządku - przerwał mi Maury - dajmy temu spokój.

- Spanie z Barrowsem nie zabije ani jej, ani ciebie. Przynajmniej nie zajdzie w ciążę.

Jest dostatecznie mądra, aby

się zabezpieczyć. On zresztą będzie sprawdzał, czy Pris bierze pigułki.

Mauzy skinał głową.

- Chciałbym już nie żyć - powiedział.

- Czuję to samo. Ale pamiętasz, co sam powiedziałaś mi tak niedawno, dwa dni temu?

Musimy iść naprzód, bez względu na to, jak nam jest źle. Tym razem ja powtarzam ci to samo. Bez względu na to, jak wiele Pris znaczyła dla każdego z nas, zgoda?

- Taak - odezwał się w końcu.

Ruszyliśmy więc naprzód, podjąwszy naszą pracę w punkcie, w którym ją przerwaliśmy. Na zebraniu zarządu Stan-ton sprzeciwił się noszeniu przez niańki szarego munduru konfederackiego. Był skłonny przystać na pomysł z wojną secesyjną, ale wszyscy żołnierze musieli być lojalnymi unionistami. Kto - pytał - powierzyłby swoje dziecko rebeliantowi? Poddaliśmy się i Jerome mógł zacząć kupować maszyny do fabryki. Tymczasem w biurze spółki R & R w Ontario zaczęliśmy robić projekty i naradzać się z japońskim inżynierem elektronikiem, którego zatrudniliśmy na pół etatu..

Kilka dni później w gazecie z Seattle ukazała się druga notatka. Tym razem zauważyłem ją przed Maurym.

Panna Pristine Dworka, kruczowłosa młoda gwiazdka odkryta przez korporację Barrowsa, będzie wręczać złotą piłkę mistrzowi Ligi Młodzieżowej w baseballu - oznajmił dzisiaj przedstawicielom mass mediów Irving Khan, rzecznik prasowy pana Barrowsa. Ponieważ do zakończenia mistrzostw Ligi Młodzieżowej pozostał jeszcze jeden mecz do rozegrania, więc wciąż...

A więc Sam K. Barrows zaprzął do pracy również rzecznika prasowego, podobnie jak wcześniej Blunka i innych. Barrows ofiarował Pris to, o czym od dawna marzyła. Bez wątplenia dotrzymywał zawartej między nimi umowy, jakakolwiek by ona była. Nie wątpiłem też, że Pris ze swej strony również dotrzymuje umowy.

Jest w dobrych rękach, powiedziałem sobie. Chyba nie ma w Ameryce Północnej drugiego człowieka bardziej predestynowanego do ofiarowania Pris tego, czego oczekiwała od życia.

Artykuł był zatytułowany EKSTRAKLASA WRĘCZA ZŁOTĄ PIŁKĘ LIDZE MŁODZIEŻOWEJ W BASEBALLU. A więc Pris stała się obecnie „ekstraklasą”. Z dalszej części artykułu dowiedziałem się, że Barrows zakupił stroje dla tej drużyny Ligi Młodzieżowej, która zdobędzie złotą piłkę - nie trzeba chyba dodawać, że złotą piłkę również

ufundował Barrows - a na plecach każdej koszulki będzie widniał napis:

ORGANIZACJA BARROWSA

Oczywiście na piersiach znajdzie się nazwa drużyny: nazwa jakiejś miejscowości lub szkoły, którą reprezentują chłopcy.

Nie miałem wątpliwości, że Pris czuje się bardzo szczęśliwa. W końcu Jane Mansfield rozpoczęła swą karierę jako Panna Prosty Kręgosłup, wybrana do tej roli w latach pięćdziesiątych przez amerykańskich chiropraktyków. To był jej pierwszy występ przed publicznością. Była wówczas maniakiem zdrowej żywności.

Spójrzmy zatem, jaka przyszłość rysuje się przed Pris, powiedziałem do siebie. Najpierw wręcza złotą piłkę drużynie dzieciaków, potem pnie się raptownie w górę. Może Barrows zorganizuje, aby „Life” zamieścił na rozkładówce jej zdjęcia w negliżu; to niewykluczone, skoro każdy numer ma rozkładówkę ze zdjęciami nagich dziewcząt. W ten sposób zdobędzie wielką sławę. Jedyne, co musi zrobić, to rozebrać się publicznie przed zawodowym fotografem, a nie tylko prywatnie przed oczami Sama K. Barrowsa.

Potem, być może na krótko, poślubi prezydenta Mendozę, który dotychczas żenił się - ile to już? - czterdzieści jeden razy, przy czym czasami te małżeństwa nie trwały dłużej niż tydzień. Albo przynajmniej zostanie zaproszona na jedno z tych męskich przyjęć w Białym Domu, bądź morski rejs prezydenckim jachtem, czy też na weekend w luksusowym satelicie wypoczynkowym. Zwłaszcza te męskie przyjęcia; za każdym razem zapraszano z występami inną dziewczynę, która miała po tym zapewnioną sławę i otwartą drogę do kariery, szczególnie w przemyśle rozrywkowym. Jeśli spodobała się prezydentowi Mendozie, musiała się spodobać każdemu mężczyźnie w Stanach Zjednoczonych, jako że prezydent był znany ze swojego niezwykle wyszukanego smaku oraz dysponował przywilejem dokonania pierwszego wyboru...

Takie myśli doprowadzały mnie do szału.

Zastanawiałem się, ile to potrwa. Tygodnie? Miesiące? Czy zrobi to od razu, czy też zajmie mu to trochę czasu?

Tydzień później, przeglądając program telewizyjny, odkryłem, że Pris została zaproszona do udziału w widowisku sponsorowanym przez należącą do Barrowsa fabrykę karmy dla psów. Wedle notki reklamowej i programu grała dziewczynę w pokazie rzucania noży; w jej kierunku ciskano płonące ostrza, podczas gdy ona płaśała w rytm Księżycowego Tańca ubrana w jeden z tych nowych przezroczystych kostiumów kąpielowych. Scenę nakręcono w Szwecji, gdyż noszenie takich kostiumów na amerykańskich plażach było zabronione.

Nie pokazałem programu Maury'emu, ale on i tak go znalazł. W przeddzień emisji zaprosił mnie do siebie i pokazał czasopismo. Magazyn zawierał też małe zdjęcie Pris - sama głowa i ramiona. Zrobiono je jednak w taki sposób, aby dać do zrozumienia, że nic na sobie nie ma. Obaj patrzyliśmy na nie z wściekłością i rozpaczą. Trzeba jednak było przyznać, że Pris z pewnością wyglądała na szczęśliwą. I chyba była szczęśliwa.

Za nią na zdjęciu widać było zielone wzgórza i wodę -naturalne, zdrowe piękno ziemskiej przyrody. I na tym tle ta roześmiana, czarnowłosa, szczupła dziewczyna, pełna życia, energii i sił witalnych. Pełna... przyszłości.

Przyszłość należała do niej - uzmysłowiłem sobie, przyglądając się zdjęciu. Czy to pozując dla „Life'a”, leżąc nago na koźlej skórze farbowanej roślinnym barwnikiem, będąc prezydencką weekendową kochanką, czy też płasząc wśród latających noży rozebrana do pasa w infantylnym programie telewizyjnym - wciąż jest prawdziwa, wciąż piękna i pełna uroku, jak góry i oceany, i nikt nie potrafi tego piękna zniszczyć ani zepsuć, choćby nie wiem jak złe i ohydne miał zamiary. Czym my, ja i Maury, dysponujemy? Co możemy jej ofiarować? Nudy na pudy. Nie możemy jej dać niczego, co nosiłoby znamię jutra, a jedynie coś, co cuchnie dniem wczorajszym, przeszłością. Starością, smutkiem i śmiercią.

— Chłopie — powiedziałem do Maury'ego — chyba pojedę do Seattle.

Nic nie odpowiedział. Wciąż czytał tekst z magazynu telewizyjnego.

- Szczerze mówiąc, nic mnie nie obchodzą homunkulusy -dodałem. - Przykro mi, ale to prawda. Chcę po prostu pojechać do Seattle i zobaczyć, jak się ona miewa. Może potem...

- Już nie wrócisz. Żadne z was nie wróci.

- Może wrócimy.

- Chcesz się założyć?

Postawiłem dziesięć dolców. Tylko tyle mogłem zrobić; nie było sensu dawać obietnic, których nie mógłbym dotrzymać i prawdopodobnie bym nie dotrzymał.

- To zniszczy spółkę R & R - powiedział Maury.

— Być może, ale i tak muszę jechać.

Tej nocy zacząłem pakować swoje rzeczy. Zarezerwowałem miejsce na lot rakieta boeing 900 linii TWA do Seattle. Odlatywała następnego ranka o dziesiątej czterdzieści. Nic już nie mogło mnie zatrzymać. Nie chciało mi się nawet zadzwonić do Maury'ego i pogadać. Po co tracić czas? Nic nie mógł zrobić. A czy ja mogłem? To się miało dopiero okazać.

Moja wojskowa czterdziestka piątka była zbyt duża, więc zamiast niej zapakowałem mniejszy pistolet kaliber trzydzieści osiem, który wraz z paczką nabojów zawinałem w ręcznik. Nigdy nie był ze mnie dobry strzelec, ale chyba nie powinienem mieć kłopotu z

trafieniem człowieka w średniej wielkości pokoju albo w takim miejscu publicznym, jak klub nocny lub teatr. A jeśli dojdzie do najgorszego, zawsze mogę wycelować go w siebie; z pewnością trafię w głowę.

Tego dnia nie miałem już nic do roboty, więc zabrałem się do lektury książki Marjorie Morningstar, którą pozyczył mi Maury. Była jego własnością, więc prawdopodobnie ten właśnie egzemplarz wiele lat temu czytała Pris. Miałem nadzieję, że jeśli przeczytam tę książkę, dowiem się trochę więcej o Pris. Nie czytałem dla samej przyjemności.

Następnego ranka wstałem wcześniej, ogoliłem się i umyłem, zjadłem lekkie śniadanie i pojechałem na lotnisko w Boise.

Rozdział trzynasty

Jeśli byście chcieli wiedzieć, jak wyglądałoby San Francisco, gdyby nie trzęsienia ziemi i pożary, to wystarczy, abyście pojechali do Seattle. Seattle to stare, zbudowane na wzgórzach miasto portowe, z ulicami jak wąwozy, po których hula wiatr. Oprócz gmachu biblioteki publicznej próżno tam szukać nowoczesnych budynków, natomiast w dzielnicy slumsów - podobnie jak w niektórych dzielnicach Pocatello w Idaho — znajdziecie brukowane ulice i domy z czerwonej cegły. Opanowane przez szczury slumsy ciągną się przez wiele mil. W centrum Seattle zbudowano miasto w mieście: luksusową, kwitnącą dzielnicę handlową usytuowaną obok jednego czy dwóch eleganckich starych hoteli, takich jak Olympus. Wiatr wiał od strony Kanady, a gdy boeing 900 podchodził do lądowania na lotnisku Sea-Tac, można było uchwycić widok pierwotnych gór. Budzą grozę.

Aby dostać się z lotniska do centrum Seattle, wynająłem limuzynę z szoferem, gdyż kosztowała tylko pięć dolarów. Kierowca, kobieta, przez wiele mil przebiegała się zatłoczonymi ulicami w istic ślimaczym tempie, aż w końcu dotarliśmy do hotelu Olympus. Z ciągiem sklepowym usytuowanym w podziemiach wygląda on jak wiele innych luksusowych wielkomiejskich hoteli. Zapewnia pełną obsługę gości, jaką powinien oferować dobry hotel, i to obsługę zaiste znakomitą. Poza tym ma kilka restauracji. W luksusowym hotelu przebywa się właściwie w swoim własnym świecie, ciemnym, oświetlonym żółtym światłem elektrycznych lamp, w świecie dywanów, zabytkowych mebli na wysoki połysk, dobrze ubranych ludzi i wiecznie rozgadanych korytarzy

i wind. Do tego dochodzą nieustannie wykonujące swoją pracę pokojówki.

Znalazłszy się w swoim pokoju, zrezygnowałem z włączenia telewizora na rzecz muzyki z radia, potem wyjrzałem przez okno na ulicę, wyregulowałem ogrzewanie i klimatyzację, po czym zdjąłem buty i przespacerowałem się na bosaka po rozciągającym się od ściany do ściany dywanie, aż wreszcie otworzyłem walizkę i zacząłem się rozpakowywać. Nie dalej jak godzinę temu byłem w Boise. Teraz jestem tutaj, na zachodnim wybrzeżu, prawie nad samą granicą kanadyjską. Latanie na głowę bije jazdę samochodem. Przeniosłem się wprost z jednego dużego miasta do drugiego bez konieczności oglądania okolicy, która rozciąga się między nimi. Nic nie mogło mi sprawić większej przyjemności.

Dobry hotel można poznać po tym, że kiedy korzystasz z dowolnej usługi, pracownik hotelu, gdy wchodzi do pokoju, nigdy na ciebie nie patrzy. Spuszcza oczy, spogląda ponad twoją głowę, patrzy w przestrzeń. Ty pozostajesz niewidzialny nawet wtedy, gdy jesteś nagi

albo ubrany w same tylko gacie. I oto właśnie chodzi. Pracownicy wchodzą bezszelestnie i przynoszą ci wyprasowane koszule, tacę z jedzeniem, gazetę lub drinka. Ty wręczasz im napiwek, oni mruczą słowa podziękowania i po chwili już ich nie ma. To są prawie zawsze Japończycy: tylko oni umieją się powstrzymać od gapienia. Masz wrażenie, jakby w twoim pokoju nikt nigdy nie mieszkał, nawet gość zajmujący go przed tobą. Pokój należy wyłącznie do ciebie i wrażenie to pozostaje nawet wtedy, gdy natkniesz się w korytarzu na sprzątaczkę. Oni - pracownicy hotelu - tak dalece szanują twoją prywatność, że czasem jest to aż niesamowite. Oczywiście, gdy przychodzi pora uregulowania rachunku, za to wszystko trzeba płacić. Kosztuje cię to pięćdziesiąt dolarów zamiast dwudziestu, ale niech ci nikt nie wmawia, że nie było warto. Człowiek znajdujący się na granicy załamania nerwowego może dojść do siebie po kilku dniach spędzonych w prawdziwym hotelu pierwszej klasy, z jego pracującą dwadzieścia cztery godziny na dobę służbą i sklepami. Wiercie mi.

Po kilku godzinach spędzonych w pokoju hotelu Olympus byłem zdziwiony, jak mogłem się tak zdenerwować, aby

w ogóle tu przylecieć. Czułem się, jakbym był na zasłużonych wakacjach i wypoczywał. Mógłbym tu mieszkać, jeść hotelowe jedzenie, czytać gazety, robić w sklepach zakupy, dopóki nie skończyłyby mi się pieniądze. Przyleciałem tu jednak w interesach. Właśnie to jest takie trudne: opuścić hotel i wyjść na wietrzne, chłodne, szare ulice, aby ganiać za własnymi sprawami. Z powrotem wchodzisz w świat, w którym nikt nie uchyli przed tobą drzwi. Stoisz na rogu ulicy w towarzystwie równych sobie ludzi - nikt nie jest gorszy od ciebie - czekając na zmianę świateł, i znów jesteś zwykłym, cierpiącym osobnikiem, który modli się o ustąpienie dolegliwości. To jakby wciąż od nowa przeżywać traumatyczne doświadczenie związane z narodzinami, choć przynajmniej, jak tylko załatwisz swoje sprawy, możesz z powrotem schronić się w hotelu.

Część swoich interesów możesz załatwiać w ogóle bez wychodzenia na zewnątrz, posługując się telefonem. W ten sposób starasz się załatwić jak najwięcej; tak ci podpowiada instynkt. A w ogóle to starasz się raczej nakłonić ludzi do spotkania się z tobą w hotelu niż na odwrót.

Tej sprawy nie mogłem jednak załatwić w hotelu. Nawet nie próbowałem. Po prostu odkładałem ją na później. Spędziłem resztę dnia w pokoju, a o zmroku zszedłem do baru. Potem wstąpiłem do jednej z restauracji, powłóczyłem się po sklepach, poszedłem do głównego holu, by raz jeszcze zajrzeć do sklepów. Zachodziłem wszędzie tam, gdzie mogłem się dostać bez wychodzenia na dwór: na zimną, wietrzną, kanadyjską noc.

Przez cały czas nosiłem w wewnętrznej kieszeni płaszcza moją trzydziestkę ósemkę.

To było dziwne uczucie; miałem w końcu zamiar podjąć próbę nielegalnego załatwienia sprawy. Prawdopodobnie mógłbym wszystko przeprowadzić zgodnie z prawem, Lincoln bowiem znalazł sposób na wydostanie Pris z łap Barrowsa. Ale głęboko w duszy cieszyłem się tą sytuacją: przyjazdem tutaj, do Seattle, z pistoletem w walizce, który teraz nosiłem w kieszeni płaszcza. Podobała mi się samotność. Nie znałem tu nikogo i zamierzałem się spotkać z panem Samem Barrowsem, od nikogo nie spodziewając się pomocy. Czułem się jak epicki bohater lub postać ze starego westernu. Byłem w mieście obcym, uzbrojonym facetem, który ma misję do wypełnienia.

Tymczasem wstąpiłem do baru na drinka, wróciłem do pokoju, położyłem się na łóżku, przeczytałem gazetę, pooglądałem telewizję, a o północy zamówiłem do pokoju kawę. Byłem w siódmym niebie. Gdybyż tylko sytuacja ta mogła trwać wiecznie.

Jutro rano odwiedzę Barrowsa, postanowiłem. To się musi skończyć. Ale jeszcze się nie skończyło.

Wtedy - około dwunastej trzydzieści, gdy szykowałem się do snu - pomyślałem: dlaczego by nie zadzwonić teraz do Barrowsa? Obudzić go, jak to miało w zwyczaju robić Gestapo, i nie mówiąc mu, gdzie jestem, powiedzieć tylko: „Idę do ciebie Sam”. Napędzić mu porządnego stracha. Po jakości połączenia będzie w stanie się zorientować, że jestem gdzieś w mieście.

Klawy pomysł!

Wypiłem kilka drinków — no dobra, sześć lub siedem — wykręciłem numer hotelowej centrali i powiedziałem telefonistce:

- Proszę mnie połączyć z Samem K. Barrowsem. Nie znam numeru.

Kobieta wykonała polecenie.

Czekałem, a telefon Sama dzwonił.

W myślach powtarzałem sobie to, co miałem zamiar mu powiedzieć: „Oddaj Pris z powrotem spółce R & R. Nienawidzę jej, ale ona należy do nas. Ma dla nas żywotne znaczenie”. Telefon dzwonił i dzwonił. Najwyraźniej nikogo nie było w domu albo nikomu nie chciało się podejść do aparatu. W końcu odłożyłem słuchawkę.

Co za cholerna sytuacja dla dorosłego mężczyzny - powtarzałem sobie, łącząc bez celu po pokoju. Jakim cudem ktoś pokroju Pris mógł się nagle stać dla nas kwestią życia lub śmierci, jak to zamierzałem powiedzieć Barrowsowi? Czy naprawdę tak nam odbiło? Ale czy rzeczywiście nam odbiło? Czy nie jest to raczej przejaw prawdziwego życia, a nie naszej natury? Tak, to nie nasza wina, że życie jest takie, jakie jest; to nie myje wymyśliśmy. A może jednak?

I tak dalej. Musiałem spędzić kilka godzin, chodząc po pokoju, zagłębiając się wyłącznie w takich mętnych rozważaniach. Byłem w okropnym stanie. Jakby dopadł mnie wirus grypy z rodzaju tych, które atakują funkcje metaboliczne mózgu, doprowadzając organizm na skraj śmierci.

W każdym razie, tak się właśnie wtedy czułem. Straciłem kontakt z normalną, zdrową rzeczywistością, nawet tą hotelową. Zapomniałem o obsłudze hotelowej, o sklepach, barach i restauracjach — na chwilę nawet przerwałem spacer i zatrzymałem się przy oknie, aby popatrzeć na reflektory samochodów i rzęście oświetlone ulice. Taka utrata kontaktu z miastem to forma umierania.

O pierwszej w nocy - gdy wciąż przemierzałem pokój wzdłuż i wszerz - zadzwonił telefon.

- Halo - rzuciłem do słuchawki.

To nie był Sam K. Barrows, ale Maury, który dzwonił do mnie z Ontario.

- Skąd wiedziałeś, że zatrzymam się w Olympusie? -zapytałem. Byłem zupełnie skołowany. Wydawało mi się, że musiał użyć jakiejś magicznej siły, aby mnie wytropić.

- Przecież wiedziałem, że jesteś w Seattle, ty kretynie. Ile dużych hoteli jest w Seattle? Wiedziałem, że wybierzesz najlepszy. Założę się, że wzięłaś apartament dla nowożeńców, przygruchałaś sobie jakąś panią i przeżywacie razem upojne chwile.

- Posłuchaj, przyjechałem tu po to, aby zabić Barrowsa.

- Czym? Swoim zakutym łbem? Zamierzasz skoczyć na niego, zaprawić go bykiem i sprawić, żeby umarł od obrażeń wewnętrznych?

Powiedziałem Maury'emu o pistolecie.

- Posłuchaj, bracie - rzekł cicho Maury -jeśli to zrobisz, zrujnujesz nas wszystkich.

Nic nie powiedziałem.

- Ten telefon kosztuje fortunę - dodał - więc nie zamierzam spędzić z tobą godziny, apelując ci do sumienia jak kaznodzieja. Prześpij się trochę i zadzwoń do mnie jutro, obiecujesz? Musisz obiecać albo, jak Boga kocham, zadzwonię na komendę policji w Seattle, aby cię aresztowali.

- Nie zrobisz tego - powiedziałem.

- Musisz mi obiecać.

- W porządku, Maury. Obiecuję ci nic nie zrobić dzisiejszej nocy. - Tak, jakbym mógł coś zrobić. Raz już próbowałem i nic. Chodziłem tylko po pokoju.

- Dobrze. Posłuchaj, Louis. W ten sposób nie skłonisz Pris do powrotu. Ja też o tym wcześniej myślałem. Zrujnujesz jej życie, jeśli pójdziesz do faceta i wypalisz mu w łeb.

Pomyśl trochę, a zrozumiesz. Wyobrażasz sobie, że sam bym tak nie postąpił, gdyby to mogło przynieść pożądany skutek?

Potrząsnąłem głową.

- Nie wiem. - Głowa mnie bolała i czułem łupanie w kościach. - Marzę tylko o tym, aby się położyć do łóżka.

- W porządku, bracie. Będziesz miał swój wypoczynek, Posłuchaj, chcę, abyś się rozejrzył po pokoju. Sprawdź, czy

jest tam komoda z szufladami. Dobrze? Zajrzyj do górnej szuflady. Rusz się, Louis. Zrób to teraz, a ja poczekam przy telefonie. Zajrzyj do niej.

- Po co?

- Znajdziesz tam Biblię. Zawsze ją tam wkładają.

Trzasnąłem słuchawką.

A to skurczybyk, powiedziałem do siebie. Dawać mi taką radę.

Szkoda, że w ogóle przyjechałem do Seattle. Byłem jak homunkulus Stanton, jak maszyna: sama pcha się do świata, którego nie rozumie, poszukuje w Seattle znajomego zakątka, w którym mogłaby wykonywać rutynowe czynności. W wypadku Stantona było to otwarcie kancelarii prawniczej, w moim - no właśnie, co? Próba odtworzenia w jakiś sposób znajomego środowiska, choćby nawet nieprzyjaznego. Przyzwyczaiałem się do Pris i jej okrucieństwa. Zacząłem się nawet przyzwyczajać - czekając na spotkanie - do Sama K. Barrowsa, jego panienki i jego adwokata. Mój instynkt pchał mnie od nieznanego z powrotem do znanego. Tylko w ten sposób potrafiłem funkcjonować. Byłem jak ślepy stwór po omacku szukający miejsca, w którym mógłby się zagnieździć.

Wiem, czego chcę, powiedziałem do siebie. Chcę dołączyć do organizacji Barrowsa! Chcę być jej częścią, tak jak Pris. Wcale nie chcę go zabijać!

Przechodzę do konkurencji.

Gdzieś musi być miejsce dla mnie, powtarzałem sobie. Może nie po to, aby pisać w takt Księżycowego Tańca; nie nadaję się do tego. Nie chcę występować w telewizji. Wcale mi nie zależy, aby moje nazwisko pojawiało się w blasku światła. Chcę być tylko użyteczny. Chcę, aby jakaś gruba ryba wykorzystała moje zdolności.

Podniosłem słuchawkę i poprosiłem centralę o połączenie z Ontario w Oregonie. Usłyszałem telefonistkę z Ontario, której podałem numer domowego telefonu Maury'ego. Po kilku sygnałach zaspany Maury podniósł słuchawkę.

- Co to, poszedłeś spać? - zapytałem. - Posłuchaj, Maury, muszę ci coś wyznać, masz prawo o tym wiedzieć. Zamierzam przejść do konkurencji. Przyłączam się do Barrowsa, i do

diabła z tobą, moim ojcem, ehesterem i Stantonem, który swoją drogą zachowuje się jak dyktator i pewnie obrzydzi nam życie. Żał mi jedynie Lincolna. Ale jeśli jest on naprawdę taki mądry i wyrozumiały, to zrozumie i przebaczy. Jak Chrystus.

- Co, proszę? - powiedział Maury. Wydawał się mnie nie rozumieć.

- Odchodzę - powtórzyłem.

- Nie - oznajmił Maury. - Mylisz się.

- Jak mogę się mylić? Co przez to rozumiesz?

- Jeśli przejdiesz do Barrowsa, to nie będzie żadnej spółki R & R, więc nie będziesz miał skąd odchodzić. Jesteśmy po prostu ze sobą związani, bracie. Wiesz o tym. - Był doskonale opanowany. — Czy nie tak?

- Guzik mnie to obchodzi. Chcę się dowiedzieć, czy z Pris jest wszystko w porządku. Nie możesz spotkać takiego faceta jak Sam K. Barrows i zapomnieć o tym, że go spotkałeś. Jest gwiazdą. Jest kometa. Albo idziesz w jego ślady, albo przestajesz, praktycznie rzecz biorąc, istnieć. Czuję w sobie emocjonalny głód, irracjonalny, ale prawdziwy. To instynkt. Kiedyś i w tobie się obudzi. Barrows ma w sobie magię. Bez niego jesteśmy jak ślimaki. Co jest w końcu celem życia? Wlec się w ogonie? Nikt nie żyje wiecznie. Jeśli nie potrafisz się wznieść do gwiazd, jesteś trupem. Wiesz, że mam ze sobą pistolet. Jeśli nie uda mi się przyłączyć do organizacji Barrowsa, rozwałę sobie ten cholerny łeb. Nie chcę zostawać z tyłu. Ludzki instynkt, instynkt życia, jest zbyt silny, by mu się opierać!

Maury milczał, ale słyszałem w słuchawce, że wciąż tam jest.

- Słuchaj - dodałem - przykro mi, że cię obudziłem, ale musiałem ci to powiedzieć.

- Jesteś chory psychicznie - rzekł Maury. - Mam zamiar... wiesz, bracie, zadzwonię do doktora Horstowskie. Po co?

- Poproszę go, aby zadzwonił do ciebie do hotelu.

- Dobra - powiedziałem. - Wyłączam się. - Odłożyłem słuchawkę.

Usiadłem na łóżku i czekałem. I rzeczywiście po jakichś dwudziestu minutach, o około pierwszej trzydzieści w nocy, jeszcze raz zadzwonił telefon.

- Halo - rzuciłem do słuchawki.

- Tu Milton Horstowski - odezwał się daleki głos. - Louis Rosen, panie doktorze.

- Dzwonił do mnie pan Rock. - Długa przerwa. - Jak się pan czuje, panie Rosen? Pan Rock powiedział, że coś pana gryzie.

- Posłuchaj, ty państwowy urzędasie - rzekłem - to nie twoja sprawa. Posprzeczałem się ze swoim współnikiem, Maurym Rockiem, i to wszystko. Jestem teraz w Seattle, aby się przyłączyć do większej i bardziej rozwojowej firmy. Pamiętaj pan, jak wspominałem o Samie

K. Barrowsie?

- Wiem, kto to jest.

- Czy to taki szalony pomysł?

- Nie - odparł doktor Horstowski. - Na pozór nie.

- Powiedziałem Maury'emu o tym pistolecie po to tylko, aby się z nim podrażnić. Jest późno, a ja czuję się nieco wypompowany. Zerwanie spółki może być pod względem psychologicznym trudne. - Czekałem, ale Horstowski nie powiedział ani słowa. - Zaraz się kładę do łóżka. Może jak wrócę do Boise, zajrzę do pana; to wszystko jest dla mnie bardzo trudne. Wie pan, Pris przeszła do organizacji Barrowsa.

- Wiem, wciąż jestem z nią w kontakcie.

- Dziewczyna w dechę, prawda? - powiedziałem. - Myślę, że się w niej zakochałem.

Czy to możliwe? Osoba z moją konstytucją psychiczną?

- Możliwe.

- Cóż, wygląda na to, iż tak się właśnie stało. Nie mogę żyć bez Pris, dlatego jestem w Seattle. Wciąż jednak twierdzę, że z tym pistoletem to była zgrywa. Może pan to powtórzyć Maury'emu, jeśli miałoby go to uspokoić. Chciałem mu tylko pokazać, że nie żartuję.

Rozumie pan?

- Tak, myślę, że tak - rzekł doktor Horstowski. Rozmawialiśmy jeszcze przez jakiś czas, ale do niczego

nie doszliśmy, a potem doktor się rozłączył. Zaraz jak tylko odłożyłem słuchawkę, pomyślałem: facet pewnie zawiadomi policję w Seattle albo tutejsze Federalne Biuro Zdrowia Psychicznego. Nie mogę ryzykować. On gotów to zrobić.

Zacząłem pakować swoje rzeczy najszybciej jak tylko umiałem. Włożyłem wszystko do walizki i opuściłem pokój. Zjechałem na parter, podszedłem do recepcji i poprosiłem o rachunek.

- Czy coś się panu nie podobało, panie Rosen? - zapytał mnie nocny recepcjonista, podczas gdy dziewczyna obliczała należność.

— Nie — odpowiedziałem. — Udało mi się skontaktować z człowiekiem, do którego tu przyjechałem, i on zaproponował, bym przenocowałem u niego w domu.

Zapłaciłem rachunek - był całkiem umiarkowany - i zadzwoniłem po taksówkę. Portier zaniósł moją walizkę do samochodu i włożył ją do bagażnika. Dałem mu dwa dolary napiwku i chwilę później taksówka włączyła się w zadziwiająco duży o tej porze ruch.

Kiedy mijaliśmy schludny, nowoczesny motel, zanotowałem w myślach jego położenie. Kilka przecnic dalej poprosiłem kierowcę, aby się zatrzymał. Zapłaciłem mu i

pomaszerowałem w kierunku motelu. Właścicielowi oświadczyłem, że popsuł mi się samochód, kiedy jechałem przez Seattle w interesach, po czym podałem nazwisko James W. Byrd, które wymyśliłem na poczekaniu. Zapłaciłem z góry - osiemnaście dolarów i pięćdziesiąt centów - i z kluczem w rękę udałem się do pokoju numer sześć.

Pokój był miły, jasny i czysty - właśnie taki, o jaki mi chodziło. Niezwłocznie położyłem się do łóżka i wkrótce smacznie spałem. Nie dostaną mnie, powtarzałem sobie, zasypiając, jestem bezpieczny. A jutro oznajmię Barrowsowi, że przechodzę do jego firmy.

Pamiętam, że potem myślałem o Pris i o tym, jak to będzie, kiedy znowu będziemy razem. Wezmę udział w jej wspinaczce do sławy. Będę przy niej, aby obserwować wszystko z bliska. Może weźmiemy ślub. Wyznam jej, co do niej czuję, że ją kocham. Jest pewnie dwa razy piękniejsza, szczególnie teraz, gdy Barrows o nią zadbał. A gdyby Barrows chciał ze mną konkurować, unicestwię go. Rozłożę go na atomy metodą dotąd nieznaną. Nie będzie mi stał na drodze. Nie żartuję.

Myśląc o tym, odpłynąłem w sen. O ósmej obudziło mnie słońce, jasno oświetlające cały

pokój. Nie zaciągnąłem zasłon. Zaparkowane rzędem przed motelem samochody błyszcząły w jego promieniach. Zapowiadał się ładny dzień.

O czym to myślałem wczorajszej nocy? Myśli, które nurtowały mnie, gdy zasypiałem, teraz wróciły. Idiotyczne, szalone myśli o poślubieniu Pris i zamordowaniu Barrowsa - infantylne myśli. Gdy zasypiasz, cofasz się do czasów dzieciństwa. Nie ma co do tego wątpliwości. Zrobiło mi się wstyd.

W zasadzie jednak nie zmieniłem zamiarów. Przyjechałem tu, aby zdobyć Pris, a jeśli Barrows będzie próbował stanąć mi na drodze, gorzko za to zapłaci.

Byłem w amoku, ale nie zamierzałem się wycofać. Ponieważ nastał dzień, górę wzięły zdrowe zmysły. Powędrowałem do łazienki i wziąłem długi, zimny prysznic, ale nawet światło dnia nie osłabiło głębokiego przekonania o własnej racji. Zmieniłem je tylko tu i tam, aż stało się bardziej racjonalne, uzasadnione i pożyteczne.

Po pierwsze, musiałem podejść do Barrowsa w odpowiedni sposób. Musiałem zataić przed nim swoje prawdziwe uczucia, prawdziwe motywy. Musiałem ukryć wszystko, co dotyczyło Pris. Zamierzałem mu powiedzieć, że chcę dla niego pracować, być może przy projektowaniu homunkulusów — oddać na jego usługi całą swoją wiedzę i doświadczenie, jakie nabyłem, pracując przez lata z Maurym i JerOMEM. Ale żadnych uwag na temat Pris, bo gdy spostrzeże bodaj cień zainteresowania z mojej strony, wówczas...

Barrows, jesteś podstępny draniem, powiedziałem w duchu. Nie potrafisz jednak

czytać w moich myślach, a ja nie dam nic po sobie poznać. Jestem zbyt doświadczony, aby się odsłonić.

Wiążąc krawat, zacząłem ćwiczyć przed lustrem. Twarz miałem całkowicie pozbawioną wyrazu; nikt by nie zgadł, że moje serce kąsał, zżerał robak pożądania: miłość do Pris Frauzimmer vel Dworki lub jak się tam ona teraz nazywa.

Oto, co rozumie się przez dojrzałość, pomyślałem, siadając na łóżku, aby wypastować buty. Umieć ukryć swoje prawdziwe uczucia, być w stanie zamienić twarz w maskę.

Umieć oszukać nawet tak wielką szychę jak Barrows. Jeśli to potrafisz, osiągnąłeś dojrzałość. W przeciwnym razie jesteś skończony. W tym kryje się cała tajemnica.

W pokoju był telefon, ale najpierw poszedłem na śniadanie. Zjadłem jajecznicę na szynce, grzanki, wypiliśmy kawę - jednym słowem wszystko, łącznie z sokiem. Potem o dziewiątej trzydzięci wróciłem do pokoju i wyciągnąłem książkę telefoniczną Seattle. Spędziłem sporo czasu, przeglądając spis wszystkich firm Barrowsa, aż w końcu znalazłem taką, w której spodziewałem się go zastać. Następnie wykręciłem numer.

- Northwest Electronics - przywitał mnie pogodny damski głos. - Dzień dobry.

- Czy zastałem pana Barrowsa?

— Tak proszę pana, ale w tej chwili rozmawia przez drugi telefon.

- Poczekam.

Dziewczyna oznajmiła pogodnie:

— Łączę pana z jego sekretarką.

Długa przerwa, po czym w słuchawce znów rozległ się głos kobiety, lecz tym razem o wiele niższy i starzej brzmiący.

- Gabinet pana Barrowsa. Z kim mam przyjemność rozmawiać?

- Jestem umówiony z panem Barrowsem - odpowiedziałem. - Nazywam się Louis Rosen. Wczoraj wieczorem przyleciałem do Seattle z Boise. Pan Barrows mnie zna.

- Proszę chwileczkę poczekać. - Długa przerwa, a potem znowu głos kobiety: - Pan Barrows porozmawia z panem. Proszę, niech pan mówi.

- Halo - rzuciłem do słuchawki.

- Halo - dobiegł mojego ucha głos Barrowsa. - Jak się miewasz, Rosen. Co mogę dla ciebie zrobić? - Sądząc po głosie, był zadowolony.

— Jak się czuje Pris? — zapytałem zaskoczony, że naprawdę z nim rozmawiam.

- W porządku, a jak się ma twój ojciec i brat?

- Dobrze.

— To musi być interesujące mieć brata z twarzą do góry nogami. Żałuję, że nie

mogłem się z nim spotkać. Może wpadniesz do mnie na chwilę, jeśli już jesteś w Seattle. Około pierwszej po południu.

- Około pierwszej - powtórzyłem.

- Tak. Dziękuję i do zobaczenia.

- Barrows - powiedziałem - czy zamierzasz poślubić Pris?

Nie było odpowiedzi.

- Mam zamiar cię zastrzelić - dodałem.

- Och, na Boga.

- Sam, mam ze sobą japońską, w pełni tranzystorową, encefalograficznie nastawną minę przeciwpiechotną. - Oto,

jak myślałem o swoim pistolecie kaliber trzydzieści osiem. -Mam zamiar odpalić ją na obszarze Seattle. Wiesz, co to oznacza?

— Nie, niezupełnie. Encefalografia... to chyba ma coś wspólnego z mózgiem?

— Tak, Sam. Twoim mózgiem. Kiedy byłeś w naszym biurze w Onatrio, Maury i ja nagraliśmy encefalograficzny obraz twojego mózgu. To był błąd z twojej strony, że tam poszedłeś. Mina cię zlokalizuje i wybuchnie. Jak ją odbezpieczyć, nie będzie już odwrotu. Koniec z tobą.

— Jeezuchryście!

— Pris mnie kocha — powiedziałem. — Wyznała mi to jednej nocy, gdy odwoziła mnie do domu. Odczep się od niej albo będziesz skończony. Wiesz, ile ma lat? Chcesz się dowiedzieć?

- Osiemnaście.

Rzuciłem słuchawkę na widełki.

Zabiję go, powtarzałem sobie. Naprawdę go zabiję. On ma moją dziewczynę. Bóg wie, co z nią wyprawia?

Kiedy ponownie wykręciłem numer Barrowsa, usłyszałem ten sam pogodny głos panienki z centrali.

- Northwest Electronics. Dzień dobry.

- Przed chwilą rozmawiałem z panem Barrowsem.

- Och, i przerwano panu? Połączę pana raz jeszcze. Proszę chwilę poczekać.

- Proszę powiedzieć panu Barrowsowi - tłumaczyłem jej -że dosięgnę go moim wyrafinowanym urządzeniem. Powie mu to pani? Do widzenia. — Ponownie odłożyłem słuchawkę.

Otrzyma wiadomość, uznałem. Może powinienem mu powiedzieć, aby przyprowadził

tutaj Pris, lub coś w tym rodzaju. Ciekawe, czy zrobiłby to, aby ocalić własną skórę. Niech cię diabli, Barrows!

Jestem pewny, że by to zrobił, przekonywałem sam siebie. Oddałby ją, aby się uratować. W każdej chwili mogę ją tu mieć z powrotem. Ona dla niego nic nie znaczy. Jeszcze jedna ładna młoda kobietka. Tylko ja kocham ją za to, kim jest, za jej wyjątkowość.

Kolejny raz wykręciłem numer Barrowsa.

- Northwest Electronics. Dzień dobry.

- Proszę mnie znowu połączyć z panem Barrowsem. Ciąg trzasków.

- Panna Wallace, sekretarka pana Barrowsa. Z kim rozmawiam?

- Tu Louis Rosen. Niech mnie pani ponownie połączy z Samem.

Czekałem.

- Halo, Louis - usłyszałem głos Sama Barrowsa. - Narobiłeś niezłego zamieszania. - Zachichotał. - Połączyłem się z jednostką wojskową z wybrzeża i oni potwierdzili, że encefalograficzna mina rzeczywiście istnieje. W jaki sposób wpadła w twoje ręce? Założę się, że w rzeczywistości jej nie masz.

— Oddaj mi Pris - powiedziałem — a cię oszczędzę.

- Daj spokój, Rosen.

- Nie żartuję. - Głos mi się trząsał. - Myślisz, że to gra? Wszystko postawiłem na jedną kartę. Kocham ją i nic się dla mnie nie liczy.

- Jezu Chryste.

- Zrobisz to?! - zawołałem. - Czy mam przyjść i cię załatwić? - Głos mi się załamał. Zacząłem chrypieć. - Mam tutaj ze sobą wszystkie rodzaje broni, jakie mi zostały ze służby wojskowej za granicą. Mówię serio! - Bardziej opanowana część mego umysłu pomyślała: Ten drań odda mi ją. Wiem, co z niego za tchórz.

— Uspokój się — powiedział Barrows.

- W porządku, idę do ciebie, i to z całym nowoczesnym arsenałem, jaki mam przy sobie.

- Posłuchaj, Rosen. Przypuszczam, że to Maury Rock namówił cię do tego. Rozmawiałem z Dave'em i on zapewnił mnie, że nie ma mowy o gwałcie w rozumieniu prawa, jeśli...

- Zabiję cię, jeśli ją zgwałciłeś! - wrzasnąłem do słuchawki.

Gdzieś z zakamarków mojego umysłu opanowany, sardoniczny głos zaśmiał się głupawo i powiedział: Zadaliśmy mu bobu. Opanowany, sardoniczny głos roześmiał się serdecznie. Wyraźnie świetnie się bawił.

- Słyszysz mnie?! - ryknąłem.

- Jesteś chory psychicznie, Rosen - odparł Barrows. - Mam zamiar zadzwonić do Maury'ego. Przynajmniej on jest normalny. Posłuchaj, zadzwonię do niego i powiem mu, że Pris wraca do Boise.

- Kiedy?!

- Dziś, ale nie z tobą. Myślę, że powinieneś się udać do państwowego psychiatry. Jesteś bardzo chory.

- Dobra - powiedziałem ciszej. - Dzisiaj, ale zostanę tu-taj, dopóki Maury nie zadzwoni i nie powie, że Pris jest w Boise.

Uff.

Chwiejnym krokiem przeszedłem od telefonu do łazienki i obmyłem twarz zimną wodą.

A więc nie kontrolowane i irracjonalne zachowanie opłaciło się! Nauczyć się czegoś takiego w moim wieku! Odzyskałem Pris! Tak go przestraszyłem, że uwierzył, iż ma do czynienia z wariatem. A może miał rację? Biorąc pod uwagę to, jak się zachowałem, rzeczywiście straciłem głowę. Utrata Pris doprowadziła mnie do szaleństwa.

Uspokoiwszy się, wróciłem do telefonu i zadzwoniłem do fabryki w Boise, aby porozmawiać z Maurym. - Pris wraca do domu. Zadzwoń do mnie, gdy tylko się zjawi. Ja tu zostaję. Wystraszyłem Barrowsa i jestem od niego mocniejszy.

- Uwierzę, jeśli ją tu zobaczę - powiedział Maury.

- Facet boi się mnie jak ognia. Skamieniał dosłownie ze strachu... Nie mógł się doczekać, kiedy się jej pozbędzie.

Nie zdajesz sobie sprawy, w jakiego wściekłego maniaka zamieniłem się pod wpływem stresu. - Podałem mu numer telefonu do motelu.

- Czy doktor Horstowski dzwonił do ciebie wczoraj w nocy?

- Owszem. Ale facetowi brak kompetencji. Miałeś rację, mówiąc, że korzystanie z jego usług to tylko strata pieniędzy. Czuję do niego jedynie pogardę i po powrocie mam zamiar wygarnąć mu to prosto w twarz.

- Podziwiam twoją zimną krew - powiedział Maury.

— Masz rację, że ją podziwiasz. Tej zimnej krwi zawdzięczamy powrót Pris do domu. Maury, ja ją kocham.

Zapadła długa chwila ciszy.

- Posłuchaj, ona jest jeszcze dzieckiem - odezwał się w końcu Maury.

- Zamierzam się z nią ożenić. Nie jestem drugim Samem Barrowsem.

- Nic mnie nie obchodzi, kim lub czym jesteś! - krzyczał Maury. - Nie możesz jej poślubić, to jeszcze dziecko! Musi wrócić do szkoły! Odwal się od mojej córki, Louis!

- My się Kochamy. Nie możesz nam stanąć na drodze. Zadzwoń do mnie, gdy tylko postawi nogę w Boise. W przeciwnym razie zabiję i Sama K. Barrowsa, i ją, a może także siebie. Nie zmuszaj mnie do tego.

- Louis - powiedział ostrożnie i powoli Maury - potrzebujesz pomocy Federalnego Biura Zdrowia Psychicznego, przysięgam na Boga, że to prawda. Za żadne skarby nie pozwoliłbym Pris na ślub z tobą. Szkoda, że się w to wtrąciłeś. Szkoda, że pojechałeś do Seattle. Już wolę, żeby została z Barrowsem. Lepiej dla niej, żeby była z Barrowsem niż z tobą. Co ty jej możesz ofiarować? Spójrz, co ktoś taki jak Sam Barrows może dać dziewczynie!

- Zamienił ją w prostytutkę. Oto, co jej ofiarował.

- Nic mnie to nie obchodzi! - krzyknął Maury. - To tylko takie gadanie, słowa, nic więcej. Wracaj do Boise. Z naszą spółką koniec. Wynoś się ze spółki R & R. Zadzwońię do Sama Barrowsa i powiem mu, że nie mam z tobą nic wspólnego, że chcę, aby zatrzymał Pris przy sobie.

- Niech cię diabli - warknąłem.

— Ty moim zięciem? Myślisz może, że wydałem ją na świat, by się tak wyrazić, po to, aby wyszła za ciebie za mąż? Śmiechu warte. Jesteś zerem! Wynoś się stąd!

- Wielka szkoda - powiedziałem, choć czułem się jak sparaliżowany. - Chcę się z nią ożenić - powtórzyłem.

— Czy powiedziałeś Pris, że chcesz się z nią ożenić?

- Jeszcze nie.

- Napluje ci w twarz.

- I co z tego?

- Co z tego? To z tego, że nie ma nikogo, kto by cię chciał. Komu jesteś potrzebny? Chyba tylko twojemu upośledzonemu bratu i stetryczalnemu ojcu. Porozmawiam z Abrahamem Lincolnem. On mi powie, jak raz na zawsze zakończyć nasz związek. - W słuchawce stuknęło. Rozłączył się.

Nie mogłem w to uwierzyć. Siedziałem na nie pościelonym łóżku, wpatrując się w podłogę. A więc Maury, podobnie jak Pris, chciał sławy, wielkich pieniędzy. Zła krew, pomyślałem. To tkwi w genach. Powinienem był to wiedzieć. Skądś musiało się to wziąć.

Co mam teraz zrobić? - zadałem sobie pytanie.

Palnąć sobie w łeb i wszystkich uszczęśliwić. Dadzą sobie radę beze mnie, jak mówił Maury.

Ale nie miałem na to ochoty. Mój chłodny i opanowany głos wewnętrzny, głos instynktu, powiedział „nie”. Walcz z nimi, mówił. Przyjmij ich wyzwanie... Ich wszystkich: Pris, Maury'ego, Sama Barrowsa, Stantona, Lincolna. Wstań i walcz.

Przykra sprawa dowiedzieć się od swojego współnika, co naprawdę o tobie myśli. Boże, cóż to za okropność - prawda. Cieszę się, że się tego dowiedziałem, powiedziałem do siebie w duchu. Nic dziwnego, że Maury z takim entuzjazmem zaangażował się w projekt homunkulusa-niańki pod postacią żołnierza wojny secesyjnej. Cieszył się, że jego córka wyjechała z Samem K. Barrowsem i została jego kochanką. Dumny był z tego. On również przeczytał Marjorie Morningstar.

Teraz wiem, na czym opiera się ten świat, pomyślałem. Zrozumiałem, jacy są ludzie, czego oczekują od życia. To wystarczy, aby z miejsca paść trupem lub co najmniej popełnić samobójstwo.

Ale nie poddam się, powiedziałem sobie. Pragnę Pris i zamierzam wyrwać ją z łap Maury'ego, Sama Barrowsa i całej reszty. Pris jest moja, należy do mnie. Nie obchodzi mnie, co myśli ona, oni lub ktokolwiek. Nie obchodzi mnie, na jaką szatańską nagrodę mają apetyt. Pewny jestem jedynie tego, co podpowiada mi mój głos wewnętrzny. Mówi mi: Odbierz im Pris Frauenzimmer i ożeń się z nią. Od początku jej przeznaczeniem było zostanie panią Louisową Rosen z Onatrio w Oregonie.

Taki złożyłem ślub.

Wziąłem słuchawkę do ręki i jeszcze raz wykręciłem numer Barrowsa.

- Northwest Electronics. Dzień dobry.

— Proszę mnie znowu połączyć z panem Barrowsem. Tu Louis Rosen.

Przerwa, po czym głębszy głos kobiecy oznajmił:

— Panna Wallace.

— Chcę rozmawiać z Samem.

- Pan Barrows wyszedł. Kto mówi?

- Louis Rosen. Proszę przekazać panu Barrowsowi, żeby pannę Frauenzimmer...

- Kogo?

- Niech będzie Dworzę. Proszę powiedzieć Barrowsowi, żeby wsadził ją do taksówki i przywiózł do mnie do motelu. -Podałem jej adres odczytany z breloczka przy kluczach. -

Proszę mu powiedzieć, aby nie wysyłał jej samolotem do Boise. Niech mu pani powie, że jeśli tego nie zrobi, przyjdę do niego i sam ją zabiorę.

W słuchawce zapanowała cisza. Potem panna Wallace powiedziała:

- Nic mu nie mogę powiedzieć, bo go tu nie ma, poszedł do domu. Mówię prawdę.

- Zadzwoń do niego do domu. Proszę mi podać jego numer.

Piskliwym głosem podała mi numer. Już go znałem; wczoraj w nocy pod niego dzwoniłem.

Postukałem w widelki i wykręciłem numer. Telefon odebrała Pris.

- Tu Louis - odezwałem się. - Louis Rosen.

- Na Boga - rzekła Pris zaskoczona. - Gdzie jesteś? Słyszać cię tak dobrze. -

Wydawała się zdenerwowana.

- Jestem w Seattle. Przyleciałem wczoraj liniami TWA, aby cię uratować przed Samem Barrowsem.

- O mój Boże.

- Posłuchaj, Pris. Nie ruszaj się z miejsca. Zaraz do ciebie przyjeżdżam. Dobrze? Zrozumiałaś?

- Och, nie - wyjąkała. - Louis... - Jej głos stwardniał. -Poczekaj chwilę. Dziś rano rozmawiałam z doktorem Horstowskim. Opowiedział mi o tobie i twoim ataku katatonii. Ostrzegł mnie przed tobą.

- Powiedz Samowi, aby wsadził cię do taksówki i tu przywiózł - powiedziałem.

- Myślałam, że to dzwoni Sam.

Jeśli ze mną nie pójdziesz - rzekłem - to cię zabiję.

- Nie, wcale nie - odparła twardym i opanowanym głosem. Odzyskała charakterystyczną dla siebie zimną krew. -Spróbuj tylko to zrobić, ty pospolity fagacie. Zatkanę mnie.

— Posłuchaj... - zacząłem.

— Ty robolu, ty bęcwale, niech cię szlag, jeśli myślisz, że możesz wsadzać nos w nie swoje sprawy. Wiem, co knujesz. Taka dupa wołowa, taka pierdoła jak ty nie potrafi zaprojektować homunkulusa beze mnie, nieprawdaż? Więc chcesz, żebym wróciła. Idź do diabła. A jeśli kiedykolwiek spróbujesz się do mnie zbliżyć, narobię wrzasku, że mnie gwałcisz lub mordujesz i resztę życia spędzisz w pudle. Tak więc przemyśl to.

Umilkła, ale nie rozłączyła się. Słyszałem, że wciąż tam jest. Czekala, z perwersyjną przyjemnością, aby usłyszeć, co mam - jeśli w ogóle coś mam - do powiedzenia.

- Kocham cię - wyznałem.

- Idź się wypchać. O, Sam wrócił. No już, wyłączaj się. I nie mów do mnie Pris. Mam na imię Pristine, Pristine Dworka. Zrób mi przysługę i wracaj do Boise dalej grzebać przy swoim biednym, małym, lichym, tandetnym homunkulusie.

Znów umilkła, czekając na odpowiedź, a mnie nie przychodziło do głowy nic, co mógłbym powiedzieć, w każdym razie nic, co byłoby warte powiedzenia.

- Żegnaj, ty pospolite, biedne, brzydkie nic - dodała rzeczowym głosem. -1 proszę cię, nie zawracaj mi w przyszłości głowy swoimi telefonami. Zachowaj je dla jakiejś tłustej baby, która czeka, abyś ją obłapywał. Oczywiście pod warunkiem, że uda ci się znaleźć jakąś dostatecznie tłustą, wstrętną i pospolitą.

Tym razem w telefonie stuknęło i Pris wreszcie się rozłączyła, a ja odetchnąłem z ulgą. Trząsałem się i drżałem, odsuwając się od telefonu, jak najdalej od niej, od jej chłodnego, zjadliwego, oskarżycielskiego, a zarazem bliskiego głosu.

Pris, pomyślałem, kocham cię. Dlaczego? Cóż takiego zrobiłem, żeby się w tobie zadurzyć? Jakie pokrętne siły to sprawiły?

Usiadłem na łóżku i zamknąłem oczy.

Rozdział czternasty

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko wracać do Boise.

Zostałem pokonany — nie przez potężnego, doświadczonego Sama K. Barrowsa, nie przez mojego współnika Maury'ego Rocka, ale przez osiemnastoletnią Pris. Nie miałem po co zostawać w Seattle.

Co mnie czeka? Powrót do spółki R & R, zawarcie pokoju z Maurym, podjęcie normalnych czynności w miejscu, w którym je przerwałem? Powrót do pracy nad nałką - żołnierzem z czasów wojny secesyjnej? Do pracy pod okiem surowego, opryskliwego i skorego do gniewu Edwina M. Stan-tona? Do ciągłego wysłuchiwanie czytanych na głos przez Lincolna urywków z Kubusia Puchatka i Piotrusia Pana? Znow poczuć zapach cygar marki Corina Lark, a w chwilę później słodszy woń palonych przez ojca A & C. Świat, który opuściłem, fabryka elektronicznych organów i klawikordów w Boise, biuro w Ontario...

Poza tym zawsze istniała możliwość, że Maury mnie nie przyjmie, że nie żartował, mówiąc o zerwaniu naszej współpracy. Mógłbym więc zostać pozbawiony nawet tego monotonnego świata, do którego przywykłem i który opuściłem; nie miałbym nawet po co wyglądać powrotu do niego.

Może właśnie teraz nadeszła ta chwila. Chwila, aby wyciągnąć pistolet i palnąć sobie w łeb. Zamiast wracać do Boise.

Funkcje metaboliczne mojego organizmu to przyspieszały, to spowalniały; rozpadałem się pod wpływem siły odśrodkowej i jednocześnie błdziłem po omacku, starając się uchwycić wszystkiego, co znajdowało się w pobliżu. Pris usidliła mnie, a w tej samej chwili, w której to się stało,

odepchnęła, odrzuciła w nagłym ataku złości i obrzydzenia. Wyglądało to tak, jakby magnes przyciągał opiłki, a jednocześnie je odpychał. Wpadłem w śmiertelne drgania. Tymczasem Pris parła naprzód, nie zważając na nic. Wreszcie pojąłem. Zostałem skazany na pokochanie czegoś, co stoi poza życiem: okrutnej, zimnej, jałowej rzeczy -Pris Frauenzimmer. Już lepiej byłoby znieawidzić cały świat. W świetle beznadziejności mojej sytuacji zdecydowałem się na podjęcie jeszcze jednej próby. Zanim ostatecznie się poddam, spróbuję wezwać na pomoc homunkulusa, sobowtóra Lincolna. Pomógł nam wcześniej, być może zdoła po-móc mi teraz.

- Tu znowu Louis - odezwałem się, gdy uzyskałem połączenie z Maurym. - Proszę cię, abys zaraz zawiózł Lincolna na lotnisko i załatwił mu miejsce na lot rakieta do Seattle. Chcę

go pożyczyć na jakieś dwadzieścia cztery godziny. Maury rozpoczął gwałtowną, gorączkową sprzeczkę. Klóciliśmy się niemal pół godziny. W końcu ustąpił. Kiedy odkładałem słuchawkę, miałem jego obietnicę, że przed zapadnięciem zmroku Lincoln znajdzie się na pokładzie boeinga 900 lecącego do Seattle.

Wyczerpany rozmową, położyłem się, aby odpocząć. Jeśli Lincoln nie zdoła sam odnaleźć motelu, to prawdopodobnie i tak nie będzie z niego żadnego pożytku... Poleżę sobie i odpocznę.

Na ironię zakrawał fakt, że Lincolnna zaprojektowała Pris. Nareszcie zwróci nam się część poniesionych kosztów, powiedziałem do siebie w duchu. Jego budowa kosztowała nas sporo forsy, a interes z Barrowsem nie wypalił; jedyne, co robi, to siedzi przez cały dzień, czyta na głos i chichocze. Gdzieś z zakamarków mojego umysłu wygrzebałem anegdotę na temat kontaktów Abe'a z kobietami. Dotyczyła ona jakiejś dziewczyny, w której zadurzył się młody Lincoln. Z wzajemnością? Do licha, nie mogłem sobie przypomnieć, jak to się skończyło. Udało mi się jedynie wyłowić z pamięci, że sporo wycierpiał z tego powodu.

To zupełnie tak samo jak ze mną, pomyślałem. Lincoln i ja mamy ze sobą wiele wspólnego: kobiety dały nam się mocno we znaki. Powinien mnie więc zrozumieć.

Co mam robić do czasu przybycia homunkulusa? Poza-
stanie w motelu było ryzykowne... Może pójść do biblioteki
publicznej w Seattle i poczytać o zalotach młodego Lincolnna? Powiedziałem
kierownikowi motelu, gdzie mnie znajdzie, jeśli będzie mnie szukał ktoś o wyglądzie
Abrahama Lincolnna. Potem zadzwoniłem po taksówkę i ruszyłem w drogę. Miałem mnóstwo
czasu do zabicia, była dopiero dziesiąta rano.

Jeszcze nie wszystko stracone, powtarzałem sobie, gdy kierowca wiozł mnie przez
zatłoczone ulice do biblioteki. Tak łatwo się nie poddam!

Na pewno nie wtedy, kiedy w wydobywaniu z tarapatów będzie mi pomagał sam
Abraham Lincoln. Jeden z najlepszych prezydentów w historii Ameryki, a także znakomity
prawnik. Czy można żądać więcej?

Jeśli istnieje ktoś, kto może mi pomóc, to jest nim Lincoln.

To, co przeczytałem o Lincolnie w książkach, jakie znalazłem w bibliotece publicznej
w Seattle, zachwiało nieco moim dobrym samopoczuciem. Według nich dziewczyna, w której
zakochał się Abe Lincoln, odtrąciła go. Po tym zdarzeniu wpadł w taką depresję, że na
miesiące pograżył się w stanie melancholii, graniczącej z chorobą psychiczną. Był bliski
skończenia ze sobą i choć do tego nie doszło, incydent ten pozostawił emocjonalną bliznę na

resztę jego życia.

Wspaniale, pomyślałem ponuro, odkładając książki. Tylko tego mi brakowało. Szukam rady u kogoś, kto jest jeszcze większym nieudacznikiem w sprawach sercowych niż ja.

Ale było za późno. Homunkulus był już w drodze do Boise.

Może obaj popełnimy samobójstwo, myślałem, opuszczając bibliotekę. Przejrzymy kilka starych listów miłosnych, a potem - paff! - wystrzelimy z mojej trzydziestki ósemki.

Z drugiej strony, później odnosił sukcesy. Został wybrany na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Płynął stąd dla mnie wniosek, że stojąc na krawędzi samobójstwa z powodu kobiety, można się z tego podźwignąć, choć oczywiście wspomnienie tego wydarzenia nigdy się nie zaciera w pamięci. Kształtuje ono resztę życia; człowiek staje się głębszy, bardziej skory do rozmyślań. Dostrzegłem tę melancholię u Lincolna. Prawdopodobnie zejść do grobu jako człowiek podobnego pokroju.

To jednakże zajmie lata, a teraz muszę coś postanowić.

, Chodziłem po Seattle tak długo, aż znalazłem księgarnię, w której sprzedawano książki w miękkich okładkach, Kupiłem wielotomową wersję biografii Lincolna autorstwa Carla Sandburga. Zabrałem ją do pokoju w motelu. Wygo-dnie się rozsiadłem, postawiłem koło siebie sześć butelek piwa, wielką torbę chipsów i zabrałem się do czytania. Szczególnie dokładnie zapoznałem się z fragmentami, które dotyczyły okresu dojrzewania Lincolna i jego związku ze wzmiankowaną dziewczyną, czyli Ann Rutledge. Ale nie wiadomo dlaczego, książka Carla Sandburga zaciemniała obraz sytuacji; wydawała się omijać sedno sprawy. Odłożyłem więc książki, piwo, chipsy i ponownie wezwałem taksówkę, aby udać się do biblioteki i poszukać jeszcze innych informacji. Było wczesne popołudnie.

Romans z Ann Rutledge. W 1935 roku umarła na malarię. Miała dziewiętnaście lat. Po jej śmierci Lincoln popadł w stan opisany przez Encyklopedię Britannica jako „chorobliwą depresję, która dała początek sugestiom, że otarł się o chorobę umysłową”. Lincoln najwidoczniej przeraził się tej strony swego narzeczeństwa, co objawiło się kilka lat później w czasie najbardziej tajemniczego wydarzenia w jego życiu. Te „kilka lat później” oznaczało rok 1841.

W roku 1840 zaręczył się z ładną dziewczyną nazwiskiem Mary Todd. Miał wtedy dwadzieścia dziewięć lat. Jednak-że pierwszego stycznia 1841 roku, w dzień ślubu, zerwał nagle zaręczyny. Panna młoda miała na sobie suknię ślubną i welon; wszystko było przygotowane. Ale Lincoln nie pojawił się. Przyjaciele poszli go szukać, a gdy go znaleziono, wydawało się, że postradał zmysły. Bardzo powoli wracał do siebie. Dwudziestego trzeciego

stycznia napisał do swojego przyjaciela Johna T. Stuarta:

Jestem dzisiaj najniezwyklejszym z żyjących ludzi. Gdyby to, co czuję, rozdzielić równo między całą rodzinę ludzką, nie byłoby ani jednej pogodnej twarzy na świecie. Trudno mi powiedzieć, czy mój stan kiedykolwiek się poprawi; mam fatalne przeczucie, że nie. Niepodobna tak dalej żyć: mam wrażenie, że muszę albo umrzeć, albo całkowicie się otrząsnąć.

A w poprzednim liście do Stuarta, datowanym 20 stycznia, Lincoln napisał:

Nie dalej jak kilka dni temu dałem najbardziej niegodny pokaz hipochondrii i wskutek tego doszedłem do przekonania, że koniecznie potrzebuję porady dr. Henry'ego. Jeśli nie dostanie on tej posady, opuści Springfield. Rozumiesz więc, jak bardzo jestem zainteresowany tą sprawą.

„Sprawą” była kwestia nominacji dr. Henry'ego na stanowisko poczmistrza w Springfield, aby mógł być w pobliżu i opiekować się Lincolnem. Innymi słowy, Lincoln był wówczas o krok od popełnienia samobójstwa lub zapadnięcia na chorobę psychiczną, albo jednego i drugiego.

Siedząc w bibliotece publicznej w Seattle, otoczony podręcznikami, doszedłem do wniosku, że Lincoln cierpiał na to, co obecnie nazywa się psychozą maniacko-depresyjną.

Najciekawszą uwagę znalazłem w Encyklopedii Britannica. Brzmiała ona następująco:

Zawsze był nieco oderwany od życia, co sprawiało, że nie był skończonym realistą, choć cechę tę tak przesłaniał rzekomy realizm, że mniej spostrzegawczy ludzie jej nie dostrzegali. Nie dbał jednak, czy ludzie to widzą czy nie; był skłonny poddawać się biegowi spraw, pozwalając okolicznościom grać główną rolę w wytyczaniu kierunku, nie zatrzymując się, by dzielić włos na czworo w kwestii tego, czy jego ziemskie więzi wynikają z prawdziwie realistycznego ich postrzegania, czy też są w mniejszym lub większym stopniu przybliżeniem duchowych wyobrażeń.

Następnie autor hasła przeszedł do sprawy Anny Rutledge i dodał:

Zdarzenie to ujawniło jego niezwykłą wrażliwość, a także skłonność do popadania w melancholię i reakcji emocjonalnych, które do końca jego dni pojawiały się i zanikały na przemian z gwałtownymi przyływami euforii.

Później jego przemówienia polityczne charakteryzował zgryźliwy sarkazm, oznaka - co odkryłem po dokładniejszych badaniach - psychozy maniacko-depresyjnej. Ponadto występowanie „gwałtownej euforii” i „melancholii” jest podstawą klasyfikacji psychozy tego typu.

Moją diagnozę podważyła jednak kolejna przerażająca uwaga:

Powściągliwość, przeradzająca się z czasem w chorobliwą skrytość, była jedną z niezmiennych cech jego charakteru.

Oraz ta:

Warto także wspomnieć o jego predyspozycjach do tego, co Stevenson nazwał „słodkim nieróbstwem”.

Najbardziej przerażający był w tym wszystkim właśnie ów brak zdecydowania, nie była to bowiem oznaka psychozy maniakalno-depresyjnej, lecz symptom - jeśli w ogóle można to nazwać symptomem - psychozy introwertywnej, czyli schizofrenii.

Wybiła siedemnasta trzydzieści. Czas na obiad. Kości mi zeszytniały i rozboleła głowa. Zwróciłem książki, podziękowałem bibliotekarzowi i wyszedłem na zimną, wietrzną ulicę w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłbym coś zjeść.

Rozumiałem teraz, że poprosiłem Maury'ego o skorzystanie z usług jednego z najbardziej skomplikowanych ludzi w historii. Jedząc tego wieczora obiad w restauracji — nawiasem mówiąc, bardzo dobry obiad — przeżuwałem w myślach tę kwestię.

Lincoln był dokładnie taki sam jak ja. Równie dobrze mógłbym czytać własną biografię. Pod względem psychologicznym byliśmy jak dwie krople wody, jeśli więc uda mi się zrozumieć jego, zrozumiem również siebie.

Lincoln do wszystkiego podchodził niezwykle poważnie. Mógł być oderwany od życia, ale nie był pozbawiony emocji — wręcz przeciwnie. Był zatem odwrotnością Pris - dziewczyny zimnej, o schizoidalnej osobowości. Na twarzy miał wypisany smutek i emocjonalną empatię. Naprawdę bolał z powodu wojny i każdego straconego życia.

Trudno więc było uwierzyć, że to, co Britannica nazywała „oderwaniem od życia”, było w efekcie oznaką schizofrenii. To samo dotyczyło jego braku zdecydowania. W dodatku, na podstawie osobistych z nim kontaktów - a mówiąc dokładniej z jego elektronicznym sobowtórem - wyrobiłem sobie własną opinię. Nie zauważyłem u homunkulusa tego wyobcowania, odmienności, którą dostrzegałem u Pris.

Czułem do Lincolna spontaniczną sympatię, miałem do niego zaufanie. Uczucia, jakie żywiłem do Pris, były dokładnym przeciwieństwem sympatii i zaufania do Lincolna. Była w nim jakaś wrodzona dobroć, ciepło i człowieczeństwo, słowem — wrażliwość. Z kolei na podstawie doświadczeń nabytych w kontaktach z Pris wiedziałem, że wrażliwość nie jest cechą osobowości schizoidalnej. Lincoln wycofywał się, aby znaleźć bezpieczne miejsce, z którego mógł widzieć innych ludzi, obserwować ich w sposób naukowy, bez wystawiania się na ryzyko. Najistotniejsze dla kogoś takiego jak Pris było zachowanie dystansu. Najbardziej obawiała się - jak rozumiałem - bliskich kontaktów z innymi ludźmi. Ten strach wynikał stąd,

że była podejrzliwa i przypisywała ludziom fałszywe motywy. Byliśmy zupełnie inni. Zrozumiałem, że w każdej chwili może się coś w niej przestawić i stanie się paranoikiem. Nie wiedziała nic o prawdziwej naturze człowieka, brakowało jej codziennych kontaktów z innymi ludźmi, które w młodości były solą życia Lincolna. W ostatecznym rozrachunku to różniło ich najbardziej. Lincoln był świadom paradoksów ludzkiej duszy, znał jej mocne i słabe strony, żądze i szlachetność - słowem wszystkie te osobliwe elementy, które składają się na nieskończoną różnorodność typów ludzkich. Lubił sobie po-leniuchować. Pris miała nieprzemakalne, sztywne, schematyczne poglądy na ludzkość. I żyła w tej abstrakcji.

Nic dziwnego, że tak trudno było do niej dotrzeć.

Skończyłem obiad, zostawiłem napiwek kelnerowi, zapłaciłem rachunek i znów znalazłem się na dworze: na pogrążonej w ciemnościach ulicy. Dokąd teraz? Z powrotem do motelu. Rozejrzałem się za taksówką i wkrótce jechałem przez miasto.

Kiedy dotarłem na miejsce, zauważyłem światło w oknach mojego pokoju. Kierownik wyszedł z biura i przywitał się ze mną.

- Ma pan gościa. Mój Boże, miał pan rację, on naprawdę wygląda jak Lincoln. Co to, szykujecie jakiś kawał? Wpuściłem go do pańskiego pokoju.

- Dziękuję - powiedziałem i poszedłem do siebie.

W środku, wygodnie rozparty na krześle, z nogami wyciągniętymi przed siebie, siedział Lincoln. Nie zauważył, że wszedłem, tak go pochłoneła biografia Carla Sandburga. Obok niego na podłodze stała mała płócienna torba -jego bagaż.

- Panie Lincoln — odezwałem się.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się do mnie. - Dobry wieczór, Louis. - Co pan sądzi o książce Sandburga? - Miałem za mało czasu, aby wyrobić sobie opinię. - Za-mknął i odłożył książkę, zaznaczywszy przedtem miejsce, w którym skończył czytać. - Maury powiedział mi, że jesteś w poważnych tarapatkach i potrzebujesz mojej obecności oraz pomocy. Mam nadzieję, że nie za późno wkroczyłem na scenę. - Nie, przybył pan w sam raz. Jak się panu podobał lot

z Boise?

— Zdziwiło mnie szybkie przesuwanie się krajobrazu w dole. Ledwo się wznieśliśmy, a już lądowaliśmy tutaj. A pastereczka powiedziała mi, że przebyliśmy ponad tysiąc

mil. Zdziwiłem się.

- Ach, stewardesa .

- Tak, ale ze mnie głupiec.

- Napije się pan czegoś? - Wskazałem na piwo, ale homunkulus przecząco potrząsnął głową.

- Raczej dziękuję. Przedstaw mi swoje problemy, Louis, to od razu pomyślimy, co możemy zrobić. - Z życzliwym wyrazem twarzy homunkulus czekał na to, co mam do powiedzenia.

Usiadłem naprzeciw niego. Ale zawahałem się. Po tym, co przeczytałem dzisiaj, zastanawiałem się, czy wciąż chcę skorzystać z rady homunkulusa. Nie dlatego, żebym nie miał zaufania do jego opinii, ale dlatego, że moje problemy mogłyby rozdrapać dawne rany. Moja sytuacja zbyt przypominała przejścia Lincolna z Ann Rutledge.

- Zaczynaj, Louis.

- Należę sobie najpierw piwa. - Zmitrężyłem chwilę przy otwieraniu puszki, nie wiedząc, co mam robić.

- Być może to ja powinienem zacząć. Podczas podróży z Boise zastanawiałem się nad sytuacją. - Pochylił się, otworzył torbę i wyciągnął z niej kilka kartek liniowanego papieru gęsto zapisanych ołówkiem. - Jak silny nacisk chcesz wyrzucić na pana Barrowsa? Czy taki, aby z własnej woli odesłał pannę Frauenzimmer, nie bacząc na jej uczucia?

Skinąłem głową.

- W takim razie - powiedział homunkulus - zadzwoń, proszę, do tej osoby. - Podał mi kartkę papieru, na której widniało nazwisko:

SILVIA DEVORAC

Nie mogłem sobie za żadne skarby przypomnieć, skąd je znam. Na pewno słyszałem je wcześniej, ale nie miałem pojęcia, w jakim kontekście.

- Powiesz jej - ciągnął cicho homunkulus - że chcesz się z nią spotkać i przedyskutować pewną delikatną sprawę. Związaną z panem Barrowsem... to wystarczy. Natychmiast zaprosi cię do domu.

- A co potem?

- Pójdę z tobą. Myślę, że nie będzie z tym problemu. Nie musisz się uciekać do naciągania faktów. Wystarczy, jeśli opiszesz swój związek z Pris. Powiesz, że reprezentujesz jej ojca i że jesteście silnie związani emocjonalnie.

Głowiłem się nad rozwikłaniem zagadki.

- Kim jest ta Silvia Devorac?

- To polityczna przeciwniczka Barrowsa. Ostro krytykuje projekt Wielka Błada Łysina, osiedle mieszkaniowe, którego Barrows jest właścicielem i które przynosi mu ogromne dochody z czynszów. Devorac chętnie angażuje się w realizację społecznych

inicjatyw, pod warunkiem, że projekt jest tego wart. - Homunkulus podał mi garść wycinków prasowych z gazet ukazujących się w Seattle. -Otrzymałem to dzięki pomocy pana Stantona. Pani Devorac jest niezmordowana. A do tego całkiem bystra z niej osóbką.

- Chce pan powiedzieć, że ta sprawa z Pris, to, że jest niepełnoletnia i znajduje się pod kuratelą Federalnego...

- Chcę powiedzieć, Louis, że pani Devorac będzie wiedziała, jaki zrobić użytek z informacji, które jej dostarczysz.

Zapadła chwila milczenia.

- Czy to się opłaci? - spytałem. Czuję się znużony. -Podjęcie takich działań...

- Tylko Bóg może być pewien - oznajmił homunkulus.

-A jaka jest pańska opinia?

- Pris jest kobietą, którą kochasz. Czyż nie to jest sedno sprawy? Jest dla ciebie coś ważniejszego? Czy nie zaryzykowałeś własne życie, aby wygrać te zawody? A nawet życie innych, jeśli Maury się nie myli.

— Do licha - zakląłem — w Ameryce miłość otoczona jest kultem. Traktujemy ją zbyt poważnie. Praktycznie rzecz

biorąc, jest ona dla nas religią narodową.

Homunkulus nie odpowiedział. Bujał się tylko na krześle.

- Ja traktuję ją bardzo poważnie - dodałem.

- W takim razie tę właśnie kwestię musisz rozważyć, a nie to, czy inni podchodzą do tego poważnie. Uważam, że ograniczanie się do świata, w którym jedyną wartością jest wysokość czynszów, jak robi pan Barrows, jest nieludzkie. Czyż nie stoi on po przeciwnej stronie barykady co ty, Louis? Barrows nie traktuje poważnie swoich uczuć do panny Pris: tym właśnie go zwyciężysz. A czy to w porządku? Czy tak będzie bardziej moralnie lub racjonalnie? Gdyby jego uczucia były równie szczerze, jak twoje, pozwoliłby pani Devorac uzyskać urzędowy wyrok; poślubiłby Pris i w swoim mniemaniu zrobiłby lepszy interes. Ale nie uczyni tego i w ten sposób pozbawi się człowieczeństwa. Ty byś tak nie postąpił. Ty byś wszystko zaryzykował w imię miłości, co zresztą robisz. Osoba, którą kochasz, liczy się dla ciebie ponad wszystko i jestem przekonany, że to ty masz rację, a on się myli.

- Dziękuję - powiedziałem. - Jest pan wnikliwym człowiekiem i zrozumiał pan, co naprawdę jest w życiu ważne.

Muszę panu pogratulować. Poznałem wielu ludzi, ale my-ślę, że nikt poza panem nie dotarł do samej istoty rzeczy. Homunkulus wyciągnął rękę i klepnął mnie po ramieniu.

- Myślę, Louis, że istnieje między nami pewna więź. Mamy ze sobą wiele wspólnego.

— Zdaję sobie sprawę — rzekłem — iż jesteście bardzo podobni.
Obaj byliście głęboko poruszeni.

Rozdział piętnasty

Przez jakiś czas Lincoln instruował mnie, co dokładnie powinienem powiedzieć przez telefon do pani Devorac. Do znudzenia powtarzałem swoją kwestię, ale dręczyło mnie przecucie nieuchronnej katastrofy.

W końcu byłem gotów. W książce telefonicznej Seattle znalazłem numer i zadzwoniłem. Wkrótce w słuchawce usłyszałem melodyjny, kulturalny głos kobiety w średnim wieku.

- Słucham?

- Pani Devorac? Przepraszam, że pani przeszkadzam, ale interesuje mnie osiedle Wielka Błada Łysina i pani inicjatywa jego zburzenia. Nazywam się Louis Rosen i przyjechałem z Ontario w Oregonie.

- Nie miałam pojęcia, że działalność naszego komitetu jest znana w tak odległych miejscach.

- Zastanawiam się, czy mógłbym wpaść do pani wraz z moim adwokatem na małą rozmowę?

- Adwokatem! O Boże, chyba nie stało się nic złego?

- Stało się coś złego - oznajmiłem - ale nie dotyczy to pani komitetu. Ma to związek z... - Zerknąłem na homunkulusa. Skinął głową. - Cóż - powiedziałem, ciężko wzdychając - ma to związek z Samem K. Barrowsem.

- Rozumiem.

- Moja znajomość z panem Barrowsem wiąże się z nieudaną próbą dobiecia interesu. Pomyślałem, że być może pani będzie mogła przyjść mi z pomocą.

- Powiedział pan, że ma adwokata... Nie mam pojęcia, co takiego mogłabym dla pana zrobić, czego nie potrafił zrobić pański adwokat. - Jej głos brzmiał rozważnie i stanowczo. -

Nie będzie pan mile widziany, jeśli nasza rozmowa nie potrwa dłużej niż... powiedzmy, pół godziny. O ósmej spodziewam się gości.

Podziękowałem pani Devorac i rozłączyłem się. - Dobrze to rozegrałeś, Louis - powiedział Lincoln. Ze-rwał się na równe nogi. - Musimy zaraz jechać, taksówką. - Ruszył w stronę drzwi. Poczekał - zaoponowałem. Zatrzymał się w progu i odwrócił się do mnie. - Nie mogę tego zrobić - wyjaśniłem.

W takim razie - odparł - pójdźmy na spacer. - Przy-trzymał mi drzwi. - Pooddychamy

nocnym powietrzem; pachnie górami.

Razem ruszyliśmy mroczną ulicą.

- Jak myślisz, co się stanie z panną Pris? - zapytał homunkulus.

- Nic jej nie będzie. Zostanie z Barrowsem. On będzie w stanie zapewnić jej to, czego oczekuje od życia.

Lincoln zatrzymał się przy stacji obsługi samochodów.

— Musisz zadzwonić do pani Devorac i powiedzieć jej, że przyjdziemy.

Obok stała budka telefoniczna.

Zamknąłem za sobą drzwi i znów wykręciłem numer pani Devorac. Czuję się jeszcze gorzej niż przedtem. Z trudem udało mi się trafić palcem we właściwe dziurki na tarczy.

- Tak? - do moich uszu dobiegł uprzejmy głos.

- Tu znów Louis Rosen. Przykro mi, pani Devorac, ale nie zdążyłem jeszcze uporządkować wszystkich faktów.

— I chce pan przenieść nasze spotkanie? -Tak.

- Nie ma sprawy. Niech pan wpadnie, kiedy będzie panu pasowało. Jeszcze jedno, panie Rosen... czy był pan kiedykolwiek na osiedlu Wielka Błada Łysina?

- Nie.

- To okropne miejsce.

- Nie dziwi mnie to.

- Niech pan spróbuje tam pójść.

- Dobrze, postaram się - obiecałem.

Rozłączyła się. Stałem przez chwilę ze słuchawką w ręku, wreszcie odwiesiłem ją i wyszedłem z budki. Lincoln nie było.

Czyżby sobie poszedł? Czyżbym znowu został sam? Wbiłem wzrok w ciemność nocy.

Homunkulus był w budynku stacji obsługi. Siedział naprzeciwko chłopca w białym kombinezonie i kiwając się na krześle, toczył z nim przyjacielską rozmowę. Otworzyłem drzwi.

- Chodźmy - powiedziałem.

Homunkulus pożegnał się z chłopcem i w milczeniu podjęliśmy nasz spacer.

- Może wpadniemy do panny Pris? - zaproponował.

- Och nie - powiedziałem przerażony. - Chyba jest jeszcze dzisiaj nocny lot do Boise. Jeśli tak, to powinniśmy z tego skorzystać.

- Boisz się jej. Tak czy inaczej, w domu Barrowsa byśmy jej nie zastali. Zapewne

wyszli gdzieś razem, by się zabawić gdzieś na widoku. Chłopak na stacji benzynowej powiedział mi, że w Seattle występuje wielu sławnych artystów, nawet z Europy. O ile się nie mylę, powiedział, że dziś występuje Earl Grant. Czy to ceniona postać?

- Bardzo.

- Chłopak powiedział mi, że artyści na ogół spędzają tu tylko jeden wieczór i odlatują dalej. Skoro pan Grant występuje dzisiaj, zakładam, że nie było go tu wczoraj, a zatem pan Barrows i panna Pris przyjdą dziś na jego występ.

- On śpiewa - powiedziałem - i do tego bardzo dobrze.

- Czy mamy dość pieniędzy, aby go zobaczyć?

- Owszem.

- Dlaczego by więc nie pójść? Wzruszyłem ramionami. Dlaczego?

- Nie chcę - oznajmiłem. Homunkulus odezwał się łagodnie:

- Przebyłem kawał drogi, aby ci pomóc, Louis. Myślę, że w zamian jesteś mi winny przysługę. Chciałbym posłuchać pana Granta wykonującego dzisiejsze pieśni. Mógłbyś sprawić mi przyjemność i pójść ze mną.

- Stawia mnie pan pod ścianą.

- Chcę tylko, abyś poszedł tam, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa możesz spotkać pana Barrowsa i pannę Pris.

Najwyraźniej nie miałem wyboru.

- Dobrze, pójdziemy.

Zacząłem się rozglądać za taksówką, chociaż było mi przykro.

Okazało się, że przyszły tłumy, aby posłuchać legendarnego Earla Granta. Z trudem udało nam się wcisnąć do środka. Nigdzie nie było jednak śladu Pris. Usiedliśmy przy barze, zamówiliśmy drinki i stamtąd obserwowaliśmy salę. Najpewniej się nie zjawia, pomyślałem - i od razu poczułem się trochę lepiej. Jedna szansa na tysiąc...

- Pięknie śpiewa - powiedział homunkulus w przerwie między numerami.

- Taak.

- Murzyni mają muzykę we krwi.

Zerknąłem na niego. Czy to miał być sarkazm? Taka banalna uwaga, taki frazes - ale nie, twarz miał poważną. Pewnie w jego czasach taka uwaga znaczyła co innego niż dzisiaj. Uplęło tyle lat.

— Przypominam sobie — dodał — moją podróż do Nowego Orleanu, kiedy byłem chłopcem. Wtedy po raz pierwszy

miałem styczność z Murzynami i poznałem ich żalną kondycję. Było to, o ile dobrze

pamiętam, w 1826 roku. Zdziwił mnie hiszpański charakter tego miasta. Było zupełnie inne niż Ameryka, w jakiej dorastałem.

- To było wtedy, gdy zatrudnił pana Denton Offcutt? Ten domokrażca?

— Dobrze znasz fakty z mojego wczesnego życia. — Wydawał się zdziwiony moją wiedzą.

- Sprawdziłem to, u licha, w książce. W 1835 roku umarła Ann Rutledge. W 1841... - Urwałem. Po co o tym wspomniałem? Niech mnie gęś kopnie. Nawet w ciemnej sali na twarzy homunkulusa widoczny był ból i wielki wstrząs. -

Przepraszam.

Tymczasem, dzięki Bogu, Grant rozpoczął następny numer. Lecz był to powolny, smutny blues. Coraz bardziej zdenerwowany, kiwnąłem na barmana i zamówiłem dla siebie podwójną szkocką.

Pogrążony w rozmyślaniach homunkulus siedział zgarbiony, nogi oparł na szczeblu stołka. Gdy Grant skończył śpiewać, pozostał milczący, jakby nie był świadom otaczającej nas rzeczywistości. Twarz miał bez wyrazu, oczy spuszczone.

- Przykro mi, że przeze mnie wpadł pan w przygnębienie - powiedziałem. Jego stan zaczął mnie martwić.

- To nie twoja wina. Miewam takie nastroje. Jestem, jak wiesz, nadmiernie przesądny. Czy to wada? Nie umiem nad tym zapanować. To nieodłączna część mojej osoby. - Słowa następowały po sobie z przerwami, jakby mówienie kosztowało go bardzo wiele wysiłku; jakby, pomyślałem, nie miał w sobie dość energii, aby mówić.

- Niech pan wypije następnego drinka - zaproponowałem i wtedy odkryłem, że jego pierwszy i jak dotąd jedyny drink był ledwie napoczęty.

Homunkulus bez słowa potrząsnął przecząco głową.

- Proszę posłuchać — powiedziałem — chodźmy stąd i wsiadajmy do rakiety.

Wracajmy do Boise. — Zeskoczyłem ze stołka. - No, chodźmy.

Homunkulus nie ruszył się ze stołka.

- Niech pan nie wpada w taką czarną rozpacz. Powinienem był przewidzieć, że blues tak działa na ludzi.

- Tu nie chodzi o śpiew kolorowego mężczyzny - odezwał się. — To tkwi we mnie. Nie wiń o to ani jego, Louis, ani siebie. Lecąc tutaj, widziałem dzikie puszcze i przypomniały mi się lata młodości i rodzinne wojaże, a w szczególności śmierć mojej matki i podróż do Illinois wozem zaprzężonym w woły.

— Na Boga, to miejsce jest zbyt ponure. Weźmy taksówkę i jedźmy na lotnisko Sea-

Tac...

Urwałem. Na salę weszli Pris i Sam. Kelnerka wskazywała im zarezerwowany stolik.

Homunkulus uśmiechnął się na ich widok.

- Cóż, Louis, powinienem był cię posłuchać. Boję się, że teraz jest już za późno.

Stałem obok stołka jak słup soli.

Rozdział szesnasty

— Louis, musisz z powrotem wdrapać się na stołek — szepnął mi do ucha Lincoln.

Skinąłem głową i niezdarnie zająłem miejsce. Pris... wyglądała olśniewająco. Ubrana była w jedną z tych nowych błyszczących sukien... włosy miała jeszcze krótsze i zaczesane do tyłu. Niezwykły cień do powiek, którego używała, powodował, że jej oczy wydawały się ogromne i czarne. Barrows, ogolony na łąsą pałę, ze swoim jowialnym i gwałtownym zachowaniem wyglądał, jak zwykle, na energicznego człowieka interesu. Z szerokim uśmiechem przyjął menu i zaczął składać zamówienia.

- Wygląda naprawdę uroczo - powiedział do mnie homunkulus.

- Tak - potwierdziłem. Siedzący przy barze dookoła mężczyźni, a także kobiety, przerwali na chwilę rozmowy, aby posłać

jej ukradkowe spojrzenie. Nie mogłem im mieć tego za złe.

- Musisz coś zrobić - rzekł Lincoln. - Boję się, że nie możesz teraz wyjść ani zostać przy barze. Podejdę do ich

stolika i powiem, że na dzisiaj wieczór umówiłeś się z panią Devorac. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, Louis. Reszta spoczywa na twoich barkach.

Zszedł ze stołka i zanim zdążyłem go powstrzymać, długimi krokami odszedł od baru.

Dotarł do stołu Barrowsa, nachylił mu się do ucha i położywszy mu rękę na ramieniu, zaczął coś do niego mówić.

Barrows natychmiast odwrócił się i spojrzał prosto na mnie. Pris także się odwróciła; w jej zimnych, ciemnych oczach zapłonęły ogniki.

Lincoln wrócił do baru.

— Idź do nich, Louis.

Jak automat zsunąłem się ze stołka i lawirując między stolikami, poszedłem w stronę Pris i Barrowsa. Nie spuszczała ze mnie wzroku. Prawdopodobnie sądzili, że mam przy sobie moją trzydziestkę ósemkę. Nie miałem, została w motelu.

— Jesteś skończony, Sam — powiedziałem. — Zebrałem kupę materiału dla Silvii. - Zerknąłem na zegarek. - Masz przerąbane, ale już za późno, żebyś mógł coś zrobić. Miałeś szansę, ale ją zaprzepaściłeś.

— Siadaj, Rosen.

Zająłem miejsce przy stoliku.

Kelnerka przyniosła martini dla Barrowsa i Pris.

— Zbudowaliśmy naszego pierwszego homunkulusa — oznajmił Barrows.

- Doprawdy? Kogo?

- Jerzego Waszyngtona, ojca założyciela naszej ojczyzny.

- Szkoda, że twoje imperium wali się w gruzy.

— Nie wiem, o co ci chodzi, ale cieszę się, żeśmy się spotkali — powiedział. — Jest okazja, aby wyjaśnić pewne nieporozumienia. - Zwracając się do Pris, dodał: - Przykro mi, kochanie, że załatwiam interesy, ale to doprawdy szczęśliwy przypadek, że natknęliśmy się tutaj na Louisa. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

- Owszem, mam. Jeśli on nie odejdzie, między nami wszystko skończone.

- Kochanie, jesteś taka porywcza - rzekł Barrows. -Chciałbym omówić z Rosenem pewną drobną, acz interesującą kwestię. Jeśli ci to przeszkadza, odeślę cię do domu taksówką.

Apatycznym, nieobecny głosem Pris oświadczyła:

- Nie pozwolę, aby mnie ktokolwiek gdziekolwiek odsyłał. Jeśli spróbujesz się mnie pozbyć, tak szybko znajdziesz się na bruku, że w głowie ci się zakręci.

Obaj bacznie się jej przyjrżeliśmy. Pomimo wspaniałej sukni, nowej fryzury i makijażu była to ta sama dawna Pris.

- Myślę, że jednak odeślę cię do domu - powiedział Barrows.

- Nie - odparła. Barrows skinął na kelnerkę.

- Czy mogłaby pani zamówić taksówkę...

— Różnaś mnie na oczach świadków — rzuciła Pris. Barrows zbladł i gestem nakazał kelnerce, by odeszła.

— Słuchaj. — Ręce mu się trzęsły. — Jak chcesz tu zostać, to jedź tę swoją vichyssoise i siedź cicho. Możesz się za-

mknąć na chwilę?

- Będę mówić, co chcę i kiedy chcę.

- Jakich świadków miałaś na myśli? - Barrows zdołał się uśmiechnąć. - Dave'a Blunka? Colleen Nild? - Jego uśmiech stał się pewniejszy. - No proszę, mów, kochanie.

- Jesteś brudnym podstarzałym facetem, który lubi zaglądać dziewczynom pod spódnicę - powiedziała Pris. -Powinieneś trafić za kratki. - Mówiła niezbyt głośno, ale

na tyle wyraźnie, że kilku ludzi przy sąsiednich stolikach odwróciło głowy w naszą stronę. - Przerznałaś mnie o jeden raz za dużo. I powiem ci jeszcze coś - ciągnęła. - To cud, że ci jeszcze stajesz. Jest taki mały i sflaczały. Cały jesteś stary i sflaczały, ty stara cioto.

Barrows drgnął i uśmiechnął się krzywo.

- Skończyłaś?

- Nie - odparła Pris. - Kupiłeś tych wszystkich ludzi, aby nie zeznawali przeciwko tobie.

- Skończyłaś?

Potrząsnęła głową, ciężko dysząc.

— No to już, mów dalej. — Nic nie było w stanie wytrącić go z równowagi. To było zadziwiające. Mógł znieść wszystko.

— Czy mam się skontaktować z panią Devorac? — odezwał się. — To zależy od ciebie.

Barrows spojrzał na zegarek.

- Chciałbym porozmawiać z moimi prawnikami - oświadczył. - Nie obrazisz się, jeśli poproszę Dave'a Blunka, żeby tu przyszedł?

- W porządku - zgodziłem się, wiedząc, iż Blunk poradzi mu, aby ustąpił.

Barrows przeprosił nas i poszedł zadzwonić. Kiedy go nie było, siedzieliśmy z Pris naprzeciw siebie, nie mówiąc ani słowa. Kiedy w końcu wrócił, Pris powitała go czujnym i podejrzliwym spojrzeniem.

— Co znowu wrednego knujesz, Sam? — zapytała. Barrows nie odpowiedział.

Wygodnie rozparł się na krześle.

- On coś zrobił, Louis - powiedziała Pris, rzucając dookoła dzikie spojrzenia. — Czy tego nie widzisz? Nie znasz go tak dobrze, jak ja. Och, Louis!

- Nie martw się - odparłem, ale teraz i ja poczułem się nieswojo. Zauważyłem też, że siedzący przy barze Lincoln poruszył się niespokojnie i zmarszczył czoło. Czyżbym popełnił błąd? Cóż, teraz jest już za późno, żeby się wycofać.

- Mógłbyś tu przyjść? - zawołałem do homunkulusa. Natychmiast zerwał się na nogi i podszedł do nas, nachylając się, aby lepiej słyszeć. - Pan Barrows czeka na swego adwokata, aby zasięgnąć jego porady.

Homunkulus usiadł przy stole i zastanawiał się przez chwilę.

- Nie widzę w tym nic złego.

Czekaliśmy. Pół godziny później zjawił się Dave Blunk. Przeciskając się przez tłum, dotarł do naszego stolika. Towarzyszyła mu ubrana wieczorowo Colleen Nild, a za nią szła trzecia osoba - krótko ostrzyżony młody mężczyzna w krawacie oraz z ciekawskim i czujnym wyrazem twarzy.

Kim jest ten człowiek? - zastanawiałem się. Co się dzieje? Mój niepokój wzrósł.

- Przepraszamy za spóźnienie - powiedział Blunk, pomagając usiąść pani Nild, po czym on i młody człowiek w krawacie sami zajęli miejsca przy stoliku. Nikt nikogo nie

przedstawiał.

Musi to być jakiś pracownik Barrowsa, pomyślałem. Czyżby to był ów gnojek, co to miał wstąpić w legalny związek małżeński z Pris?

Widząc, jak przyglądam się mężczyźnie, Barrows oznajmił:

- To jest Johnny Booth. Johnny, chciałbym ci przedstawić Louisa Rosena.

Młody człowiek pospiesznie kiwnął głową.

- Miło mi pana poznać, panie Rosen. - Po kolei skinął głową wszystkim dookoła. - Cześć, cześć. Bardzo mi miło.

- Chwileczkę. - Poczułem, jak ogarnia mnie chłód. - To jest John Booth, John Wilkes Booth?

- Trafiłeś w dziesiątkę - potwierdził Barrows.

- Ależ on wcale nie przypomina Johna Wilkesa Bootha. Był to homunkulus, a na dodatek homunkulus wyjątkowo szkaradny. Dopiero co przeglądałem książki o Lincolnie w wiedziałem, że John Wilkes Booth, artysta teatralny, był obdarzony sceniczną urodą, a ten tutaj wygląda na zwykłego fagasa, niedorajdę, jakich pełno kręci się w dzielnicach bankowych każdego większego miasta w Ameryce.

- Nie żartuj - powiedziałem. - Czy to wasze pierwsze podejście? Coś wam powiem: lepiej wracajcie i spróbujcie od nowa.

Ale gdy to mówiłem, patrzyłem na homunkulusa z trwogą, niezależnie bowiem od jego głupkowatego wyglądu prawdą było, że funkcjonował. Był sukcesem w sensie technicznym, a dla nas - dla każdego z nas - stanowił zły omen. Homunkulus John Wilkes Booth! Nie mogłem się powstrzymać od zerkania na Lincolna, aby przyjrzeć się jego reakcji. Czy wiedział, co to oznacza?

Lincoln nic nie powiedział, ale zmarszczki na jego twarzy jeszcze bardziej się pogłębiły - zwiastun melancholii, która przez cały czas, w mniejszym lub większym stopniu, go gnębiła. Wydawało się, że zdaje sobie sprawę, co z tej sytuacji wynika dla niego, czego ten nowy homunkulus jest zapowiedzią.

Nie chciało mi się wierzyć, żeby Pris mogła zaprojektować coś takiego. Ale po chwili zrozumiałem, że to oczywiście nie była jej robota. Dlatego właśnie Booth pozbawiony był praktycznie twarzy. Jedyne Bundy brał w tym udział. Z jego pomocą zbudowali wszystkie wnętrza, a potem wepchnęli je w powłokę przeciętnego faceta, który teraz siedział z nami przy stole, uśmiechając się i potakując -typowy Ja-Sager, człowiek zawsze mówiący „tak”. Nie próbowali nawet odtworzyć prawdziwego wyglądu Bootha, i chyba nawet nie byli tym zainteresowani. Była to zapewne robótka naprędce sklecona w jednym konkretnym celu.

- Kontynuujmy naszą dyskusję - zaproponował Barrows. Dave Blunk i John Wilkes Booth kiwnęli głowami. Pani

Nild przeglądała kartę dań. Pris wpatrywała się w nowego homunkulusa, jakby zamieniła się w słup soli. Miałem więc rację. Dla niej to też była niespodzianka. Kiedy ona wychodziła na wystawne przyjęcia, stroiła się w nowe ciuchy, spała z Barrowsem i piękniała, Bob Bundy pracował w jednej z firm Barrowsa nad tym urządzeniem.

- W porządku - powiedziałem. - Kontynuujmy.

- Johnny - zagadnął swojego homunkulusa Barrows -
tak na marginesie, ten wysoki mężczyzna z brodą to Abe Lincoln. Opowiadałem ci o nim, pamiętasz?

- Ależ tak, panie Barrows - odpowiedział natychmiast Booth, skwapliwie kiwając głową. - Pamiętam dokładnie każde słowo.

- Barrows - powiedziałem - co za kit nam tu wciskasz? Ten twój homunkulus to zwykły morderca, którego nazwałeś „Booth”; ani nie wygląda, ani nie mówi jak pierwowzór. To od początku do końca oszustwo, nędzne oszustwo. Rzygać mi się chce. Wstyd mi za ciebie.

Barrows wzruszył ramionami. Zwracając się do Bootha, poprosiłem:

- Zarecytuj coś z Szekspira.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, swoim zwyczajem głupekowato, jak szpicel.

- W takim razie powiedz coś po łacinie - prosiłem. Wciąż szczyrzył zęby.

- Ile czasu zajęło ci sklecenie tego zera? - zapytałem Barrowsa. - Pewnie wystarczyło jedno przedpołudnie? Gdzie się podziały bardziej pracochłonne szczegóły? Gdzie cała rzemieślnicza dłubanina? Jedyne, co pozostało, to morderczy instynkt, który zaszczepiliście temu urządzeniu.

- Myślę, że w świetle obecności tutaj Johnny'ego Bootha przestaniesz mi grozić spotkaniem z panią Devorac - powiedział Barrows.

- Jak on ma zamiar to zrobić? - zapytałem. - Zatrutym pierścieniem? Bombą biologiczną?

Dave Blunk wybuchnął śmiechem; pani Nild uśmiechnęła się. Booth, kierując się przykładem szefa, dołączył do innych i wyszczerzył zęby w pustym uśmiechu. Barrows wodził ich wszystkich na sznurku, za który ciągnął ze wszystkich sił.

Patrząc na Bootha, Pris zmieniła się nie do poznania. Wpadła w ponury nastrój; szyję wyciągnęła jak żyrafa, oczy miała szkliste i pełne odbitego światła.

- Posłuchaj - powiedziała. Pokazała na Lincolna. - To ja go zbudowałam.

Barrows zerknął na nią.

- On jest mój - ciągnęła, a zwracając się do Lincolna spytała: — Wiedziałaś o tym? Wiedziałaś, że zostałeś zbudowany przeze mnie i mego ojca?

- Pris, na miłość boską...

- Cicho bądź - ofuknęła mnie.

- Trzymaj się od tego z daleka - poradziłem. - To sprawa pomiędzy mną a Barrowsem. - Cały się trząśłem. -

Być może chcesz dobrze. Wiem, że nie miałaś nic wspólnego ze zbudowaniem tego całego Bootha, ale... - Na miłość boską - powiedziała Pris - zamknij się. -

Odwróciła się do Barrowsa. - Polecieś Bobowi Bundy'emu zbudować to, aby zniszczył Lincolna, starannie wszystko przede mną ukrywając. Ty śmieciu. Nigdy ci tego nie wybaczę.

- Co cię ugryzło, Pris? - spytał Barrows. - Nie mów mi, że miałaś romans z tym homunkulusem. - Zmarszczył czoło.

- Nie chcę patrzeć, jak niszczy się moją pracę - odpowiedziała.

— Może będziesz musiała — oznajmił Barrows.

— Panno Pris - odezwał się stanowczym głosem Lincoln — myślę, że pan Rosen ma rację. Powinna pani pozostawić rozwiązanie tego problemu jemu i panu Barrowsowi.

— Sama potrafię go rozwiązać — rzekła Pris. Pochyliła się i zaczęła gmerać pod stołem. Ani ja, ani

Barrows nie mieliśmy pojęcia, do czego zmierza; wszyscy siedzieliśmy jak sparaliżowani. Gdy Pris ukazała się ponownie, trzymała w ręku jeden ze swych butów na wysokim obcasie. Metalowym obcasem celowała w Bootha.

- Niech cię diabli - syknęła do Barrowsa. Barrows zerwał się z krzesła.

- Nie! - zawołał, podnosząc rękę.

But opadł na głowę homunkulusa; obcas trafił tuż koło ucha.

- Masz - powiedziała Pris do Barrowsa. Jej mokre oczy błyszczały; usta miała wykrzywione w szale.

- Glap - odezwał się trafiony homunkulus. Rękami gwałtownie młócił powietrze, nogami stukał o podłogę. A potem przestał się poruszać. Przez ciało przebiegł mu skurcz. Ręce i nogi mu się wykrzywiły. Znieruchomiał.

— Nie bij go więcej — poprosiłem. Czulem, że dłużej tego nie wytrzymam.

Oszołomiony Barrows wymamrotał do niej prawie to samo.

— Po co miałabym to robić? — odparła rzeczowo Pris. Wyciągnęła obcas z głowy

homunkulusa i pochyliwszy się,

z powrotem założyła but na nogę. Ludzie dookoła obserwowali nas w zdumieniu.

Barrows wyjął białą lnianą chusteczkę i otarł pot z czoła. Zaczął mówić, zmienił zamiar i w końcu zamilkł.

Stopniowo homunkulus zaczął się osuwać na podłogę. Wstałem i próbowałem go oprzeć, by utrzymał się na krześle. Dave Blunk również wstał. Razem udało nam się posadzić go prosto, tak żeby nie spadł. Pris z kamienną twarzą sączyła swego drinka.

Blunk zwrócił się do ludzi zajmujących pobliskie stoliki.

- To lalka, lalka naturalnych rozmiarów - wyjaśnił. - Służy jako manekin.

Mechaniczna konstrukcja.

Na ich użytek pokazał metalowe i plastikowe wnętrza widoczne pod uszkodzoną czaszką. Przez dziurę dostrzegłem coś błyszczącego: przypuszczalnie zniszczoną monadę sterującą. Zastanawiałem się, czy Bob Bundy zdoła to naprawić. Zastanawiałem się, czy w ogóle ma to dla mnie jakieś znaczenie.

Barrows zgasił papierosa, dopił drinka i ochryłym głosem powiedział do Pris:

- Naraziłaś mi się.

- W takim razie, żegnaj - odparła. - Żegnaj, Samie K Barrows: ty wstrętna, brudna cioto.

Zerwała się na nogi, rozmyślnie przewracając krzesło. Oddaliła się od stolika.

Opuściła nas. Szła między stolikami, aż w końcu dotarła do wyjścia, gdzie szatniarka podała jej płaszcz.

Ani ja, ani Barrows nie ruszyliśmy się od stolika.

- Wyszła na zewnątrz - powiedział po chwili Blunk. - Mam lepszy od was widok na drzwi. Poszła sobie.

- Co mam z tym zrobić? - spytał Barrows Blunka, mając na myśli martwego homunkulusa. - Musimy go stąd zabrać.

- Weźmiemy go pod pachy i wyprowadzimy - odparł Blunk.

- Pomogę wam - zaproponowałem.

— Nigdy więcej jej nie zobaczymy — oznajmił Barrows. - Choć z drugiej strony może stoi teraz na chodniku i czeka na nas. - Zwrócił się do mnie. - Potrafisz zgadnąć? Ja nie potrafię. Nie rozumiem tej dziewczyny.

Pospiesznie ruszyłem pustym przejściem wzdłuż baru.

Przeszedłem obok szatni, pchnąłem drzwi na ulicę. Przed wejściem stał portier w liberii. Skłonił mi się uprzejmie. Nie było śladu Pris.

— Co się stało z dziewczyną, która przed chwilą stąd wyszła? — zapytałem.

Portier machnął ręką.

- Nie wiem, proszę pana. - Wskazał na szereg taksówek, sznur samochodów, ludzi kłębiących się przy wejściu do

klubu jak rój pszczół. - Przykro mi, ale nie potrafię powiedzieć.

Spojrzałem w górę i w dół ulicy. Nawet pobiegłem w jedną i drugą stronę, wyteżając za nią wzrok.

Nic.

W końcu wróciłem do klubu i stolika, przy którym Barrows i inni siedzieli obok martwego, zniszczonego homunkulusa. Booth osunął się na krzesło i leżał przechylony na bok z luźno zwisającą głową i otwartymi ustami. Z pomocą Blunka ponownie posadziłem go prosto.

— Wszystko straciłeś - oświadczyłem Barrowsowi.

— Nic nie straciłem.

- Sam ma rację - wtrącił się Blunk. - Cóż takiego stracił? Bob Bundy w każdej chwili może zbudować następnego homunkulusa, jeśli zajdzie potrzeba.

- Straciłeś Pris - powiedziałem - a to oznacza wszystko.

- Kto, u licha, wie, co się stało z Pris? Myślę, że nawet ona tego nie wie.

- Być może - zgodziłem się. Język mi spuchł tak, że szczelnie wypełniał usta.

Poruszyłem szczęką, ale nie po-czułem żadnego bólu, nie poczułem zgoła nic. - Ja też ją straciłem.

- Najwyraźniej - powiedział Barrows. - Ale ty masz lepiej. Byłbyś w stanie codziennie znosić coś takiego?

-Nie.

W trakcie naszej rozmowy wielki Earl Grant raz jeszcze pojawił się na scenie.

Fortepian zaczął grać i wszyscy umilkli. My także.

Mam koniki polne

w poduszce, kotku.

Mam świerszczy tłum

na mym talerzu.

Czyżby śpiewał to pod moim adresem? Czyżby dostrzegł mnie, spojrzał w mą twarz i zrozumiał, co czuję? Była to stara, smutna pieśń. Może mnie dojrzał, a może nie, kto wie, ale takie odniosłem wrażenie.

Pris jest dzikim stworzeniem, pomyślałem. Nie należy do nas; przyszła z zewnątrz.

Pris jest istotą pierwotną, i to w najgorszym rozumieniu tego słowa: wszystko, co zachodzi pośród i pomiędzy ludźmi - wszystko, z czym mamy do czynienia — zdaje się jej nie dotyczyć. Kiedy patrzymy na nią, sięgamy wzrokiem wstecz, w najdalszą przeszłość; widzimy nas takimi, jakimi byliśmy u zarania: milion, dwa miliony lat temu...

Pieśń, którą śpiewał Earl Grant, mówiła o oswojaniu,
o tym, jak powolne procesy przeobrażają nas bez końca. Stwórca wciąż nad nami pracuje, wciąż od nowa modeluje to, co jeszcze nie zastygło. Ale nie dotyczyło to Pris. Tu nikt nie był w stanie nic zmienić, niczego ukształtować - nawet On.

Kiedy spotkałem Pris, myślałem, wejrzałem w inność.

I gdzie teraz jestem? Czekam tylko na śmierć, tak jak czekał homunkulus, sobowtór Bootha, kiedy Pris zdejmowała z nogi but. W końcu doczekał się śmierci w zamian za uczynek sprzed ponad wieku. Przed śmiercią Lincoln śnił o swym zabójstwie, widział we śnie czarno udrapowaną trumnę i procesję szlochających ludzi. Czy Booth homunkulus dostał wczoraj jakiś znak? Czy śnił o tym w jakiś mechaniczny, mistyczny sposób?

Wszyscy byśmy to zrozumieli. Tutut-tutut. Pociąg spowity w czarną krepę pędzący pośród łąnów zboża. Ludzie stojący wzdłuż torów, zdejmujący czapki z głów. Tutut-tu-tut-tutut.

Czarny pociąg wiozący trumnę, przy której straż pełnią żołnierze w niebieskich mundurach. Stoją z bronią na ramieniu, nieruchomi od początku do końca całej tej długiej podróży.

- Panie Rosen - odezwał się ktoś obok mnie. Kobieta. Zaskoczony podniosłem wzrok. To pani Nild mówiła do mnie.

- Mógłby nam pan pomóc? Pan Barrows poszedł po samochód. Chcemy wsadzić Bootha do auta.

— Och — powiedziałem, kiwając głową — tak, oczywiście.

Wstając, zerknąłem na Lincolna, żeby zobaczyć, czy będzie skłonny wziąć się do pracy. Ale, rzecz dziwna, Lincoln siedział ze spuszczoną głową, pogrążony w głębokiej melancholii, nie zwracając uwagi ani na nas, ani na to, co robimy. Czyżby słuchał Earla Granta? Uległ czarowi jego bluesa? Nie sądziłem, żeby tak było. Zgarbił się, właściwie stracił kształt. Wyglądał, jakby cały jego szkielet zlał się w pojedynczą kość. Poza tym zachowywał głuche milczenie; nie słyszało się nawet jego oddechu.

Rodzaj modlitwy, pomyślałem, gdy to zobaczyłem. A jednocześnie to wcale nie modlitwa. Pewnie koniec modlitwy. Przerwa w modlitwie.

Blunk i ja zajęliśmy się Boothem. Zaczęliśmy podnosić go na nogi. Był bardzo ciężki.

— Nasz samochód to mercedes — wysapał Blunk, gdy szliśmy pustym przejściem. -
Biały z czerwonym skórzanym wnętrzem.

- Potrzymam wam drzwi - zaofiarowała się idąca za nami pani Nild.

Prowadziliśmy Bootha wąskim przejściem w stronę drzwi wejściowych. Portier spojrzał na nas z zaciekawieniem, ale ani on, ani nikt inny nie uczynił nic, aby nam przeszkodzić czy pomóc albo choćby zapytać, o co chodzi. Portier wszakże otworzył nam drzwi, za co byliśmy mu wdzięczni, pozwoliło to bowiem pani Nild rozejrzeć się za samochodem Barrowsa.

- Właśnie nadjeżdża - powiedział Blunk, kiwając głową. Pani Nild otworzyła szeroko drzwi. Trzymając homunkulusa pod rękę, udało nam się posadzić go na tylnym siedzeniu.

- Niech pan jedzie z nami - zwróciła się do mnie pani Nild, gdy zacząłem się oddalać od samochodu.

— Dobry pomysł — powiedział Blunk. — Napijemy się. Co pan na to, Rosen? Zawieziemy Bootha do warsztatu, a potem wstąpimy do mieszkania Colleen. Tam są trunki.

— Nie - odmówiłem.

- No dalej - odezwał się Barrows zza kierownicy. - Niech koleżeństwo wsiada i odjeżdżamy. Zaproszenie dotyczy także ciebie, Rosen, i naturalnie twojego homunkulusa. Idź po niego.

- Nie, dziękuję - powiedziałem. - Jedźcie sami.

Blunk i pani Nild zatrzasnęli drzwi; samochód ruszył, wtapiając się w duży wieczorny ruch.

Z rękami w kieszeniach wróciłem do klubu i torując sobie drogę w przejściu, doszedłem do stolika, przy którym wciąż siedział Lincoln. Z głową spuszczoną, objąwszy się ramionami, siedział w całkowitym bezruchu.

Co mógłbym mu powiedzieć? Jak go rozweselić?

- Nie pozwól, aby zdarzenia takie jak to działały na ciebie przygnębiająco - odezwałem się do niego. - Powinieneś wzniesć się ponad to.

Lincoln nie odpowiedział.

- Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka - dodałem. Homunkulus uniósł głowę. Spojrzał na mnie z rozpaczą.

— Co to znaczy?

— Nie wiem — odparłem. — Po prostu nie wiem. Obaj siedzieliśmy w milczeniu.

— Posłuchaj - powiedziałem — zawiozę cię do Boise i zaprowadzę do doktora

Horstowskiego. Tobie to nie zaszkodzi, a może doktorowi uda się poradzić coś na tę twoją depresję. Zgadzasz się?

Teraz Lincoln wydawał się spokojniejszy. Wyciągnął dużą czerwoną chusteczkę i wydmuchiwał nos.

— Dziękuję za troskliwość — powiedział zza chusteczki.

— Może drinka — zaproponowałem — albo filiżankę kawy lub coś do jedzenia.

Homunkulus potrząsnął przecząco głową.

- Kiedy po raz pierwszy zauważyłeś przyływ takiej depresji? - zapytałem. - Chodzi mi o twoją młodość. Chcesz o tym porozmawiać? Powiedz mi, co ci przychodzi na myśl, co ci się z tym kojarzy. Proszę. Mam przeczucie, że to by ci dobrze zrobiło.

Lincoln odchrząknął i zapytał:

- Czy pan Barrows i jego ekipa wrócą tu jeszcze?

- Wątpię. Zapraszali nas, abyśmy z nimi pojechali. Mieli zamiar wstąpić do mieszkania pani Nild.

Lincoln posłał mi przeciągłe, zagadkowe spojrzenie.

- Dlaczego nie pojechali do domu pana Barrowsa?

- Podobno u pani Nild są trunki. Tak w każdym razie mówił Dave Blunk.

Lincoln raz jeszcze odchrząknął, napił się wody ze szklanki, która stała przed nim na stole. Jego twarz wciąż miała

zagadkowy wyraz, jakby było coś, czego nie rozumiał, jak-by nad czymś się głowił, a jednocześnie doznał olśnienia.

— O co chodzi? — zapytałem.

Chwila ciszy, po czym Lincoln nagle się odezwał: -Louis, jedź do mieszkania pani Nild. Nie trać ani chwili.

- Dlaczego?

- Ona tam jest.

Poczułem, jak włosy jeżą mi się na głowie.

- Myślę - powiedział homunkulus - że ona mieszka z panią Nild. Ja wracam do motelu. Nie martw się o mnie. W razie potrzeby mogę sam jutro wrócić do Boise. Jedź natychmiast, Louis, zanim dotrze tam Barrows i jego ekipa.

Gramoląc się, wstałem z krzesła.

— Nie wiem...

- Adres znajdziesz w książce telefonicznej.

- Taak - rzekłem - chyba tak. Dzięki za radę. Naprawdę to doceniam. Mam przeczucie,

że wpadłeś na dobry pomysł. Do zobaczenia zatem. A jeśli...

- Idź - powiedział. Poszedłem.

W nocnym drugistorze zajrzałem do książki telefonicznej. Znalazłem adres Colleen Nild, po czym wyszedłem na ulicę i zatrzymałem taksówkę. Nareszcie byłem w drodze.

Dom, w którym mieszkała Colleen Nild, był dużym, ciemnym, ceglanym budynkiem. Tylko w kilku oknach paliło się światło. Odnalazłem numer mieszkania i nacisnąłem znajdujący się obok guzik. Po dłuższej chwili z małego głośniczka wydobył się szum i zduszony kobiecy głos zapytał, kim jestem.

- Louis Rosen. - Czyżby to była Pris? - Czy mogę wejść? -zapytałem.

W ciężkich drzwiach ze szkła i kutego żelaza zabrzęczało.

Skoczyłem, aby zdążyć, i pchnięte drzwi stanęły otworem.

Błyskawicznie przeszedłem przez opustoszały hol i schodami dotarłem na trzecie piętro. Była to długa wspinaczka, więc kiedy stanąłem u drzwi, byłem zziębnięty i zmęczony.

Drzwi były otwarte. Zapukałem i po krótkim wahaniu wszedłem do mieszkania.

W salonie na kanapie siedziała pani Nild ze szklaneczką w dłoni, a naprzeciwko niej Barrows. Oboje spojrzeli na mnie.

— Cześć, Rosen. — Barrows wskazał ręką stolik, na którym stała butelka wódki, cytryny, mikser, sok z limony oraz kostki lodu i szklanki. — Śmiało, nalej sobie.

Nie wiedząc, co robić dalej, podszedłem do stolika i zakrzętnąłem się przy drinku.

Kiedy byłem zajęty, Barrows odezwał się:

— Mam dla ciebie nowinę. Ktoś bardzo ci bliski jest w tamtym pokoju. - Szklaneczką wskazał kierunek. - Proszę, zajrzyj do sypialni. - Zarówno on, jak i pani Nild mieli uśmiechy na twarzy.

Odstawiłem szklankę i pospiesznie ruszyłem do wskazanych drzwi.

— Co się stało, że zmieniłeś zamiar i przyszedłeś tutaj? -spytał mnie Barrows, kolistym ruchem ręki mieszając swojego drinka.

— Lincoln twierdził, że zastanę tu Pris — wyjaśniłem.

— Cóż, Rosen, przykro mi to mówić, ale moim zdaniem Lincoln wyrządził ci niedźwiedzią przysługę. Jesteś doprawdy palantem, uzależniając się od tej dziewczyny.

- Nie zgadzam się.

— To dlatego, że wszyscy troje, Pris, Lincoln i ty, jesteście chorzy. Powiem ci coś, Rosen: Johnny Booth był więcej wart niż milion Lincolnów. Myślę, że poskładamy go do kupy i wykorzystamy w naszych planach rozwoju Księżyca... Przecież Booth to dobre

amerykańskie nazwisko. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby sąsiedzi nazywali się Booth. Wiesz co, Rosen, musisz kiedyś polecieć na Księżyc i zobaczyć, czego dokonaliśmy. Nie masz o tym bladego pojęcia. Bez obrazy, ale stąd nie sposób tego zrozumieć. Musisz tam polecieć.

- Otóż to, panie Rosen - powiedziała pani Nild.

— Człowiek sukcesu nie musi się uciekać do szachrajstwa — odparłem.

- Szachrajstwa! - wykrzyknął Barrows. - Do diabła, to była próba pchnięcia ludzi na drogę, na którą tak czy inaczej kiedyś wejdą. Nie chcę się, cholera, kłócić. To był ciężki dzień i jestem zmęczony. Do nikogo nie czuję urazy. — Uśmiechnął się do mnie. - Gdyby twoja mała firma połączyła się z nami... Musiałeś przecież instynktownie przeczuwać, co by to oznaczało. To wy mnie wybraliście, a nie ja was. Ale co się stało, to się nie odstanie. Wasza strata, nie moja. W każdym razie my przystąpimy do działania, prawdopodobnie wykorzystując w ten czy inny sposób Bootha.

- Wszyscy to wiedzą, Sam - powiedziała Colleen Nild, głaszcząc go po ramieniu.

- Dziękuję, Collie - rzekł Barrows. - Przykro mi, gdy widzę faceta w takim stanie: bez celu, bez wizji, bez ambicji. To mi łamie serce. Ot, co.

Nic nie powiedziałem. Stałem przy drzwiach do sypialni, czekając, aż skończą mówić.

- No, wchodźże tam wreszcie - zwróciła się do mnie pani Nild.

Chwyciłem klamkę i otworzyłem drzwi.

Sypialnia była pogrążona w ciemnościach. W środku dostrzegłem zarys łóżka. Ktoś na nim leżał. Położył głowę na poduszce i palił papierosa. Ale czy na pewno papierosa? W sypialni czuć było woń cygara. Pospiesznie podszedłem do wyłącznika i zapaliłem światło.

Na łóżku leżał mój ojciec. Palił cygaro i przypatrywał mi się z głębokim namysłem, marszcząc czoło. Miał na sobie piżamę i szlafrok, przy łóżku stały jego futrzane kapcie, a obok nich walizka i stosik starannie poskładanych rzeczy.

— Zamknij drzwi, mein Sohn — powiedział łagodnie.

Oszołomiony, automatycznie wykonałem polecenie. Zamknąłem za sobą drzwi, ale nie na tyle szybko, aby zagłuszyć ryk śmiechu, jaki dobiegł z salonu - śmiechu Sama Barrowsa i pani Nild. Przez cały czas mieli ze mnie niezły ubaw. Ta cała ich napuszona i pretensjonalna gadka... Wciskali mi ją, wiedząc, że Pris tu nie było, że nigdy jej nie było w tym mieszkaniu, że Lincoln się pomylił.

- Wstyd, Louis - oznajmił ojciec, najwyraźniej czytając w moich myślach. - Pewnie powinienem wkroczyć i przerwać te żarty, ale zainteresowało mnie to, co mówił pan Barrows. Nie było to całkiem pozbawione sensu, prawda? Pod pewnymi względami to wielki człowiek. Usiądź, proszę. - Wskazał na krzesło stojące obok łóżka, więc usiadłem.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie ona może być? - zapytałem. - Czy ty też nie potrafisz mi pomóc?

- Obawiam się, że nie, Louis.

Nawet nie było warto wstawać i wychodzić. Mogłem dojść tylko tu, do tego krzesła stojącego obok łóżka, na którym siedział mój ojciec i palił cygaro.

Drzwi nagle się otworzyły i pojawił się w nich mężczyzna z twarzą do góry nogami, mój brat Chester, jak zwykle zaaferowany i pełen poczucia własnej ważności.

- Znalazłem dla nas przyjemny pokój, tato - powiedział, a potem, dojrzwawszy moją osobę, roześmiał się serdecznie. -A więc tu jesteś, Louis. Z kłopotami, ale udało nam się w końcu cię zlokalizować.

— Parę razy — mówił ojciec — kusiło mnie, aby zwrócić uwagę panu Barrowsowi, ale takiego człowieka jak on nie sposób czegokolwiek nauczyć, po co więc tracić czas.

Nie mogłem znieść myśli, że mój ojciec ma zamiar wdać się w jedną ze swoich filozoficznych tyrad. Skuliłem się na krześle i starałem się nie słuchać tego, co mówi. Jego słowa zlały się w jednostajny, przypominający brzęczenie muchy szum. Odrętwiały z rozczarowania, wyobraziłem sobie, jak by to było, gdyby nie zażartowano ze mnie i rzeczywiście zastałbym w tym pokoju leżącą na łóżku Pris.

Wyobraziłem sobie, jak by to wyglądało. Znalazłbym ją śpiącą, prawdopodobnie pijaną. Uniósłbym ją do góry i wziął w ramiona, odgarnąłbym kosmyk włosów, który spadł jej na oczy, pocałowałbym w uszko. Wyobraziłem sobie, jak wraca do życia, budząc się z pijackiej drzemki.

- Nie słuchasz mnie - powiedział ojciec z naganą w głosie. To prawda, nie słuchałem. Całkowicie zapomniałem o swym gorzkim rozczarowaniu, pochłonięty snem o Pris. -Wciąż ścigasz błędne ognie. - Popatrzył na mnie, marszcząc czoło.

W moim śnie, w szczęśliwszej rzeczywistości, pocałowałem Pris jeszcze raz, a ona otworzyła oczy. Z powrotem ułożyłem ją na łóżku i sam położyłem się obok, przytulając ją do siebie.

- Jak się miewa Lincoln? - usłyszałem przy uchu szept Pris. Nie okazała zdziwienia tym, że ją tulę i całuję. W istocie nie zdradzała żadnych emocji. Ale to była Pris.

— Dobrze, w takiej mierze, w jakiej można było oczekiwać. — Niezdarnym ruchem pieściłem jej włosy, gdy tak leżała na boku, spoglądając na mnie w ciemności. Z trudem mogłem dostrzec zarys jej ciała. — Nie — przyznałem. — Prawdę mówiąc, jest w fatalnym stanie. Wpadł w chorobliwą depresję. Czym się przejmujesz? Przecież to twoja wina.

- Ja go ocaliłam - powiedziała ospale nieobecny głosem. - Proszę, daj mi papierosa. Zapaliłem papierosa i podałem go jej. Palila, nie ruszając się z łóżka. Dobięł mnie głos ojca:

- Zapomnij o tym wymyślonym ideale, mein Sohn. Przez niego oddalasz się od rzeczywistości, jak zauważył pan Barrows. To poważna sprawa! Taki stan doktor Horstowski nazwałby, wybac mi to określenie, chorobą. Rozumiesz? Usłyszałem przytłumiony głos Chestera:

- To schizofrenia, tato, jak u tych dorastających dzieci. Cierpią na nią miliony Amerykanów, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, nie trafiając nigdy do szpitala. Czytałem o tym artykuł.

Odezwała się Pris:

- Jesteś dobrym człowiekiem, Louis. Przykro mi, że się we mnie zakochałeś. Tracisz tylko czas, ale, jak przypuszczam, masz to gdzieś. Możesz mi wyjaśnić, czym jest miłość? Miłość taka jak ta.

- Nie - odparłem.

- Może byś spróbował - poprosiła. - Czy drzwi są zamknięte? Jeśli nie, to idź i zamknij je.

- Cholera - zakląłem bezradnie. - Nie mogę zaniknąć im drzwi przed nosem. Wciąż są tutaj, wprost nad nami. Nigdy się od nich nie uwolnimy, nigdy nie będziemy sami, tylko we dwoje... Wiem to. - I choć wiedziałem to, co wiedziałem, poszedłem i zamknąłem drzwi.

Kiedy wróciłem, zobaczyłem Pris, że stoi na łóżku. Rozpinała zamek u spódnicy, którą następnie ściągnęła przez głowę i rzuciła na krzesło. Rozbierała się. Teraz zrzuciła buty.

- Któż inny może mnie nauczyć, jeśli nie ty, Louis - powiedziała. - Zaciągnij zasłony. - Zaczęła zdejmować bieliznę, ale ją powstrzymałem. - Dlaczego nie?

- Tracę zmysły - oznajmiłem. - Dłużej tego nie wytrzymam. Muszę wracać do Boise i zobaczyć się z doktorem Horstowskim. Nie możemy tego zrobić, w każdym razie nie tutaj, gdy w tym samym pokoju jest moja rodzina.

— Jutro polecimy do Boise - łagodnie wyszeptła Pris. Ściągnęła narzutę, koce, kołdrę i sięgnawszy po papierosa, położyła się na łóżku. Niczym się nie okryła, po prostu leżała naga. - Jestem taka zmęczona, Louis. Zostań tu dzisiaj ze mną.

— Nie mogę.

- A więc zabierz mnie do pokoju, który wynająłeś.

- Tego również nie mogę zrobić. Jest tam Lincoln.

- Louis - powiedziała - ja chcę tylko spać. Połóż się i okryj nas oboje. Nie będą nam

przeszkadzać. Nie bój się ich. Przykro mi, że Lincoln ma jeden ze swych ataków. Nie wiń mnie za to, Louis. Cierpi na nie tak czy owak, a ja przecież ocaliłam mu życie. To moje dziecko... nieprawdaż?

— Chyba można to tak wyrazić - zgodziłem się.

- Powołałam go do życia, matkowałam mu. Jestem z tego bardzo dumna. Kiedy zobaczyłam tego obleśnego Booth'a... Jedyne, czego pragnęłam, to z miejsca go zabić. Od razu, jak tylko go ujrzałam, wiedziałam, jakiemu celowi ma służyć. Czy mogę być także twoją matką? Szkoda, że nie powołałam cię do życia. Szkoda, że nie powołałam do życia wszystkich ludzi... każdego. Daję życie. Dziś jedno zabrałam. To jest dobry uczynek, jeśli jesteś w stanie go spełnić. Odebranie komuś życia wymaga wielkiej siły, nie uważasz, Louis?

- Tak - przyznałem. Znów usiadłem obok niej na łóżku. Sięgnęła ręką w ciemnościach i odgarnęła mi włosy z oczu.

- Mam nad tobą władzę: mogę dawać i odbierać życie. Czy to cię nie przeraża? Wiesz, że to prawda.

— Teraz już się nie boję — powiedziałem. — Bałem się, kiedy uzmysłowiłem to sobie po raz pierwszy.

- Mnie to nigdy nie przerażało - rzekła Pris. - Gdyby tak było, utraciłabym całą władzę. Zgodzisz się ze mną, Louis? Muszę chronić ten dar, ktoś go musi posiadać.

Nie odpowiedziałem. Dym z cygara unosił się dookoła mnie. Robiło mi się od niego niedobrze, gdyż uświadamiał mi obecność ojca i brata, którzy uważnie mi się przyglądali.

- Człowiek musi pielęgnować jakąś iluzję - odezwał się ojciec, gwałtownie wydmuchując dym - ale ta jest niedorzeczna.

Chester jedynie skinął głową.

- Pris - powiedziałem głośno.

— Słuchaj, posłuchaj tylko — podnieconym głosem mówił ojciec — on ją woła, on z nią rozmawia!

- Wynoście się stąd! - zawołałem do ojca i Chestera. Zacząłem machać rękami, ale nie przyniosło to spodziewane-

go rezultatu. Żaden z nich się nie ruszył. - Zrozum, Louis - rzekł ojciec - współczuję ci. Widzę to, czego Barrows nie potrafi dostrzec: szlachetność twych poszukiwań.

Poprzez ciemności i szmer ich głosów jeszcze raz dotarłem do Pris. Zwinęła swe rzeczy w kłębek i obejmując je rękami, siedziała skulona na skraju łóżka.

- Czy to ma jakieś znaczenie, kto co o nas mówi lub myśli? Nie martwiłabym się tym.

Nie pozwoliłabym, aby te słowa się zmaterializowały. Wszyscy, którzy są na zewnątrz, są na nas źli: Sam, Maury i cała reszta. Lincoln nie wysłałby cię tutaj, gdyby to było niewłaściwe. Czyżbyś o tym nie wiedział?

- Pris - powiedziałem - wiem, że wszystko będzie dobrze. Czeka nas szczęśliwa przyszłość.

Uśmiechnęła się na te słowa. W ciemnościach dostrzegłem błysk jej zębów. Był to uśmiech przesycony cierpieniem, smutkiem i przez moment zdawało mi się — tylko przez moment — że to, co zaobserwowałem u Lincolna, pochodziło od niej. Ból, który odczuwała, był przez tę chwilę bardzo wyraźnie widoczny. Mimowolnie przekazała go swojemu dziełu, prawdopodobnie nie zdając sobie z tego sprawy, że w ogóle go odczuwa.

- Kocham cię - wyznałem.

Pris wstała: naga, zimna i szczupła. Położyła mi ręce na głowie i przyciągnęła do siebie.

- Mein Sohn - mówił ojciec, tym razem do Chestera - er schlaft in dem Freiheit der Liebesnacht. To znaczy, że on śpi, mój chłopcze, śpi upojony wolnością w tę noc miłości, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

- Co powiedzą w Boise? - powiedział Chester poirytowany. - Jak mamy tam wrócić, kiedy on jest w takim stanie?

- Och, zamknij się, Chester - rzekł ojciec z naganą w głosie. - Nie rozumiesz głębi jego psychiki, nie rozumiesz, co on znalazł. Psychoza ma dwa oblicza. Jest ona także powrotem do źródła, które kiedyś porzuciliśmy. Lepiej o tym pamiętaj, Chester, zanim otworzysz usta.

— Słyszysz ich? — spytałem Pris.

Wlepiała we mnie wzrok, twarz miała pozbawioną wyrazu. Stojąc naprzeciw mnie z ciałem wygiętym w łuk, wybuchnęła miękkim, litościwym śmiechem. A jednak była czujna, ponieważ zmiana i rzeczywistość, zdarzenia rozgrywające się w jej życiu, czas jako taki - wszystko to przestało dla niej istnieć.

Z niedowierzaniem uniosła ręce i dotknęła mego policzka. Pogłaskała go koniuszkami palców.

Od strony drzwi dobiegł mnie wyraźny głos pani Nild:

- Wychodzimy stąd, panie Rosen. Zostawiamy panu mieszkanie.

Usłyszałem, jak Barrows mamrocze z oddali:

- Ta dziewczyna jest niepełnoletnia. Wszystko się pokręciło. Co ona w ogóle robi w sypialni? Czy to chude ciało...? -Jego głos stopniowo zanikał.

Ani ja, ani Pris nie odezwaliśmy się. Po chwili usłyszeliśmy trzask zamykanych drzwi.

- To miło z ich strony - powiedział mój ojciec. - Louis, powinieneś im chociaż podziękować. Ten pan Barrows jest jednak dżentelmenem, niezależnie od tego, co mówi. Tak czy owak, o człowieku bardziej świadczą jego uczynki niż słowa.

- Powinieneś być wdzięczny im obojgu - mruknął do mnie Chester. Zarówno on, jak i ojciec posłali mi surowe, potępiające spojrzenie. Ojciec wciąż żuł swoje cygaro.

Obejmowałem Pris, a to było dla mnie wszystkim.

Rozdział siedemnasty

Kiedy następnego dnia ojciec i Chester zawieźli mnie do Boise, dowiedzieli się, że doktor Horstowski nie może - lub nie chce - mnie leczyć. Zrobił mi jednak kilka testów psychologicznych w celu postawienia diagnozy. Pamiętam jeden, w którym należało wysłuchać nagranych na taśmie głosów, dobiegających jakby z oddali. Tylko niektóre zdania można było zrozumieć bez kłopotów. Moje zadanie polegało na opisaniu tego, o czym były kolejne rozmowy.

Myślę, że doktor Horstowski postawił diagnozę na podstawie wyników tego testu, ponieważ każdą rozmowę opisałem jako dotyczącą mojej osoby. Słyszałem, jak rozmówcy opisują moje wady, moje porażki, analizują moje postępowanie, oceniają zachowanie... Słyszałem, jak wyrażają się obraźliwie o mnie, o Pris oraz o naszym związku.

Na koniec Horstowski stwierdził lakonicznie:

- Louis, za każdym razem, kiedy padało słowo „dziś”, ty myślałeś, że mówią „Pris”. - Wyglądało, jakby go to przygnębiło. - A kiedy sądziłeś, że słyszysz „Louis”, to na ogół było to słowo: „lubisz”. - Popatrzył na mnie smutno i umył ręce od mojej osoby.

Nie znaczy to jednak, że zostałem pozbawiony fachowej opieki psychiatrycznej, gdyż doktor Horstowski przekazał mnie federalnemu pełnomocnikowi Biura Zdrowia Psychicznego w Piątym Obwodzie obejmującym północno-zachodnie wybrzeże Pacyfiku. Słyszałem o nim. Nazywał się doktor Ragland Nisea i do niego należała ostateczna decyzja odnośnie do wszystkich spraw kierowanych do tego okręgu. Jednoreki od 1980 roku, wysłał tysiące ludzi z zaburzeniami psychicznymi do federalnych szpitali rozsianych po całym kraju. Uważano go za znakomitego psychiatrę i diagnostę. Przez lata opowiadano sobie dowcip, że prędzej czy później każdy z nas wpadnie w łapy Nisei. Wszyscyśmy opowiadali ten dowcip, a niektórzy z nas doczekali się jego spełnienia.

— Przekona się pan, że doktor Nisea jest bardzo kompetentnym i troskliwym lekarzem - oświadczył mi doktor Horstowski, gdy wiozł mnie do Boise na spotkanie z pełnomocnikiem Biura.

- To bardzo miło z pana strony, że zawozi mnie pan tam osobiście - zauważyłem.

— Codziennie jeżdżę w tę i z powrotem, a więc tak czy owak musiałbym odbyć tę podróż. Ale dzięki mnie oszczędzi pan sobie wizyty w sądzie i kosztów sądowych... Jak pan zapewne wie, ostateczna decyzja należy do Nisei, więc lepiej, jeśli trafi pan w jego ręce niż przed oblicze zwykłego sędziego.

Skinąłem głowa. O to chodziło.

— Chyba z tego powodu nie czuje pan do mnie wrogości? -zapytał Horstowski. - Umieszczenie w szpitalu federalnym nie jest piętnem na całe życie... zdarza się to każdej minuty. Jeden na dziewięciu ludzi cierpi na chorobę psychiczną, która uniemożliwia mu... - Monotonnie mówił dalej, ale ja nie uważałem. Wszystko to słyszałem już wcześniej w tysiącach reklam telewizyjnych, czytałem w setkach artykułów prasowych.

Ale rzeczywiście byłem zły na niego za to, że umył ręce i przekazał mnie ludziom od zdrowia psychicznego, chociaż wiedziałem, że musiałby tak zrobić, gdyby podejrzewał u mnie chorobę psychiczną. Byłem właściwie zły na każdego, łącznie z oboma homunkulusami. Gdy tak jechaliśmy z jego gabinetu do siedziby Biura skąpanymi w słońcu, znajomymi ulicami Boise byłem przekonany, że każdy jest zdrajcą i moim wrogiem, że jestem otoczony przez obcy mi, nienawistny świat.

Testy, którym poddał mnie Horstowski, wykazały nie tylko to, ale także wiele innych rzeczy. W teście Rorschacha, na przykład, każdy obrazek interpretowałem jako strzaskaną, rozwaloną, pogruchotaną maszynię, od początku skonstruowaną z myślą, aby wykonywała gwałtowne, zabójcze ruchy w celu zadania mi ran cielesnych. I nie bez

racji. Jadąc do Biura na spotkanie z doktorem Niseą, wyraźnie widziałem sznur podążających za nami samochodów, bez wątplenia z powodu mojego powrotu do miasta; ludzie w samochodach na pewno dostali cynk o moim przyjeździe, natychmiast gdy wylądowałem na lotnisku w Boise.

- Czy doktor Nisea jest w stanie mi pomóc? - zapytałem doktora Horstowskiego, kiedy podjeżdżaliśmy do krawężnika obok dużego, nowoczesnego wielopiętrowego budynku z licznymi oknami. Teraz dopiero wpadłem w panikę. -Chodzi mi o to, że ludzie z Biura dysponują całą nowoczesną techniką, której pan nie ma, wszystkimi najnowszymi...

- To zależy od tego, co pan rozumie przez pomoc - powiedział Horstowski, otwierając drzwiczki samochodu i pokazując mi, bym razem z nim udał się do budynku.

A więc wreszcie się tu znalazłem. W miejscu, do którego tyłu trafiło przede mną. Oto Federalne Biuro do Zdrowia Psychicznego, jego oddział diagnostyczny - przypuszczalnie początek nowego rozdziału w moim życiu.

Pris miała wiele racji, kiedy zauważyła, że jest we mnie głęboko niestabilna rysa, która pewnego dnia wpędzi mnie w kłopoty. Pograżony w malignie, zmęczony i zrezygnowany, dostałem się w końcu pod opiekę specjalistów, tak jak Pris kilka lat wcześniej. Nie znałem wprawdzie diagnozy Horstowskiego, ale bez pytania wiedziałem, że stwierdził u mnie objawy wskazujące na schizofrenię... Sam to czułem. Po co więc zaprzeczać czemuś, co

jest oczywiste?

Byłem szczęściarzem, mając zapewnioną kompleksową opiekę. Bóg mi świadkiem, że znalazłem się w tak opłakanym stanie, iż byłem o krok od popełnienia samobójstwa albo kompletnego załamania, z którego - być może - już bym się nie wygrzebał. A że dewiacja została wcześniej wykryta... miałem duże szansę, że się wyleczę. Zrozumiałem, że znalazłem się we wczesnej fazie podniecenia katatonicznego, jeszcze zanim rozwinęły się jakieś stabilne cechy psychotyczne, takie jak hebefrenia lub paranoja. Cierpiałem na chorobę w jej prostej, pierwotnej postaci, która jest jeszcze podatna na terapię.

Powinienem dziękować ojcu i bratu za ich szybkie działanie.

Ale choć wszystko to wiedziałem, szedłem z Horstowskim do Biura, trzęsąc się ze strachu, świadom swej wrogości i wrogości całego otoczenia. Niby wszystko wiedziałem, lecz jednocześnie niczego nie rozumiałem. Jakaś część mnie wiedziała i rozumiała, podczas gdy reszta rzucała się jak zwierzę w klatce, które tęskni za swym środowiskiem, za znajomymi miejscami.

W tym momencie mogłem odpowiadać tylko za małą cząstkę mojego umysłu, bo reszta szła własną drogą.

Zrozumiałem wtedy, dlaczego ustawa McHestona była konieczna. Osoba z prawdziwymi zaburzeniami psychicznymi-na przykład ktoś taki jak ja-nigdy sama z własnej woli nie będzie szukała pomocy. Należało więc zmusić ją do tego aktem prawnym. W tym właśnie tkwi istota choroby psychicznej.

Pris, pomyślałem, kiedyś znalazłaś się w podobnej sytuacji. Namierzyli cię, w szkole, zabrali i odseparowali od reszty ludzi; zaciągnęli cię tutaj, tak jak dzisiaj mnie. A mimo to udało im się przywrócić cię społeczeństwu. Czy ze mną też im się powiedzie?

A czy po zakończeniu leczenia, myślałem, będę taki sam jak ty? Do jakiego wcześniejszego, bardziej normalnego stanu w moim życiu uda im się mnie przywrócić?

Co wtedy będę do ciebie czuł? Czy będę cię jeszcze pamiętał?

A jeśli tak, to czy będzie mi wówczas zależało na tobie tak mocno, jak teraz?

Doktor Horstowski zostawił mnie w poczekalni, gdzie przez godzinę siedziałem w towarzystwie innych zdezorientowanych, chorych ludzi, aż w końcu przyszła pielęgniarka i poprosiła mnie do gabinetu. Tam zostałem przedstawiony doktorowi Nisei, który okazał się mężczyzną niewiele starszym ode mnie. Miał dobrą prezencję, brązowe oczy i gęste, starannie uczesane włosy. Podchodził do pacjenta troskliwie i poważnie, z czym nigdy przedtem się nie spotkałem, wyjąwszy lekarzy weterynarii. Z miejsca okazał troskliwe zainteresowanie, pytając, jak się czuję i upewniając się, czy rozumiem, dlaczego tu trafiłem.

- Jestem tu dlatego - powiedziałem - że utraciłem płaszczyznę, na której mogłem komunikować innym ludziom moje potrzeby i emocje. — Siedząc w poczekalni, miałem by dokładnie przemyśleć, co mam powiedzieć. - Nie już możliwości zrealizowania swoich potrzeb w real-świecie, wobec czego uciekam w świat fantazji. Doktor Nisea przyglądał mi się z namysłem.

- I chciałby pan to zmienić.

- Chciałbym osiągnąć zadowolenie z życia, realnego życia.

- Nie ma pan absolutnie nic wspólnego z resztą ludzi?

- Nic a nic. Moja rzeczywistość leży poza granicami świata, którego doświadczają inni ludzie, na przykład pan. Gdy-

panu o tym opowiedział, uznalby pan to, a raczej ją, za czystą fantazję.

- Kim jest ta ona?

- To Pris - odparłem.

Czekał, ale nie powiedziałem nic więcej.

- Doktor Horstowski opisał mi krótko przez telefon pański przypadek — powiedział w końcu. — Najwyraźniej cierpi pan na wybujały dynamizm, który nazywamy schizofrenią typu Magna Mater. Jednakże prawo obliguje mnie do zrobienia panu wpieryw testu przysłów Jamesa Benjamina, a potem radzieckiego testu z klockami Wygotskiego-Łurii. -Skinął głową i za moimi plecami pojawiła się pielęgniarzka z notesem i ołówkiem w ręku. - Teraz przeczytam panu kilka przysłów, a pan wyjaśni mi ich znaczenie. Jest pan gotowy?

- Tak - odpowiedziałem.

- Myszy harcują, kiedy kota nie czują. Chwilę się namyslałem, nim odpowiedziałem:

- Źle się dzieje, kiedy panuje bezhołowie.

W podobny sposób załatwialiśmy kolejne przysłowia i dobrze mi szło, dopóki doktor Nisea nie przeczytał mi tego, które okazało się fatalnym dla mnie przysłowiem numer sześć.

- Toczący się kamień mchem nie porasta.

Mimo że starałem się ze wszystkich sił, nie potrafiłem sobie przypomnieć jego znaczenia. Wreszcie zaryzykowałem:

- Cóż, oznacza to, że osoba, która zawsze jest aktywna i nigdy się nie zastanawia... — Nie, to nie brzmiało dobrze. Spróbowałem jeszcze raz. - Oznacza to, że człowiek, który jest zawsze aktywny i stale rozwija swoje moralne i umysłowe cnoty, nigdy nie poczuje się zmęczony. - Doktor przypatrywał mi się z coraz większą uwagą, więc gwoli wyjaśnienia dodałem: - Chodzi o to, że człowiek, który jest aktywny i nie pozwala, aby trawa wyrosła mu pod stopami, osiągnie sukces w życiu.

- Rozumiem - powiedział doktor Nisea i wtedy zrozumiałem, że z punktu widzenia prawa ujawniłem schizofreniczną dezorganizację myślową.

— Co ono w końcu oznacza? — zapytałem. — Czyżbym zrozumiał je na opak?

- Niestety, tak. Ogólnie akceptowane znaczenie tego przysłowia ma sens odwrotny do tego, co pan podał. Na ogół ujmuje się je tak: osoba, która...

— Nie musi pan mówić — wtrąciłem. — Przypomniałem sobie... naprawdę to wiedziałem. Osoba, która jest niestała, nigdy nie osiągnie niczego, co ma w życiu wartość.

Doktor Nisea skinął głową i przeszedł do następnego przysłowia. Ale wymóg prawny został spełniony; wykazałem formalne zaburzenie procesu myślenia.

Po przysłowiach spróbowałem swych sił w układaniu klocków, ale bez powodzenia. Zarówno ja, jak i doktor Nisea odetchnęliśmy z ulgą, kiedy się poddałem i odsunąłem klocki na bok.

- To byłoby na tyle - powiedział Nisea. Skinął na siostrę, aby wyszła. - Możemy się zabrać do wypełniania formularzy. Czy ma pan jakieś życzenia odnośnie do wyboru konkretnej kliniki? Moim zdaniem najlepszy jest szpital w Los Angeles, choć pewnie uważam tak dlatego, że znam go najlepiej. Klinika Kasanina w Kansas City...

- Proszę mnie tam wysłać - poprosiłem żarliwie.

- Jakies specjalne powody?

- Wyleczono tam wielu moich przyjaciół - odparłem wymijająco.

Popatrzył na mnie tak, jakby podejrzewał, że ukrywam jakieś głębsze powody.

- Poza tym cieszy się ona doskonałą opinią. Większość moich znajomych, którym się zdecydowanie poprawiło, była leczona w Klinice Kasanina. Nie mówię, że inne szpitale są złe, ale ta jest najlepsza. Moja ciotka Gretchen, która przebywa w Klinice Harry'ego Stacka Sulivana w San Diego, była pierwszą osobą chorą psychicznie, z jaką miałem do czynienia. Oczywiście potem było wiele innych,

co można było przewidzieć, zważywszy na to, o czym się mówi każdego dnia w telewizji, a mianowicie, że na choroby psychiczne cierpi znaczna część naszego społeczeństwa. Następny był mój kuzyn Leo Reggis. Wciąż przebywa w jakiejś klinice. Mój nauczyciel angielskiego; ten zmarł w szpitalu. Był też sąsiad, George Oliveri, stary Włoch żyjący z renty: wpadł w podniecenie katatoniczne i przyjechali po niego. Pamiętam kolegę z wojska, Artę Bolesa; miał schizofrenię i trafił do Kliniki Fromma-Reichmanna w Rochester w stanie Nowy Jork. Następna była Alys Johnson, dziewczyna, z którą chodziłem do college'u. Jest teraz w Klinice Samuela Andersona w Obwodzie Trzecim, czyli w Baton Rouge w stanie Luizjana. A także Ed Yeats, facet, u którego pracowałem: zachorował na schizofrenię, która

przybrała w końcu postać ostrej paranoi. Waldo Dangerneid, inny mój kolega. Gloria Milstein, moja znajoma, Bóg wie, gdzie ona teraz jest. Namierzyli ją testem psychologicznym, kiedy składała podanie o pracę maszynistki. Przyjechali po nią federalni... była niska, ciemnowłosa, bardzo atrakcyjną dziewczyną i nikt niczego nie podejrzewał, dopóki nie zrobiono tego testu. Dalej John Franklin Mann, sprzedawca używanych samochodów, mój znajomy. W testach wyszło, że jest schizofrenikiem, więc zabrano go do szpitala. Myślę, że do Kliniki Kasanina, gdyż ma krewnych w Missouri. Również Age Morrison, inna moja znajoma. Zwolniono ją do domu. Jestem pewny, że leczyła się u Kasanina. Wszyscy, którzy tam przebywali, po wyjściu wydawali się być jak nowi, by nie powiedzieć: lepsi. Klinika Kasanina nie tylko spełnia wymogi ustawy McHestona, ale naprawdę leczy ludzi. Tak mi się w każdym razie wydaje.

Na formularzach urzędowych doktor Nisea napisał „Klinika Kasanina w K. C.”, a ja odetchnąłem z ulgą.

- Tak - mruknął pod nosem - mówi się, że Kansas City jest dobre. Prezydent spędził tam dwa tygodnie, wiedział pan o tym?

- Owszem, słyszałem - przyznałem. Wszyscy znali historię heroicznych zmagania prezydenta z chorobą psychiczną, która ujawniła się u niego, gdy miał kilkanaście lat. Ostateczne zwycięstwo nad nią odniósł w wieku lat dwudziestu kilku.

- A teraz, zanim się rozstaniemy - rzekł doktor Nisea -

chciałbym panu powiedzieć więcej na temat schizofrenii typu Magna Mater.

- Chętnie - zgodziłem się. - Cały zamieniam się w słuch.

- Przyznam się, że była ona przedmiotem mojego szczególnego zainteresowania - oznajmił doktor Nisea. - Napisałem na jej temat kilka książek. Pewnie zna pan teorię Andersona, która przypisuje każdej formie schizofrenii odpowiedni system religijny.

Kiwnąłem twierdząco głową. Poglądy Andersona na schizofrenię przedstawiał niemal każdy popularny tygodnik w Ameryce. Był to modny temat.

- Podstawową formą, jaką przybiera schizofrenia, jest forma heliocentryczna, w której słońcu oddaje się cześć boską. Uważa się ją w istocie za ojca wszystkich form schizofrenii. Pana ona nie dotyczy. Forma heliocentryczna jest najbardziej prymitywna i odpowiada jej najwcześniejsze systemy religijne, w których słońcu przypisywano cechy boskie. Można tu wymienić mitraizm, wielki heliocentryczny system religijny okresu rzymskiego, a także mazdaizm, wczesny staroirański kult słońca.

- Tak - zgodziłem się.

— Magna Mater z kolei, a więc to, co pana dotyczy, była wielką boginią na obszarze

basenu Morza Śródziemnego w okresie cywilizacji mykeńskiej. Isztar, Kybele, Attis, później sama Atena... a w końcu dziewica Maria. To, co pana spotkało, można opisać następująco: anima, czyli uosobienie nieświadomości, jej archetyp, uległa projekcji na zewnątrz, w kosmos, na której to płaszczyźnie jest teraz postrzegana i czczona.

- Rozumiem - wtrąciłem

- Na tej płaszczyźnie doświadcza jej pan jako niebezpiecznej, wrogiej i superpotężnej, a przy tym atrakcyjnej istoty. Jest ona uosobieniem wszystkich przeciwieństw: włada całością życia - a jest martwa; całą miłością - a jest zimna; całą inteligencją - a podlega destrukcyjnemu analitycznemu trendowi, który nie jest twórczy, chociaż sama jest postrzegana jako źródło twórczości. Oto przeciwieństwa, które drzemią w nieświadomości, a które przekraczane są przez świadome Gestalt. Kiedy te przeciwieństwa doświadczane są bezpośrednio, jak w pańskim wypadku, nie można ich głębiej zbadać i uporać się z nimi. W końcu

rozerwą pańskie ego i unicestwią je, gdyż jak pan wie, w swej wyjściowej formie są archetypami, a tych ego nie potrafi zasymilować.

- Ach tak - powiedziałem.

- Bitwa ta jest więc wielkim zmaganiem świadomego umysłu pragnącego osiągnąć porozumienie z własnym aspektem kolektywnym, z nieświadomością, lecz jest to walka z góry skazana na porażkę. Archetypów w nieświadomości należy bowiem doświadczać pośrednio, poprzez anime, w formie złagodzonej, wolnej od ich biegunowych skrajności. Aby to osiągnąć, musi pan całkowicie zmienić swój kontakt z nieświadomością. Teraz wygląda to tak, że pan jest pasywny, a ona dzierży całą moc decyzyjną.

- Racja - przytaknąłem.

- Pańska świadomość została tak zubożona, że nie może już działać. Nie posiada żadnej władzy poza tą, którą czerpie z nieświadomości, a obecnie nastąpiło ich rozszczepienie. Niemożliwe jest więc nawiązanie kontaktu za pośrednictwem animy. - Doktor Nisea zakończył słowami: -Cierpi pan na względnie łagodną formę schizofrenii. Ale i tak jest to psychoza, która wymaga leczenia w państwowym szpitalu. Chciałbym się z panem ponownie spotkać, gdy wróci pan z Kansas City. Liczę na fenomenalną poprawę pańskiego stanu. - Obdarzył mnie szczerym i ciepłym uśmiechem, który odwzajemniłem. Wstając, wyciągnął rękę, którą uściśnałem.

Jechałem więc do Kliniki Kasanina w Kansas City.

Na oficjalnym przesłuchaniu w obecności świadków doktor Nisea wręczył mi nakaz, pytając jednocześnie, czy są jakieś powody, które uniemożliwiałyby mi natychmiastowy

wyjazd do Kansas City. Zrobiło mi się zimno od tych formalności prawnych i tym niecierpliwiej wyglądałem podróży. Nisea chciał dać mi dwadzieścia cztery godziny na uporządkowanie swoich spraw, ale odmówiłem, pragnąc wyruszyć jak najszybciej. W końcu zgodziliśmy się na osiem godzin. Pracownicy doktora zarezerwowali mi bilet na samolot, po czym taksówką wróciłem do Ontario, aby tam czekać, aż nadejdzie czas wyruszenia w moją wielką podróż na wschód.

Powiedziałem taksówkarzowi, aby zawiózł mnie do domu Maury'ego, gdzie zostawiłem znaczną część swojego dobytku. Wkrótce pukałem już do drzwi.

W domu nie było nikogo. Nacisnąłem klamkę; drzwi były otwarte. Wszedłem więc do środka. Dom był cichy i opustoszały.

W łazience obejrzałem ścienną mozaikę, nad którą Pris pracowała tamtej pierwszej nocy. Teraz była skończona. Przez pewien czas stałem nieruchomo, podziwiając zarówno kolorystykę, jak i samą scenę: syrenę i ryby, ośmiornicę z oczami błyszczącymi niczym klamerki do butów. A więc ją ukończyła.

Jedna niebieska płytką była obluzowana. Wydłubałem ją ze ściany, wytarłem z resztek kleju i włożyłem do kieszeni.

Na wypadek, gdybym o tobie zapomniał, pomyślałem. Ty i ta twoja łazienkowa mozaika: twoja syrena z różowymi ceramicznymi cyckami, twoje śliczne i straszne stwory pluskające i baraszkujące pod wodą. Spokojną, wieczną wodą... Ponad moją głową, na wysokości prawie dwóch i pół metra, narysowała linię, a nad nią - niebo. Bardzo skromne: Niebo nie odgrywało większej roli w tym dziele stworzenia.

Gdy tak stałem, usłyszałem walenie do drzwi frontowych. Ktoś mnie szukał, ale nie ruszyłem się z miejsca. Co to ma za znaczenie? Czekałem, aż w końcu do środka wpadł zdyszany Maury Rock. Widząc mnie, stanął jak wryty.

- Patrzcie państwo, Louis Rosen - powiedział - i do tego w łazience.

— Zaraz wychodzę.

- Sąsiadka zadzwoniła do mnie do biura. Zobaczyła, jak wysiadałeś z taksówki i wchodziłeś do środka, a wiedziała, że nie ma mnie w domu

— Szpieguje mnie. — Nie byłem zdziwiony. — Wszyscy chodzą za mną, gdziekolwiek się ruszę. - Stałem z rękami w kieszeniach, nie przestając się wpatrywać w kolorową ścianę.

- Sądziła po prostu, że powinna mnie o tym poinformować. Domyśliłem się, że chodzi o ciebie. - Nagle zauważył moją walizkę oraz rzeczy, które zebrałem. - Naprawdę ześwirowałeś. Zaledwie wróciłeś z Seattle... kiedy to było? Musiało być chyba wcześniej rano. A

teraz znów się gdzieś wybierasz.

— Muszę jechać, Maury — odezwałem się. — Takie jest prawo.

Patrzył na mnie, szczęka stopniowo opadała mu coraz niżej; potem poczerwieniał.

- Przepraszam, Louis, naprawdę przepraszam, że na- zwałem cię świrem.

— Ależ ja nim jestem. Rozwiązywałem dziś test przysłów Benjamina i ten drugi z klockami i żadnego z nich nie zdałem. Wręczono mi już nakaz.

- Kto cię oddał w ich ręce? - wymamrotał, pocierając podbródek.

- Ojciec i Chester.

- Jasny gwint. Twoja krew.

- Oni uratowali mnie przed paranoją. Posłuchaj, Maury. -Odwróciłem się, by spojrzeć mu w twarz. — Wiesz, gdzie ona jest?

- Gdybym wiedział, to jak Boga kocham, bym ci powiedział. Nawet jeśli zostałeś oficjalnie uznany za wariata.

- Wiesz, dokąd wysyłają mnie na leczenie?

- Do Kansas City? Skinąłem głową.

- Kto wie, może ją tam spotkasz. Całkiem możliwe, że ludzie od zdrowia psychicznego dopadli ją i wysłali z powrotem, zapominając mnie o tym powiadomić.

- Taak, może masz rację - powiedziałem. Podeszedł bliżej i wałnął mnie ręką w plecy.

— Życzę ci szczęścia, ty skurczybyku. Wierzę, że się z tego wykaraskasz. Cierpisz na schizofrenię, jak przypuszczam. Cóż, tak to już jest.

— Mam schizofrenię typu Magna Mater. — Sięgnąłem do kieszeni płaszcza i wyciągnąłem kawałek płytki, pokazując ją Maury'emu. - Na pamiątkę po niej. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. W końcu to twój dom i twoja mozaika.

- Bierz śmiało. Bierz całą rybę. Bierz cycek. - Podeszedł do syreny. - Wcale nie żartuję, Louis. Wydłubiemy różowy cycek i możesz go ze sobą nosić, co ty na to?

- Ten kawałek mi wystarczy.

Jakiś czas staliśmy zażenowani naprzeciw siebie.

- Jakie to uczucie być schizofrenikiem? - zapytał w końcu.

- Niedobre, Maury, bardzo niedobre.

- Tak właśnie myślałem. Pris stale mi to powtarzała. Była szczęśliwa, gdy wreszcie się to skończyło.

- To ten wyjazd do Seattle, od tego się zaczęło. Nazywają to podnieceniem katatonicznym, palącą potrzebą, aby coś zrobić. Zazwyczaj okazuje się, że twoje działanie nie przyniosło nic dobrego, nic nie dało. Kiedy to sobie uświadamiasz, wpadasz w panikę i już

jesteś pogrążony w prawdziwej psychozie. Słyszałem głosy i widziałem... - Urwałem.

- Co widziałeś? -Pris.

- Chryste - powiedział Maury.

- Zawieziesz mnie na lotnisko?

- Oczywiście, bracie. Pewnie, że tak. - Energicznie kiwał głową.

- Mam czas do wieczora, więc może moglibyśmy zjeść razem obiad. Nie mam ochoty na spotkanie z rodziną po tym, co się stało. Trochę mi wstyd.

- Jakim cudem mówisz tak rozsądnie, skoro jesteś schizofrenikiem? - zapytał Maury.

- Nie znajduję się teraz pod presją, więc jestem w stanie skupić uwagę. Na tym właśnie polega atak schizofrenii: na osłabieniu koncentracji do tego stopnia, że kontrolę przejmują procesy nieświadome. Przejmują władzę nad świadomością. To bardzo archaiczne procesy, archetypowe, których normalni ludzie nie doświadczają, odkąd skończyli pięć lat.

- Masz szalone myśli. Wydaje ci się, że wszyscy są przeciwko tobie, że jesteś centrum wszechświata.

- Nie - zaprzeczyłem. - Doktor Nisea wyjaśnił mi, że to w heliocentrycznej schizofrenii...

- Nisea? Ragland Nisea? Oczywiście, zgodnie z prawem musiałeś się z nim zobaczyć. To do niego trafiła Pris na początku. Osobiście, w swoim gabinecie, zrobił jej test Wygotskiego-Łurii z klockami. Zawsze chciałem go poznać.

- Inteligentny człowiek, i do tego bardzo ludzki.

- Czy jesteś niebezpieczny dla otoczenia?

- Tylko wtedy, kiedy jestem rozzłoszczony.

- Mogę więc cię opuścić?

- Myślę, że tak - powiedziałem. - Ale spotkamy się tutaj wieczorem na obiedzie.

Około szóstej. To da nam czas, aby zdążyć na lotnisko.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? Przynieść ci coś?

- Nie, ale dzięki.

Maury jeszcze przez chwilę kręcił się po domu, po czym usłyszałem trzaśnięcie drzwiami. W domu znowu zapanowała cisza. Byłem sam, tak jak wcześniej.

Z powrotem zabrałem się do pakowania swoich rzeczy.

Zjedliśmy obiad, po czym Maury odwiózł mnie swym jaguarem na lotnisko w Boise. Patrzyłem na przesuwające się ulice. Każda kobieta, jaką zauważyłem, wyglądała - przynajmniej przez chwilę - jak Pris. Za każdym razem myślałem, że to ona, ale to nie była ona. Maury zauważył mój stan, ale nie powiedział ani słowa.

Ludzie od zdrowia psychicznego załatwili mi miejsce w pierwszej klasie na lot nową australijską rakieta C-80. Biuro, pomyślałem, ma sporo publicznych pieniędzy do wydania. Lot do Kansas City trwał tylko pół godziny, więc przed dziewiątą schodziłem już po schodkach, rozglądając się za ludźmi od zdrowia psychicznego, którzy mieli mnie odebrać.

U podnóża schodków podeszła do mnie dwójka młodych osób: kobieta i mężczyzna. Oboje byli ubrani w kolorowe płaszcze w szkocką kratę. Była to moja ekipa; w Boise poinformowano mnie, bym wyglądał takich właśnie płaszczy.

- Pan Rosen? - odezwał się pytająco młody człowiek.

- Zgadza się - potwierdziłem, ruszając przez płytę lotniska w stronę budynku dworca. Wzięli mnie między siebie.

- Chłodny mamy wieczór - zauważyła dziewczyna.

Oboje nie mają jeszcze dwudziestu lat, pomyślałem. Dwoje jasnookich nastolatków, którzy podejmując pracę w Biurze Zdrowia Psychicznego, kierowali się niewątpliwie czystym idealizmem i w tej właśnie chwili wykonywali swoje bohaterskie zadanie. Szli, stawiając szybkie, energiczne kroki, pokazując mi drogę do okienka bagażowego i prowadząc cichą rozmowę, która nie dotyczyła niczego szczególnego... Czułbym się całkiem swobodnie, gdyby nie to, że w blasku reflektorów naprowadzających statki powietrzne zauważyłem, iż dziewczyna jest zadziwiająco podobna do Pris.

- Jak ci na imię? - spytałem ją.

- Julie - odparła. - A to jest Ralf.

- Czy słyszałaś... czy pamiętasz pacjentkę, która była

u was kilka miesięcy temu? Młoda dziewczyna z Boise nazwiskiem Pris

Frauenzimmer.

- Przykro mi - powiedziała Julie - ale przyszedłam do Kliniki Kasanina dopiero w zeszłym tygodniu. On też. - Wskazała na swojego towarzysza. - Dopiero tej wiosny wstąpiliśmy do Korpusu Zdrowia Psychicznego.

- Jesteście zadowoleni z pracy? - spytałem. - Czy jest zgodna z waszymi oczekiwaniami?

- Och, to strasznie wdzięczne zajęcie - oświadczyła z zapartym tchem dziewczyna. - Prawda, Ralf? - Skinął głową. - Za nic byśmy z niej nie zrezygnowali.

- Czy wiecie coś na mój temat? - spytałem, gdy staliśmy, czekając, aż podajnik bagażu dostarczy moje walizki.

— Tylko to, że pracować z panem będzie doktor Shedd - powiedział Ralf.

— On jest fantastyczny - dodała dziewczyna. - Spodoba się panu. Tak wiele zrobił dla

ludzi, tylu z nich wyleczył!

Pojawiły się moje walizki. Ralf wziął jedną, ja drugą, po czym ruszyliśmy przez budynek w kierunku wyjścia.

— Bardzo ładne lotnisko — zauważyłem. — Nigdy przedtem tu nie byłem.

— Jego budowę zakończono dopiero w tym roku - poinformował mnie Ralf. - To pierwsze lotnisko, które może obsługiwać zarówno loty normalne, jak i pozaziemskie. Będzie pan mógł stąd polecieć na Księżyc.

- Co to, to nie - powiedziałem, ale Ralf mnie nie dosłyszał.

Wkrótce znaleźliśmy się na pokładzie helikoptera należącego do Kliniki Kasanina i wznieśliśmy się nad dachy Kansas City. Powietrze było mroźne i ostre; pod nami miliony świateł układały się w niezliczone wzory i przypadkowe konstelacje, które nie były żadnymi konstelacjami, tylko gromadami.

- Jak myślicie - zapytałem - czy za każdym razem, kiedy ktoś umiera, w Kansas City zaczyna mrugać nowe światełko?

Ralf i Julie uśmiechnęli się na ten mój dowcip.

— Czy wiecie, co by się ze mną stało — rzekłem — gdyby nie było programu przymusowego leczenia chorób psychicznych? Byłbym już martwy. On dosłownie ocalił mi życie.

Na tę uwagę również zareagowali uśmiechem.

— Dzięki Bogu, że Kongres uchwalił ustawę McHestona.

Oboje poważnie skinęli głowami.

— Nie macie pojęcia, jak to jest — ciągnąłem - gdy odczuwa się katatoniczny przymus, takie niepoahamowane pragnienie. Gna was stale do przodu, aż w końcu, w jednej chwili, załamujecie się. Wiecie, że macie coś z głową, żyjecie w świecie cieni. Wyobraźcie sobie, że w obecności ojca i brata odbywałem stosunek z dziewczyną, która istniała tylko w mojej głowie. Kiedy to robiliśmy, przez drzwi słyszałem ludzi wymieniających uwagi na nasz temat.

- Robiliście to przez drzwi? - zapytał Ralf.

— Nie, on słyszał rozmowę dobiegającą zza drzwi — sprostowała Julie. - Głosy, które wymieniały uwagi na temat tego, co robił; wyrażające dezaprobatę. Czyż nie tak, panie Rosen?

- Tak - odparłem. - Fakt, że musiałaś to wytłumaczyć, jest właśnie oznaką mojej niemożności komunikowania się z ludźmi. Swego czasu potrafiłbym to wyrazić w jednoznaczny sposób. Kiedy doktor Nisea doszedł do przysłowia o toczącym się kamieniu,

zrozumiałem, że między moim własnym językiem a tym, którego używa reszta społeczeństwa, powstała luka. I wtedy pojąłem, na czym polegały wszystkie moje dotychczasowe kłopoty.

— Ach, tak — rzekła Julie. - Numer sześć w teście przysłów Benjamina.

— Ciekaw jestem, które przysłowie źle zinterpretowała Pris sześć lat temu - powiedziałem. - To, które spowodowało, że Nisea ją wyłuskał.

- Kto to jest Pris? - zapytała Julie.

- Myślę, że to ta dziewczyna - odrzekł Ralf - z którą miał stosunek.

- Trafiłeś w dziesiątkę - zwróciłem się do niego. - Przebywała tu kiedyś, jeszcze przed wami. Teraz znów czuje się dobrze. Zwolniono ją na próbę. Jest moją Wielką Matką, jak mówi doktor Nisea. Moim przeznaczeniem jest oddawanie jej czci jak bogini. Dokonałem projekcji jej archetypu na cały wszechświat. Nie widzę nikogo oprócz niej, wszystko inne jest dla mnie nierealne. Ta nasza podróż, wy dwoje, doktor Nisea, cała Klinika Kasanina... to wszystko jedynie cienie.

Wyglądało na to, że po tym, co powiedziałem, nie ma co dalej prowadzić rozmowy. Resztę drogi przebyliśmy więc w milczeniu.

Rozdział osiemnasty

Doktora Shedda spotkałem następnego dnia o dziesiątej rano w łaźni tureckiej. W kłębach pary pacjenci łązili nago, podczas gdy wokół nich kręcili się pracownicy kliniki ubrani w niebieskie spodenki - najwyraźniej symbol statusu lub oznaka sprawowanego urzędu. Niewątpliwy wyróżnik ich odmiennej pozycji w zakładzie.

Doktor Shedd podszedł do mnie, wyłaniając się z obłoku białej pary, i uśmiechnął się przyjaźnie. Starszy gość - miał co najmniej siedemdziesiątkę - z kępkami włosów sterczących jak druty z okrągłej, pomarszczonej głowy. Jego skóra, przynajmniej w łaźni tureckiej, błyszczała różowo.

- Dzień dobry, Rosen - powiedział i pochylił nagle głowę, spoglądając na mnie chytrze spod oka jak mały gnom. - Jak minęła podróż?

- W porządku, panie doktorze.

- Wnoszę, że nie śledziły pana inne samoloty - powiedział i zachichotał.

Powinienem docenić jego dowcip, ponieważ dawał nim do zrozumienia, że dostrzega gdzieś we mnie element normalności, do którego chce się dostać za pośrednictwem humoru. Nabijał się z mojej paranoi i w ten sposób wrywał jej kły - podstępnie, choć delikatnie.

- Czuje się pan swobodnie, rozmawiając w takiej dość nieformalnej atmosferze? - zapytał doktor Shedd.

- O, tak. Gdy mieszkałem w okolicy Los Angeles, stale chodziłem do fińskiej sauny.

- Zobaczmy, co tu mamy. - Zajrzał do swych notatek. - Sprzedaje pan klawikordy. A także organy elektroniczne.

- Zgadza się, elektroniczne organy Rosena. Najlepsze na świecie.

- Był pan w Seattle w interesach, kiedy doszło do tego interludium schizofrenicznego. Spotkał się pan z jakimś panem Barrowsem. Tak twierdzą członkowie pańskiej rodziny, zgadza się?

- Co do joty.

- Mam wyniki testów, którym poddano pana w szkole, i wydaje się, że wtedy nie było żadnych kłopotów... obejmują one okres do dziewiętnastego roku życia. Potem mamy wyniki z wojska; tu też nie widać problemów. Ani przy składaniu kolejnych podań o pracę. Wygląda mi to raczej na schizofrenię sytuacyjną niż długotrwały proces. Zakładam, że tam, w Seattle, znajdował się pan pod wpływem wyjątkowo silnego stresu?

- O, tak - potwierdziłem, energicznie kiwając głową.

- Być może nigdy się to nie powtórzy, jest to jednak ostrzeżenie, niebezpieczny znak, którego nie można lekceważyć. - Przez dłuższą chwilę przyglądał mi się badawczo przez kłęby pary. - Prawdopodobnie możemy uzbroić pana w coś, co pozwoli panu skutecznie radzić sobie z własnym środowiskiem. Nazywamy to terapią kontrolowanych fantazji. Słyszał pan o niej?

- Nie, panie doktorze. - Ale podobało mi się brzmienie tej nazwy.

- Otrzyma pan leki halucynogenne, które sprowokują psychiczne zaburzenia, wywołają u pana halucynacje. Codziennie, przez ściśle określony czas. Pozwoli to zaspokoić regresywne pragnienia pańskiego libido, które obecnie Są zbyt silne, aby mógł pan bezpiecznie sobie z nimi radzić. Potem stopniowo będziemy skracać okresy fantazji w nadziei, że w końcu zlikwidujemy je zupełnie. Część terapii odbędzie pan tutaj. Spodziewamy się, że później będzie pan mógł z powrotem podjąć pracę w Boise i tam uczęszczać na kolejne sesje terapeutyczne. My tutaj jesteśmy zawałeni robotą.

- Wiem o tym.

- Nie boi się pan spróbować? -Nie!

- Będzie to oznaczać dalsze epizody schizofreniczne, które będą jednak przebiegać pod nadzorem, w kontrolowanych warunkach.

- Nic mnie to nie obchodzi, chcę spróbować.

— Czy nie będzie panu przeszkadzało, jeśli ja i kilku moich współpracowników będziemy obserwować pańskie zachowanie podczas tych epizodów? Innymi słowy, dojdzie do naruszenia sfery prywatności...

- Nie - wtrąciłem się. - Nie będzie mi to przeszkadzać. Jest mi zupełnie obojętne, kto się będzie przyglądał.

- Pańskie paranoidalne skłonności - powiedział doktor Shedd z namysłem - nie mogą być zbyt poważne, skoro nie lęka się pan wpatrzonych w siebie oczu.

- Ni cholery się ich nie boję.

- W porządku. - Wyglądał na zadowolonego. - To dobry znak na przyszłość. - Co powiedziawszy, zniknął w obłoku białej pary wraz ze swoimi niebieskimi spodenkami i notesem, który niósł po pachę. Mój pierwszy wywiad z psychiatrą w Klinice Kasanina dobiegł końca.

Tego samego dnia o pierwszej po południu zabrano mnie do dużego, pustego pokoju, gdzie czekało już kilka pielęgniarek i dwóch lekarzy. Przywiązano mnie do obitego skórą stołu i zaaplikowano dożylny zastrzyk środka halucynogennego. Lekarze i siostry — wszyscy przemęczeni, ale przyjaźnie nastawieni — stanęli z tyłu i czekali. Ja również czekałem -

przywiązany do stołu, ubrany w szpitalny strój; moje nagie stopy sterczały do góry, ręce miałem ułożone wzdłuż boków.

Kilkanaście minut później leki zaczęły działać. Znalazłem się w centrum Oakland w Kalifornii. Siedziałem na ławce, na skwerze Jacka Londona. Obok mnie siedziała Pris. Karmiła okruszkami chleba stadko niebieskoszarych gołębi. Miała na sobie spodnie i zielony golf; włosy spięła z tyłu i przewiązała czerwoną kraciatą wstążką. Była tak pochłonięta swoim zajęciem, że zupełnie zapomniała o mojej obecności.

— Hej — odezwałem się.

Odwróciła głowę i powiedziała spokojnie:

- Niech cię diabli. Mówiłam ci, żebyś siedział cicho. Jeśli będziesz gadał, wystraszysz je i wtedy zamiast mnie będzie je karmił ten staruch.

Nie opodal na ławce siedział doktor Shedd. Uśmiechając się do nas, trzymał w ręku własną torebkę z okruszkami chleba. Takim oto sposobem moja psychika uporała się z jego obecnością, włączając go w całą scenę.

- Pris - powiedziałem cicho. - Muszę z tobą porozmawiać.

- Po co? - Odwróciła się do mnie, obdarzając swym zimnym, nieobecny spojrzeniem. - Może jest to ważne dla ciebie, ale czy koniecznie musi być ważne dla mnie? Czy cię to w ogóle obchodzi?

- Obchodzi - odparłem, czując beznadziejność sytuacji.

- Okaż mi to, zamiast to powtarzać... bądź cicho. Jestem szczęśliwa, robiąc to, co robię. - Powróciła do karmienia ptaków.

- Kochasz mnie?

- Jezu, nie!

A jednak czułem, że mnie kocha.

Przez jakiś czas siedzieliśmy razem na ławce, a potem park, ławka i sama Pris zniknęli i znów znalazłem się na gładkim stole pod baczny okiem doktora Shedda oraz zapracowanych pielęgniarek z Kliniki Kasanina.

- Tym razem poszło znacznie lepiej — zauważył doktor Shedd, gdy mnie odwiązywano.

— Lepiej od czego?

— Od dwóch poprzednich prób.

Nie pamiętałem dwóch poprzednich prób i powiedziałem o tym doktorowi.

- Oczywiście, że pan ich nie pamięta; były nieudane. Świat fantazji nie został

uaktywniony. Po prostu pan zasnął. Odtąd jednak za każdym razem możemy się spodziewać efektów.

Odwieziono mnie do pokoju. Następnego ranka ponownie zjawiłem się w sali terapeutycznej na kolejną porcję fantazji, moją godzinę z Pris.

Gdy przywiązywano mnie do stołu, wszedł doktor Shedd i przywitał się ze mną.

- Rosen, chcę, aby wziął pan udział w terapii grupowej. To spotęguje efekt tego, co tu robimy. Czy wie pan, co to takiego terapia grupowa? Spowiada się pan z własnych problemów przed innymi pacjentami, a oni komentują... Będzie pan siedział z nimi, a oni będą rozważać pański przypadek i wskażą panu, w którym miejscu w swoim myśleniu zbacza pan z właściwego kierunku. Zobacz pan, że wszystko przebiega w przyjacielskiej i nieformalnej atmosferze. I na ogół bardzo pomaga.

- W porządku. - Tu, w klinice, czułem się nieco samotny.

- Czy ma pan coś przeciwko temu, abym udostępnił grupie opis pańskich fantazji?

- Nie, do licha. Czemu miałbym mieć?

- Wydrukujemy go i rozdamy przed każdą sesją terapeutyczną... Wie pan, że nagrywamy wszystkie pańskie fantazje dla celów analitycznych oraz, za pańskim pozwoleniem, na użytek terapii grupowej.

- Macie moje pozwolenie - powiedziałem. - Nie mam nic przeciwko temu, aby pacjenci z mojej grupy poznali moje fantazje, zwłaszcza jeśli pomogą mi zrozumieć, gdzie popełniam błąd.

- Zobacz pan, że nie ma na świecie bardziej skorych do pomocy ludzi niż inni pacjenci - rzekł doktor Shedd.

Otrzymałem zastrzyk środka halucynogennego i raz jeszcze oddałem się kontrolowanym fantazjom.

Siedziałem za kierownicą mojego chevroleta magic fire, w drodze powrotnej z pracy do domu. Na autostradzie był bardzo duży ruch. Spiker prowadzący w radio audycję dla kierowców opowiadał o korkach na drodze gdzieś przede mną.

„Bałagan, roboty drogowe lub zwykłe zamieszanie - mówił - ale nie martwcie się, drodze przyjaciele, przeprowadzę was przez to”.

— Dzięki — powiedziałem na głos.

Siedząca obok mnie Pris poruszyła się i powiedziała poirytowana:

- Czy zawsze musisz rozmawiać z radiem? To zły znak. Od dawna wiedziałam, że z twoim zdrowiem psychicznym jest nie najlepiej.

- Pris — odparłem - choćbyś nie wiem co mówiła i tak wiem, że mnie kochasz. Nie pamiętasz, jak byliśmy razem w mieszkaniu pani Nild w Seattle?

-Nie.

- Nie pamiętasz, jak się kochaliśmy?

- Fuj - prychnęła z odrazą.

— Wiem, że mnie kochasz, niezależnie od tego, co mówisz.

— Lepiej wyrzuc mnie między te samochody, jeśli masz zamiar dalej tak mówić.

Niedobrze mi się od tego robi.

— Pris, dlaczego jedziemy razem samochodem? — dopytywałem się. — Czy jedziemy do domu? Czy jesteśmy małżeństwem?

- O Boże! - jęknęła.

- Odpowiedz mi - prosiłem ze wzrokiem utkwionym w jadącej przed nami ciężarówce. Nie odpowiedziała. Skuliła się przy drzwiach, jak najdalej ode mnie.

- Jesteśmy - powiedziałem. - Wiem, że jesteśmy. Kiedy przyszedłem do siebie, doktor Shedd wydawał się zadowolony.

- Wykazuje pan stałe postępy. Myślę, że bez obawy mogę powiedzieć, iż doznaje pan skutecznego zewnętrznego odreagowania z regresywnych popędów libidalnych, a na to właśnie liczyliśmy. - Zachęcająco poklepał mnie po plecach, zupełnie tak samo, jak niedawno zrobił to mój współnik, Maury Rock.

Podczas następnej sesji kontrolowanych fantazji Pris wyglądała starzej. Późnym wieczorem szliśmy powoli przez dworzec główny w Cheyenne w stanie Wyoming, leżącym pod torami tunelem i z powrotem na górę na przeciwległy peron, gdzie zatrzymaliśmy się i stanęliśmy w milczeniu. Jej twarz, pomyślałem, zyskuje nową, pełniejszą jakość, jak gdyby dojrzewała. Zmieniła się, nie ma co do tego wątpliwości. Ciało miała pełniejsze i wydawała się spokojniejsza.

— Od jak dawna jesteśmy po ślubie? — zapytałem.

- Nie wiesz?

- A więc jesteśmy - powiedziałem z sercem przepelnionym radością.

- Oczywiście, że jesteśmy. Myślisz może, że żyjemy w grzechu? Co z tobą? Cierpisz na zanik pamięci, czy co?

- Chodźmy do tego baru, który widzieliśmy naprzeciwko dworca. Zdaje się, że było tam wesoło.

- Zgoda - powiedziała. Kiedy znów ruszyliśmy na dół do tunelu, wyznała: - Cieszę się,

że zabrałeś mnie dalej od tych pustych torów... Przygnębiały mnie. Wiesz, o czym zaczęłam myśleć? Zastanawiałam się, jakie to uczucie, gdy widzisz nadjeżdżający pociąg, a potem rzucasz się przed siebie, pod koła, spadasz na tory, a on przejeżdża po tobie, przecina cię na pół... Zastanawiałam się, jakie to uczucie, gdy kończysz ze sobą w ten sposób, po prostu rzucając się do przodu, tak jakbyś szedł spać.

- Nie mów tak - poprosiłem, obejmując ją ramieniem i tuląc do siebie. Jak zawsze była sztywna i nieprzystępna.

Kiedy doktor Shedd wyprowadził mnie ze świata fantazji, wyglądał na zaniepokojonego.

- Jestem niezadowolony z chorobliwych elementów, które pojawiły się w projekcji pańskiej animy. Można się jednak było tego spodziewać. Pokazuje nam to, jak długa droga jest jeszcze przed nami. Podczas następnej próby, w trakcie piętnastej sesji...

- Piętnastej! - zawołałem. - Chce pan powiedzieć, że ta była czternasta?

- Jest pan tu już ponad miesiąc. Zdaję sobie sprawę, że dla pana kolejne epizody zlewają się ze sobą; można się było tego spodziewać, jako że czasami nie ma żadnego postępu, a czasami jedna wizja powtarza się kilka razy pod rząd. Niech się pan tym nie martwi, Rosen.

- W porządku, panie doktorze - powiedziałem ponuro.

Podczas następnej próby - albo tego, co dla mojego skołowanego umysłu uchodziło za następną próbę — ponownie siedziałem z Pris na ławce na skwerze Jacka Londona w centrum Oakland w Kalifornii. Tym razem była milcząca i smutna; nie karmiła gołębi, które kręciły się po skwerze, lecz jedynie siedziała ze splecionymi rękoma, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- O co chodzi? - zapytałem, starając się przyciągnąć ją do siebie.

Łza spadła jej na policzek.

- Nic, Louis. - Z torebki wyjęła chusteczkę. Wytarła oczy, po czym wydmuchała nos. - Czuję się jakaś pusta i martwa

w środku, to wszystko. Może jestem w ciąży. Okres spóźnia mi się o cały tydzień.

Poczułem dziką radość. Wziąłem ją w ramiona i pocałowałem zimne, beznamiętne usta.

- To najlepsza nowina, jaką kiedykolwiek usłyszałem! Podniosła na mnie szare, smutne oczy.

- Miło mi, że się cieszysz, Louis. - Uśmiechając się lekko, pogłaskała mnie po rękę. Teraz wyraźnie dostrzegłem, że się zmieniała. Pod oczami miała siateczkę zmarszczek, nadającą jej twarzy zmęczony, posepny wyraz. Ile to już czasu upłynęło? Ile lat byliśmy

razem? Dwanaście? Sto? Nie potrafiłem powiedzieć. Czas opuścił mnie, stał się czymś, co nie płynie, lecz porusza się kapryśnymi skokami i zrywami, czasem grzęznąć zupełnie, by później z wahaniem podjąć bieg. Ja również czułem się starszy i bardziej zmęczony. A jednak... była to dla mnie dobra nowina.

Zaraz, jak tylko z powrotem znalazłem się na sali terapeutycznej, powiedziałem doktorowi Sheddowi o ciąży Pris. On również się ucieszył.

- Widzisz, Rosen, jak twoje fantazje stają się bardziej dojrzałe, zawierają więcej elementów odpowiedzialnego podejścia do rzeczywistości z twojej strony? W końcu ta dojrzałość będzie odpowiadała twojemu wiekowi biologicznemu, a wówczas większa część fantazji zostanie odrzucona.

W radosnym nastroju poszedłem na dół, aby spotkać się z innymi pacjentami i wysłuchać ich wyjaśnień oraz pytań dotyczących tego nowego i ważnego wydarzenia. Byłem pewny, że kiedy zapoznają się z zapisem dzisiejszej sesji, będą mieli sporo do powiedzenia.

Pięćdziesiąta druga sesja przyniosła mi obraz Pris i mojego syna: zdrowego, ślicznego bobasa o oczach szarych jak u Pris i włosach takich jak moje. Pris siedziała w salonie w głębokim fotelu, karmiąc syna z butelki, cała zaabsorbowana. Ja siedziałem naprzeciwko, w stanie niemal całkowitej ekstazy, jakby całe napięcie, wszystkie moje lęki i niedole wreszcie mnie opuściły.

- Te cholerne plastikowe smoczki - powiedziała Pris, ze złością potrząsając butelką - pękają przy ssaniu. Pewnie przez ten sterylizator.

Podrałowałem do kuchni, aby wyjąć świeżą butelkę ze sterylizatora.

- Jak go nazwaliśmy, kochanie? - zapytałem, wróciwszy z kuchni.

- Jak go nazwaliśmy? - Pris spojrzała na mnie z rezygnacją. - Co z tobą, Louis? Pytać, jak nazwaliśmy własne dziecko? Informuję cię, że chłopiec nazywa się Rosen, tak samo jak ty.

Uśmiechnąłem się bojaźliwie i poprosiłem: — Wybacz mi.

- Wybaczam. Jestem na ciebie skazana. - Westchnęła. -Przepraszam, że to powiedziałam.

Ale jak mu na imię? — zastanawiałem się. Pewnie dowiem się tego następnym razem, a jeśli nie, to za setnym.

Muszę to wiedzieć albo wszystko to będzie dla mnie bez znaczenia; wszystko pójdzie na marne.

- Charles - mruknęła Pris do dziecka - zmoczyłeś się? Miał na imię Charles.

Ucieszyłem się, to ładne imię.

Może to ja je wybrałem.

Tego dnia, po sesji, kiedy spieszyłem na dół do sali, gdzie odbywała się terapia grupowa, ujrzałem gromadkę kobiet wchodzących na salę w części kobiecej szpitala. Jedna z nich miała krótko obcięte czarne włosy - była szczupła i wiotka, i dużo niższa od otaczających ją kobiet, które przy niej wyglądały jak nadmuchane balony. Czyżby to była Pris?-zapytałem sam siebie, stając jak wryty. Proszę, odwróć się, błagałem, uporczywie wpatrując się w jej plecy.

Kiedy mijala drzwi, odwróciła się na chwilę. Ujrzałem zuchwały krótki nos, beznamienne, wszechwiedzące szare oczy... to była Pris.

— Pris! - zawołałem, wymachując rękami.

Zobaczyła mnie, zmarszczyła czoło, zacisnęła usta, a potem bardzo nieznacznie się uśmiechnęła.

Czy to była zjawą? Dziewczyna - Pris Frauenzimmer -weszła już do pokoju, zniknęła mi z oczu. A więc znów trafiłaś do Kliniki Kasanina, pomyślałem. Wiedziałem, że prędzej czy później tak się stanie. To nie fantazje, nie omamy, kontrolowane czy jakiegokolwiek inne. Odnalazłem cię na jawie, w realnym świecie - w zewnętrznym świecie, który nie jest produktem ani regresywnego libido, ani leków. Nie widziałem cię od czasu tej nocy w klubie w Seattle, kiedy to walnęłaś Johnny'ego Booth'a, homunkulusa, butem w głowę. Och, jak dawno to było! Jak dużo, jak strasznie dużo zobaczyłem i zrobiłem od tej pory... zrobiłem w próżni, zrobiłem bez ciebie, zrobiłem bez tej autentycznej, rzeczywistej Pris. Zadowalałem się zwykłą zjawą zamiast autentykiem... Pris, powiedziałem do siebie, Bogu dzięki, znalazłem cię. Wiedziałem, że kiedyś to nastąpi.

Nie poszedłem na terapię grupową; zostałem na korytarzu, czekając i obserwując.

W końcu, kilka godzin później, pojawiła się ponownie. Przeszła przez otwarte patio, kierując się wprost ku mnie — twarz jasna i spokojna, w oczach figlarne ogniki, raczej wymuszony niż szczery uśmiech.

- Cześć - odezwałem się.

- A więc złowili cię, Louisie Rosen - rzekła. - W końcu też popadłeś w schizofrenię.

Wcale mnie to nie dziwi.

- Pris - powiedziałem -jestem tutaj od miesięcy.

- I co, wychodzisz z tego?

- Tak - rzekłem - myślę, że tak. Codziennie jestem poddawany terapii kontrolowanych fantazji. Za każdym razem widzę ciebie, Pris, zawsze. Jesteśmy małżeństwem i mamy synka, Charlesa. Coś mi się zdaje, że mieszkamy w Oakland w Kalifornii.

- Oakland - powtórzyła, marszcząc nos. - Niektóre dzielnice Oakland są ładne, ale niektóre okropne. - Zaczęła się ode mnie oddalać, idąc w stronę drugiego końca korytarza. - Miło cię było spotkać, Louis. Może kiedyś znów się gdzieś tutaj na siebie napatoczymy.

- Pris! - zawołałem z żalem. - Proszę cię, wróć!

Ale ona szła dalej i po chwili zginęła za zamkniętymi drzwiami na końcu korytarza.

Kiedy zobaczyłem ją podczas następnej sesji kontrolowanych fantazji, wyraźnie się postarzała. Jej figura przybrała bardziej okrągłe, kobiece kształty, a cienie pod oczami zadomowiły się na dobre. Staliśmy w kuchni, zmywając naczynia po obiedzie. Pris zmywała, a ja wycierałem. Przy górnym oświetleniu jej skóra robiła wrażenie wysuszonej i promieniującej siecią delikatnych zmarszczek. Nie miała makijażu. Szczególnie zmieniły się jej włosy. Wysuszone tak jak skóra, nie były już czarne. Miały bardzo ładny czerwonobrazowy kolor. Dotknąłem ich i stwierdziłem, że są sztywne, ale mimo to czyste i miłe w dotyku.

- Pris - powiedziałem - spotkałem cię wczoraj na korytarzu. Tutaj, gdzie przebywam, w Klinice Kasanina.

- Brawo - rzuciła.

- Czy to była rzeczywistość? Co było rzeczywistością w większym stopniu: tamto czy to tutaj? - W salonie ujrzałem Charlesa. Siedział przed telewizorem z oczami wlepionymi w trójwymiarowy ekran. - Czy pamiętasz tamto spotkanie, pierwsze po tak długim czasie? Czy było ono równie realne dla ciebie, jak dla mnie? Czy to, co się dzieje tutaj, jest dla ciebie realne? Powiedz, proszę. Ja już nic nie rozumiem.

- Louis - odparła, szorując patelnię - czy nie możesz zaakceptować życia takim, jakim ono jest? Czy koniecznie

musisz się bawić w filozofa? Zachowujesz się jak student pierwszego roku. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek dorośniesz.

- Nie wiem już, w którą stronę mam się obrócić - wyznałem bezradnie, ale automatycznie dalej wycierałem naczynia.

- Zabierz mnie tam, gdzie mnie odnajdziesz - powiedziała Pris - a gdy mnie odnajdziesz, ciesz się z tego; nie zadawaj pytań.

- Dobrze - zgodziłem się. - Tak zrobię. W każdym razie spróbuję. .

Kiedy fantazje się skończyły, doktor Shedd znów był przy mnie.

— Mylisz się, Rosen. Nie mogłeś tutaj w klinice wpaść na pannę Frauenzimmer. Przejrzałem dokładnie kartotekę i nie znalazłem nikogo o takim nazwisku. Obawiam się, że tak zwane spotkanie z nią na korytarzu było mimowolnym obsunięciem się w psychozę.

Wbrew temu, co sądziliśmy, nie możemy uważać odreagowania twoich libidalnych pragnień za dokonane. Pewnie będziemy musieli dodać dziennie kilka minut kontrolowanej regresji.

Skinąłem głową w milczeniu, ale mu nie uwierzyłem. Byłem pewien, że tam, na korytarzu, rzeczywiście spotkałem Pris. To nie była schizofreniczna fantazja.

W następnym tygodniu znów zobaczyłam ją w klinice. Tym razem wyglądałem przez okno solarium. Była na dworze, grała w kobiecej drużynie piłki ręcznej: wszystkie dziewczyny w jasnoniebieskich spodenkach i koszulkach gimnastycznych.

Nie widziała mnie, była pochłonięta grą. Stałem tam przez długi czas, napawając oczy jej widokiem, wiedząc, że to na pewno jest rzeczywistość... Wtem piłka odbiła się od boiska i poleciała w stronę budynku, a Pris ruszyła za nią w pogoń. Gdy się schyliła, aby ją podnieść, ujrzałem wyszyte dużymi literami na koszulce jej nazwisko:

PRIS ROCK

To wszystko wyjaśniało. Została przyjęta do Kliniki Kasanina pod nazwiskiem ojca, a nie swoim. Dlatego doktor Shedd nie znalazł jej w kartotece. Szukał pod Frauenzimmer, bo tak zawsze o niej myślałem, niezależnie od tego, jak sama kazała się nazywać.

Nie powiem mu, postanowiłem. W trakcie następnych kontrolowanych fantazji będę starał się zatrzymać tę informację dla siebie. W ten sposób doktor Shedd nigdy się o tym nie dowie, a wtedy być może kiedyś znów uda mi się z nią porozmawiać.

Potem pomyślałem jednak: A może Shedd robi to celowo? Może jest to próba wyprowadzenia mnie ze świata fantazji z powrotem do rzeczywistości. Wszakże te przelotne spotkania z prawdziwą Pris stały się dla mnie ważniejsze niż wszystkie kontrolowane fantazje razem wzięte. To jest ich terapia i na dodatek działa.

Nie wiedziałem, czy z tego powodu mam się czuć dobrze czy źle.

Byłem po dwustu dwudziestu sesjach kontrolowanych fantazji, kiedy znów udało mi się porozmawiać z Pris. Ona wychodziła ze szpitalnej kawiarenki, ja wchodziłem. Zobaczyłem ją, zanim ona dostrzegła mnie. Była pochłonięta rozmową z inną młodą kobietą, swoją koleżanką.

- Pris - powiedziałem, zatrzymując ją. - Daj mi, na Boga, побыć z tobą przez parę minut. Oni nie mają nic przeciwko temu. Wiem, że to część terapii. Proszę.

Druga dziewczyna oddaliła się wyrozumiale i zostaliśmy sami.

— Postarzałeś się, Louis — odezwała się Pris po chwili milczenia.

- Ty za to jak zwykle wyglądasz szałowo. - Tęskniłem za tym, by wziąć ją w ramiona, wzdychałem, by ją do siebie przytulić. A zamiast tego stałem kilkanaście centymetrów od niej, nie wykonawszy najmniejszego ruchu.

- Ucieszysz się pewnie, że wkrótce znów wypiszą mnie do domu - stwierdziła rzeczowo. - Tak jak przedtem będę uczęszczać na psychoterapię. Zdaniem doktora Ditchleya, który jest tu naczelnym psychiatrą, robię oszałamiające postępy. Widuję się z nim prawie codziennie. Zajrzałam do twoich papierów i wiem, że prowadzi cię Shedd... Według mnie to stary głupiec.

— Pris, może moglibyśmy wyjść stąd razem? Co byś na to powiedziała? Ja również robię postępy.

- Dlaczego mielibyśmy to zrobić?

— Kocham cię — wyznałem — i wiem, że ty też mnie kochasz. Nie zaprzeczyła. Zamiast tego jedynie skinęła głową.

- Czy dałoby się to załatwić? - zapytałem. - Znasz to miejsce o wiele lepiej niż ja; spędziłaś tu niemal całe życie.

- Część życia.

- Mogłabyś to załatwić?

- Sam to załatw. Ty jesteś mężczyzną.

- Wyjdiesz za mnie, jeśli to zrobię? Jęknęła.

- Na pewno, Louis. Wszystko, co zechcesz: małżeństwo, życie w grzechu, okazjonalne pieprzenie... wybieraj.

- Małżeństwo - oświadczyłem.

— A dzieci? Jak w twoich fantazjach? Chłopiec imieniem Charles? — Wykrzywiła usta, rozbawiona.

- Tak.

- Więc załatw to - powiedziała. - Porozmawiaj z tym łomem Sheddem, szpitalnym idiotą. On może cię zwolnić do domu, ma odpowiednią władzę. Dam ci radę. Przed następną sesją udaj wahanie. Powiedz mu, że nie jesteś pewny, czy jeszcze coś ci one dają, rozumiesz. A potem powiedz, że twoja seks-partnerka ze świata fantazji, ta cała Pris Frauenzimmer, którą wymyśliłeś w swoim spaczonym, małym, napalonym mózdzku, przestała być dla ciebie przekonywająca. - Uśmiechnęła się w stary, znajomy sposób. -Zobaczysz, dokąd cię to zaprowadzi. Może dzięki temu wydestaniesz się stąd, a może nie... może pograżysz się jeszcze bardziej.

- Mogłabyś mnie... - zacząłem mówić z wahaniami.

- Oszukać? Wprowadzić w błąd? Spróbuj, Louis, a się dowiesz. - Jej twarz była teraz śmiertelnie poważna. - Jedyne sposobem, by się o tym przekonać, to zdobyć się na odwagę i wziąć do dzieła. - Odwróciła się i szybko odeszła. - Do zobaczenia - rzuciła przez ramię. -

Być może. - Ostatni zimny, wesoły, opanowany uśmiech i już jej nie było - weszli między nas inni ludzie, udający się do kawiarenki, by coś zjeść.

Zaufam ci, powiedziałem do siebie w duchu. Po obiedzie spotkałem na korytarzu doktora Shedda. Nie protestował, kiedy poprosiłem go o chwilę rozmowy.

- Co cię trapi, Rosen?

- Panie doktorze, kiedy zbieram się, aby pójść na terapię, doznaję czegoś w rodzaju wahania. Nie jestem pewien, czy one jeszcze mi coś dają.

— A to co znowu? — zapytał doktor Shedd, marszcząc czoło. Powtórzyłem to, co mówiła Pris. Słuchał z wielką uwagą.

- Moja seks-partnerka nie jest już dla mnie przekonująca. - I dodałem od siebie: - Jestem pewien, że to tylko projekcja mojej podświadomości. Ona nie jest prawdziwą Pris Frauzimmer.

- Interesujące - powiedział doktor Shedd.

- Czy to, co powiedziałem... czy to oznacza, że jest ze mną lepiej czy gorzej?

— Szczerze mówiąc, nie wiem. Przekonamy się podczas następnej sesji. Będę mógł powiedzieć więcej, gdy zobaczę twoje zachowanie w świecie fantazji. — Kiwnął mi głową na do widzenia i poszedł dalej korytarzem.

Podczas następnej sesji terapeutycznej znalazłem się z Pris w Supermarkecie, gdzie robiliśmy tygodniowe zakupy.

Wyglądała teraz o wiele starszej, ale wciąż była to ta sama Pris - ta sama atrakcyjna, stanowcza, jasnooka kobieta, którą zawsze kochałem. Nasz chłopak biegł przed nami, wyszukując rzeczy potrzebne mu na obóz, który jego drużyna harcerska miała rozbić w parku Charlesa Tildena w górach Oakland.

- Jesteś dziś dla odmiany bardzo małomówny - powiedziała do mnie Pris.

— Myślę.

- Czyli zamartwiasz się. Znam cię. Potrafię odróżnić jeden stan od drugiego.

- Pris, czy to, co teraz przeżywamy, jest realne? Czy to nam wystarczy?

- Mam już dość twojego wiecznego filozofowania. Albo zaakceptuj swoje życie, albo się zabij, ale przestań wreszcie o tym gadać.

- W porządku - powiedziałem - ale w zamian proszę cię, abys przestała wygłaszać pogardliwe opinie na mój temat. Jestem już tym zmęczony.

- Po prostu boisz się ich wysłuchać... - zaczęła. Zanim zorientowałem się, co robię, zamachnąłem się

i uderzyłem ją w policzek. Zachwiała się i niemal upadła. Uskoczyła do tyłu, stanęła z ręką przy policzku i popatrzyła na mnie z twarzą przepełnioną niedowierzaniem i bólem.

- Niech cię diabli - powiedziała łamiącym się głosem. - Nigdy ci tego nie wybaczę.

— Po prostu nie mogę dłużej znieść twoich pogardliwych opinii na mój temat.

Obróciła się na pięcie i nie oglądając się za siebie, pobiegła między półkami w kierunku wyjścia ze sklepu. Chwyciła Charlesa za rękę i wyszła.

Natychmiast zdałem sobie sprawę, że stoi obok mnie doktor Shedd.

- Myślę, że na dzisiaj wystarczy, Rosen. - Sklep, półki pełne pudełek i toreb - wszystko to zafalowało i zniknęło.

- Źle postąpiłem? - Zrobiłem to bez zastanowienia, bez żadnego planu w głowie. Czyżbym wszystko zepsuł? - Pierwszy raz w życiu uderzyłem kobietę - oświadczyłem doktorowi.

- Niech się pan tym nie martwi - powiedział pochłonięty swoimi notatkami. Skinął na siostry. - Proszę pana odwiązać. Myślę też, że odwołamy dzisiejszą terapię grupową. Proszę go zaprowadzić do jego pokoju, gdzie będzie miał spokój. - Nagle zwrócił się do mnie: - Rosen, jest coś dziwnego w twoim zachowaniu, coś, czego nie rozumiem. To zupełnie do ciebie nie pasuje.

Milczałem, zwiesiłem jedynie głowę.

- Powiedziałbym nawet - wycedził doktor Shedd - że symulujesz.

- Nie, to nieprawda - zaprotestowałem. - Naprawdę jestem chory. Umarłbym, gdybym tu nie trafił.

- Chyba poproszę cię jutro do mojego gabinetu. Chciałbym jeszcze raz zrobić test przysłów Benjamina i test klocków Wygotskiego-Łurii. Bardziej niż sam test liczy się to, kto go prowadzi.

- Zgoda - powiedziałem, czując lęk i zdenerwowanie.

Następnego dnia pomyślnie przeszedłem test przysłów Benjamina i test klocków Wygotskiego-Łurii. Zgodnie z ustawą McHestona byłem wolny i mogłem iść do domu.

- Zastanawiam się, czy w ogóle powinien pan do nas trafić - rzekł doktor Shedd. - Przy tylu ludziach w całym kraju czekających na miejsce i przy tak zapracowanym personelu... - Podpisał i wręczył mi zwolnienie. - Nie wiem, co pan chciał przez to osiągnąć, ale musi pan wracać i stawiać czoło swojemu życiu, a nie kryć się przed nim pod pretekstem choroby umysłowej. Wątpię zresztą, czy pan kiedykolwiek na nią cierpiał.

Tą szorstką uwagą zostałem formalnie wyrzucony z Federalnej Kliniki Psychiatrycznej im. Kasanina w Kansas City, Missouri.

— Jest tutaj pewna dziewczyna, z którą chciałbym się zobaczyć przed odejściem — oznajmiłem doktorowi Sheddowi. - Czy mógłbym z nią przez chwilę porozmawiać? Chodzi o pannę Rock. — Ostrożnie dodałem: — Nie znam jej imienia.

Doktor Shedd przycisnął guzik na biurku.

- Proszę pozwolić panu Rosenowi zobaczyć się z panną Rock, ale nie dłużej niż przez dziesięć minut. Potem wyprowadźcie go poza główną bramę. Jego czas tutaj dobiegł końca.

Krzepki salowyabrał mnie do pokoju, który Pris dzieliła z sześcioma innymi dziewczynami. Zostałem ją siedzącą na łóżku i lakierującą paznokcie na pomarańczowo. Gdy wchodziłem, ledwo co uniosła wzrok.

- Cześć, Louis - mruknęła.

- Pris, zdobyłem się na odwagę. Poszedłem do niego i powiedziałem, co mi radziłaś. - Pochyliłem się, by jej dotknąć. — Jestem wolny. Zwolnili mnie. Mogę iść do domu.

— Więc idź.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem.

- A co z tobą?

- Zmieniłam zdanie - odparła Pris. - Nie złożyłam podania o zwolnienie. Myślę, że zostanę tu kilka miesięcy dłużej. Teraz mi się tu podoba... uczę się tkactwa. Właśnie robię dywanik z czarnej owczej wełny, jagnięcej wełny. -I nagle wyszeptała ze smutkiem: - Okłamałam cię, Louis. Nie nadaję się do życia na zewnątrz. Jestem bardzo chora. Muszę tu zostać o wiele dłużej, kto wie, może na zawsze. Przykro mi, że ci powiedziałam, iż wychodzę. Przebacz mi. -Przez krótką chwilę trzymała moją rękę, po czym ją puściła.

Nie pozostało mi nic więcej do powiedzenia.

Chwilę później salowy poprowadził mnie korytarzem do

bramy i zostawił na publicznym chodniku z pięćdziesięcioma dolarami w kieszeni - dowodem łaskawości rządu federalnego. Klinika Kasanina została za mną, przestała być częścią mojego życia. Odeszła w przeszłość i nigdy, miałem nadzieję, już nie miała się pojawić.

Czuję się dobrze, powiedziałem do siebie. Znowu idealnie wypadłem w testach, tak jak w szkole, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Mogę wrócić do Boise - do Chestera, ojca, Maury'ego i mojej firmy. Państwo mnie wyleczyło.

Miałem wszystko oprócz Pris.

Gdzieś wewnątrz Kliniki Kasanina siedziała Pris Frauenzimmer, czesząc i tkając czarną jagnięcą wełnę, bez reszty pochłonięta swym zajęciem, nie myśląc ani o mnie, ani o niczym innym.